

Zbigniew Wilczyński

SEN POD WIATR

Siostrze

Noc

Noc była księżycowa jasna i ciepła.

Ankę wysadzili na skrzyżowaniu Siedmiu Kół i Dwóch Mieczy, a sami ulicą Siedmiu Kół wjechali na Skarpę. Stamtąd na wygaszonym silniku zjechali na tyły pomieszczeń gospodarczych wielkiego domu towarowego zwanego potocznie Kołchozem. Ich interesowało wydzielone stoisko z wyrobami futrzarskimi i skórzanymi.

Rudy i Alis zostali w furgonetce. Koń, Figat i Gebels wysiedli. Po piorunochronie szybko dostali się na dach przybudówki dotykającej do bocznej ściany Kołchozu. Metr powyżej dachu znajdowało się w gładkiej ścianie niewielkie okienko. Jeszcze dwa takie okienka ustawione w pionie sygnalizowały, że za ścianą biegnie trzypiętrowa studnia służbowej klatki schodowej. Szybę w okienku wygnietli szmatą umoczoną w ciepłym kleju stolarskim: żaden odłamek szkła nie spadł na schody. Kolejno weszli do środka.

Drzwi na pierwszym piętrze, prowadzące z klatki schodowej do pomieszczenia ze stoiskami, były otwarte. W siwym księżycowym świetle przenikającym przez panoramiczne okna zobaczyli za grubym, markującym wydzielenie sznurem, interesujące ich gabloty. Pozamykane. Użyli więc łyżki do opon; lichutkie meblowe zamki otwierały się z cichym trzaskiem przypominającym zapalenie zapałki; czasami zabrzęczała luźniej osadzona szyba. Gdy gabloty zostały otwarte, Koń wskazał na drzwi kantorka. Zrozumieli się bez słów: Anka w ostatniej chwili przyniosła informację, że cały sobotni utarg został schowany w kantorku. Trzeba więc było dostać się i tam. To należało do Konia.

Gebels i Figat wzięli po kilka futer i wynieśli je na klatkę schodową. Koń sforsował drzwi i zniknął w kantorku. Wtedy Gebels wyjął latarkę, skierował ją na panoramiczne okna i mrugnął trzy razy.

– Więc jednak! – szepnął Figat.

– Zamknij pysk! – również szeptem odpowiedział Gebels. – Zjeżdżamy!

Anka ulicami Dwóch Mieczy i Pięćdziesięciu Bohaterów dotarła do placu Jedenastu Punktów. Ukryła się w cieniu bramy. Po drugiej stronie placu widziała fronton Kołchozu. W jednym z okien na parterze paliło się światło: strażnicy. Zawsze dwóch. Dzisiaj praktycznie był tylko jeden. Drugi przyszedł do pracy pijany – zadbał o to jakiś przyjezdny pociotek Salana – i przyniósł butelkę gorzały. Najprawdopodobniej strażnicy oddawali się teraz zajęciu o wiele bardziej przyjemnemu niż pilnowanie gmachu. Koń jako organizator znów świetnie zdawał egzamin. Po raz ostatni, na szczęście.

Dotknęła brzucha; był tylko nieznacznie napeężniały; czwarty miesiąc dopiero się zaczął.

Znów mimowolnie pomyślała o wspianiałej Końskiej organizacji. Koniec! Na szczęście koniec.

Decyzję długo nosiła w sobie, blisko sześć miesięcy, a podjęła ją w dniu, w którym lekarz potwierdził ciążę. Musiała tylko wciągnąć w to chłopaków, znała ich przecież i wiedziała, że gdyby wpadli razem z Koniem, to wydaliby ją bez skrępowań. Najtwardszy – a może najgłupszy – okazał się Figat, który nigdy Konia zbytnio nie lubił. W końcu i on uległ. A teraz...

Wtem okna na piętrze Kołchozu – i tak już lśniące księżycową poświatą – trzykrotnie rozbłyły.

„To musi być syn!” – pomyślała wychodząc z bramy. „Jasnowłosa, z niebieskimi oczami. Jak ojciec. Ale mądrzejszy od niego. Bo ja go wychowam”.

„Najpierw gliny, mają dalej” – pomyślała już w budce telefonicznej. „Potem strażnicy”.

Odmawianie poczęstunku nie leżało w charakterze strażnika Leszka Zawadzkiego, wręcz przeciwnie. Ale właśnie rozpoczął leczenie rzeżączki i był po dziurki w nosie nafaszerowany antybiotykami, więc odmówił. I strażnik Marian Antczak musiał samotnie wytankować przyniesioną do pracy flachę. Ścięło go z nóg, trochę zamroczyło, ale jakoś nie uspiło. Leżał na służbowej kanapie i roił coś w zaczadzonej gorzałą głowie.

Telefon Anki przyjął strażnik Zawadzki. Wysłuchał wszystkiego w skupieniu, poprosił o powtórzenie niektórych informacji, a na zakończenie zaklął, bo rozmówczyni wyłączyła się bez podania personaliów.

– Co... co jest grane...? – wystękał Antczak, którego trochę otrzeźwił dzwonek telefonu.

– Mamy włam – powiedział Zawadzki wstając i zapinając granatową kurtkę mundurową. – To znaczy dzwoniła jakaś baba, że widziała światło latarki w oknach pierwszego piętra.

– O kurwa! – jęknął Antczak i chwiejnie usiadł. Przerazenie dodawało mu sił. Mimo zamroczenia natychmiast zrozumiał, że włam to afera na skalę kosmiczną, czyli przyjazd glin i dyrekcji. A on pijany w drobny mak! Już teraz mógł się żegnać z robotą.

– Idę! – powiedział Zawadzki otwierając kaburę.

– Zaczekaj...! – Antczak zaczął dźwigać się z kanapy.

– Ty lepiej zostań – poradził Zawadzki. Wyjął z kabury cezetkę i odbezpieczył ją. – Baba powiedziała, że dzwoniła na policję. Mają zaraz przyjechać. Jak to wszystko bujda, to lepiej nie włącz im na oczy. Przy włamie też niewiele mi się przydasz.

Ruszył w stronę drzwi.

– Idę! – Antczak zdołał wstać z kanapy; przerażenie pomagało odzyskiwać władzę nad ciałem.

Zawadzki zatrzymał się w drzwiach, spojrzął przez ramię na Antczaka, potem przeładował broń i cicho wyszedł w mrok korytarza.

Antczak drętymi palcami wyjął z kabury pistolet i chwiejnie ruszył za Zawadzkiem.

W kantorku było jasno: panoramiczne okno wychodziło na południe, akurat wprost na wielki i biały księżyc. Koń najpierw przeszukał dwa nieduże regały. Potem zabrał się za biurko. Szufladę solidnie zamknięto, więc trochę czasu zeszło mu na wyłamywaniu jej bez hałasu. Następnie sprawdził boczne szafki. Nigdzie nie było metalowej kasety, do której – według informatora Anki – miały zostać schowane pieniądze.

Koń zapatrzył się na rozbebeszone biurko.

Te pieniądze...

Ta Anka...

No i w ogóle oni wszyscy dzisiaj...

Coś nie grało. Na przykład to, że Gebels aktywniej niż zwykle uczestniczył w podziale ról. Figat szukał wykrętów, żeby nie pójść na ten skok. Alis częściej niż zwykle chichotał i opowiadał głupawe dowcipy. Rudy łypał spod oka i szczyrzył ostre zębki jak szczur złapany w pułapkę. W ogóle wszyscy jakoś tak łypali dzisiaj spod oka, unikali patrzenia wprost.

Cisza! Za drzwiami kantorka od dłuższego już czasu panowała absolutna cisza, a przecież kiedy dwóch ludzi chodzi po ciemku w mało znanym terenie, zawsze towarzyszy temu jakiś hałas.

Zabrakło mu tchu. Zaciśnął usta i powoli wciągnął powietrze nosem. Poczł gryzący zapach potu. Własnego potu.

Szybko podszedł do drzwi, otworzył je bezszelestnie i na palcach podbiegł do pierwszego z brzegu stoiska. Przykucnął, chroniąc się w jego cieniu.

Kilka kroków przed sobą na jasnym tle okna zobaczył czarną sylwetkę wysokiego mężczyzny. Facet stał z głową przechyloną i nasłuchiwał. Teraz powoli zaczął się odwracać.

Po tym powolnym odwracaniu, po charakterystycznie przechylonej głowie, wreszcie po czarnym swetrze opinającym zgarbione szerokie plecy, Koń poznał człowieka.

– Co jest, Gebels? – zapytał wstając. – Dlaczego nie nosicie?

Facet odwrócił się jak na sprężynie. Nie był Gebelsem, nawet w przybliżeniu go nie przypominał, a czarny sweter okazał się ciemną, obcisłą kurtką mundurową. W prawej, luźno zwieszanej dłoni, metalicznie połyskiwał pistolet. Facet uniósł go na wysokość biodra.

– Stój spokojnie – powiedział. – I załóż ręce na głowę.

W tym momencie pod sufitem zamigotały jarzeniówki. Koń skoczył.

Do skrzyżowania ulicy Dwóch Mieczycy z ulicą Pięćdziesięciu Bohaterów mieli cały czas z górki, więc nie zapalili silnika. Na skrzyżowaniu czekała Anka. Gdy otwierała drzwi furgonetki, poraził ich niedaleki odgłos wystrzału. Zamarli. Anka pomyślała niemrawo, że strzelaniny i trupów nie wzięta pod uwagę, że coś chyba spartoliła, że na dobrą sprawę powinna była poprosić Konia o zaplanowanie jego własnej wpadki.

Otrzeźwiła ich głucha detonacja i potężny ryk silnika samochodowego. Niebo nad ich głowami przecięły smugi długich świateł i zgasły.

Anka szybko wsiadła do furgonetki, zatrzaskała drzwi. Rudy zapalił silnik. Odjechali.

Na fakt, że Koń wyszedł z tego z życiem, złożyło się kilka przyczyn.

Po pierwsze, strażnik Zawadzki nie dał się namówić Antczakowi na gorzałkę i był trzeźwy. Dlatego nie nacisnął spustu, chociaż miał na to wystarczająco dużo czasu. Mówił później, że w migotliwy świetle zapalających się jarzeniówek zobaczył rozpacz w oczach nadbiegającego chłopca. Po prostu nie mógł strzelić. Jednocześnie zauważył, że jest wyższy i masywniejszy od niego, więc postanowił go obezwładnić. Wyciągnął rękę, żeby go schwytać i w tej samej chwili pod sklepieniem czaszki eksplodowała mu bolesna kula ognia. Nie wiedział, że dostał pięścią w skroń. Runął między stoiska. O tym też nie wiedział.

Po drugie, strażnik Antczak był pijany. No i oślepiło go światło, które sam zapalił. Kiedy stanął w drzwiach służbowego wejścia, zobaczył przemykającą między regałami niewyraźną postać. Strzelił. Nie trafił.

Po trzecie, przybyły na interwencję sierżant Józef Wolski od lat ćwiczył karate i džudo. Dlatego gdy zobaczył pękającą z głuchym hukiem panoramiczną szybę na pierwszym piętrze Kołchozu i lądującego na chodniku jasnowłosego chłopaka, wyskoczył z samochodu i ruszył ku niemu nie wyciągając broni.

Po czwarte wreszcie, zjawiły się na miejscu jeszcze dwa radiowozy. Bo starcie chłopaka z sierżantem Wolskim trwało zaledwie kilka sekund. W tym czasie chłopak z nieprawdopodobną precyzją zadał trzy potężne ciosy i sierżant legł nieprzytomny pod ścianą Kołchozu. Jego kierowca i serdeczny przyjaciel, sierżant Jacek Marczak, nie zdążył wysiąść z samochodu. Na widok masakry dokonanej na Wolskim zawładnęły nim strach i nienawiść. „Jeżeli Józkowi coś...! Ja tego skurwysyna jak psa...!” – pomyślał. Wyszarpnął pistolet, odbezpieczył go, a potem zapalił długie światła, wbił gaz do dechy i ruszył w pościg za uciekającym w stronę ulicy Ostatni Grosz chłopakiem. Dogonił go szybko, zahamował, wysunął pistolet przez uchylone okno i chciał nacisnąć spust. Celował w nogi, a właściwie gdzieś w okolice pośladków, ale był zdenerwowany i mógł trafić gdzie indziej. Wyżej. Wiedział, że musi trafić: przecież przed oczami wyobraźni ciągle widział swojego przyjaciela, Józka Wolskiego, leżącego bez życia pod ścianą Kołchozu. To właśnie wtedy z ulicy Ostatni Grosz wyskoczyły te dwa radiowozy i zamknęły chłopcu drogę ucieczki. A także uratowały mu życie. Bo sierżant Marczak ochłonął. Obejrzał się, zobaczył Wolskiego chwiejnie dźwigającego się z ziemi. Westchnął, rękawem kurtki otarł spoconą twarz i schował pistolet. Chciał wysiąść z samochodu i pomóc Wolskiemu, ale nagle zabrakło mu sił.

Tymczasem chłopak na widok siedmiu otaczających go policjantów opuścił bezradnie ręce.

Rudy zatrzymał furgonetkę na rogu Ku Słońcu i Willowej, choć nie powinien. Zrobił to odru-

chowo: po trzech poprzednich skokach rozstawali się właśnie w tym miejscu.

Alis prychnął ze złością, Gebels zaklął, a Rudy przekręcił kluczyk i gwałtownie zapalił silnik.

– No i macie, to właśnie tak smakuje! – powiedział Figat szyderczo.

– Nie szalej! – Anka położyła dłoń na ramieniu Rudego. – Jedź powoli na tyły twojego domu. Robimy ubaw, tak jak ustaliliśmy.

Gebels znów zaklął.

– Po co te nerwy? – zapytała Anka obojętnie. – Przecież musieliśmy to zrobić. Musieliśmy się go pozbyć. Nie będzie więcej żadnych skoków, możemy wreszcie żyć normalnie, jak ludzie. Zrozumcie to!

Jej spokój podziałał otrzeźwiająco.

– Jesteś pewna, że nie sypnie? – zapytał Gebels.

– Jestem pewna.

– A jeśli uciekł? – szepnął Alis.

– Nie ma obawy! – Anka zaśmiała się wzgardliwie. – Na pewno posłali tam cały pułk glin. Powiedziałam, że włam robią ci sami, co w zeszłym tygodniu napadli gliniarza na dworcu. Powiedziałam, że mają broń.

– Strzał! – mruknął Gebels ponuro. – Dlatego do niego strzelali.

– Może nie żyje... – bąknął Rudy.

– Dałby Bóg! – powiedziała Anka twardo. Co prawda nie planowała śmierci Konia, ale już zdążyła dojrzeć płynące z takiego przypadku korzyści. – Wtedy mielibyśmy go zupełnie z głowy.

– Właśnie! Bo jeśli żyje, to kiedyś wyjdzie z więzienia, a wtedy rzeczywiście przyda nam się Bóg do pomocy! – powiedział Figat szyderczo.

– Może nie żyje – powtórzył Rudy.

– Kurwa mać! – jęknął Alis. – Zabili tego Konia czy go zamknęli? A może uciekł? Gdzie to normalne życie? No gdzie?!

– Ty cholerny tchórze! – wycodziła Anka z nienawiścią. – To ciebie by trzeba załatwić na amen! Przecież widać, że pęknieš w śledztwie!

– Odwał się! – wrzasnął Alis histerycznie. – Odwał się! Odwał się! Odwał...

Dostał w pysk od Gebelsa aż klasnęło. Po chwili zaszlochał cicho.

Dzień pierwszy

Marek Jasionowski myślał o tym przez całą drogę, ale nawet kiedy już opuścił autobus, kiedy wychodził z dworca, wciąż nie potrafił odpowiedzieć na podstawowe pytanie: po jaką cholerę tutaj przyjechał. Tak naprawdę nie miał już do nikogo pretensji; w ciągu długich lat dobrowolnego wygnania dopracował się neutralnego podejścia do tamtych wydarzeń, a także do ludzi, którzy je spowodowali. Tylko że neutralność jakoś nie chciała zmienić się w wewnętrzny spokój. Więc może po spokój tutaj przyjechał? Po szansę na spokój?

Kilka ważnych lat spędził w stanie swoistej anabiozy, w miejscach, które co prawda gwarantowały rozwój szybki i ukierunkowany, ale bardzo niepożądany. Później wegetował z boku, na pograniczu życia; bierny klient własnych nastrojów i przeróżnych przypadków. Może przyjechał tutaj w poszukiwaniu szansy, która umożliwiłaby mu powrót do samego siebie? Każdy wiek ma swoje prawa. Młodość bywa czasem szaleństw i marzeń, czasem beztroskiego wkraczania na najdziwniejsze drogi. Trzydziestka to czas stabilizacji; tylko nielicznym udaje się opanować instynktowną chęć znalezienia przystani. Marek miał dwadzieścia osiem lat.

Przede wszystkim chciał się zobaczyć z Anką, bo to spotkanie mogło najwięcej rozstrzygnąć. Ale nie miał żadnego planu, nie miał również pojęcia, jak do spotkania doprowadzić. Jeszcze w autobusie postanowił, że odwiedzi Ankę w domu.

Wyszedł z dworca w kierunku wschodnim. Biegła tędy ulica Starego Doktora, główna ulica miasta wytyczona na osi północ-południe, czyli równoległa do rzeki. Jak zwykle o tej porze kręciło się tutaj sporo ludzi.

Wbił kciuki w kieszenie dzinsów i rozejrzał się. Miał przed sobą niezbyt szeroką dwupasmową jezdnię, a za nią długi szereg wąskich, czteropiętrowych kamieniczek, ozłoconych promieniami zachodzącego słońca. Uśmiechnął się; ten sielski widok przypominał mu, że jest to jedyne przyjazne miejsce na ziemi; że zna tutaj każdy kamień i że kamienie znają go także. Spojrzał w prawo, zobaczył połyskującą słońcem bryłę nowoczesnego wieżowca, którego nie było tu dziewięć lat temu – i przestał się uśmiechać.

Szybko przeszedł przez jezdnię. Ruszył w lewo, w stronę Willowej. Właśnie zamierzał w nią skręcić, gdy czyjś natarczywy wzrok zwrócił jego uwagę. Spojrzał i dostrzegł kobiecą twarz, niezwykle bladą i ściągniętą dziwnym grymasem. Kiedy kobieta napotkała jego wzrok, odwróciła się i odeszła pospiesznie. Nagle ruszyła biegiem. Ten grymas go zwiódł; rozpoznał kobietę dopiero, gdy wpadła do najbliższej bramy: Zosia! Jego siostra!

Odruchowo ruszył za nią, ale zatrzymał się po kilku krokach. Uciekła. Uciekła przed nim! Dlaczego?

Wtedy zobaczył mężczyznę wpadającego biegiem do tej samej bramy. Mężczyzna na sekundę zwrócił ku niemu twarz. Bładą, napiętą, przestraszoną. Znajomą. Alis!

Alis i Zosia? To raczej niemożliwe, żeby oni ze sobą... Żachnął się: możliwe czy nie, wszystko jedno! Ale dlaczego Zosia uciekła? Nie widzieli się kupę czasu i jedyną naturalną reakcją powinna

być radość z powrotu brata. Dlaczego strach? Dlaczego?

Strach Alisa był łatwy do wytłumaczenia: widocznie dla niego tamta sprawa sprzed dziewięciu lat wciąż była żywa i aktualna, a wraz z powrotem Marka nabierała konkretnego i groźnego wymiaru. Najwyraźniej drogi życiowe ludzi związanych z tamtą sprawą miały coś wspólnego. Ale Zosia? Dlaczego się bała?

Mógł pobiec za nimi. Wiedział, że dogoniłby ich bez trudu, bo doskonale znał wszystkie przejściowe bramy w Śródmieściu. Nie pobiegł. Powstrzymał go ten niewytłumaczalny strach siostry; czasami lepiej nie szukać odpowiedzi u źródła – lepiej dla źródła, lepiej dla szukającego.

Skręcił w Willową, bo rzeczywiście przede wszystkim chciał spotkać Ankę. Spotkał Rudego.

Zosia od razu zorientowała się, że jest ścigana. Nie obejrzała się jednak; i tak wiedziała, że przed Markiem nie zdoła uciec. Wypadła na boczną uliczkę prowadzącą do ulicy Starego Doktora i zatrzymała się przed wystawą sklepu fotograficznego. „Niepotrzebnie uciekałam!” – pomyślała. Wtedy w wielkim lustrze zawieszonym za szybą wystawy zobaczyła obok swojego odbicia odbicie faceta, niedużego blondynka. Znała go. Pamiętała te delikatne blond loczki i urodę niewinnej panny. Marek mówił na niego Alis. Jeden z dawnej paczki. Jeden z tych, którzy wsadzili Marka do więzienia.

Odwróciła się. Dostrzegła zdyszenie Alisa, przestraszony malunek na twarzy i niezwykłą bladość szybko wypierającą nikły rumieniec wywołany biegiem. To nie Marek ją gonił: to Alis biegł za nią także uciekając przed Markiem. Od razu zrozumiała, że Marek może się tu lada chwila zjawić.

Serce gorącą kulą skoczyło do gardła; Zosia odwróciła się i w dwóch skokach dopadła najbliższej bramy. Usłyszała za sobą biegnącego Alisa. Kiedy skryła się w przyjaznym półcieniu bramy, poczuła przyływ ulgi. „Marek nic nie wie!” – pomyślała. „Jeszcze nie mam się czego bać. Jeszcze!” Oparła się o ścianę; chłód olejnej lamperii przenikający przez cienką bluzkę podziałał kojąco. Spojrzała na Alisa. Bladość pokrywająca policzki, drżące usta chwytające krótki oddech, trzepotliwe przymrużenie powiek nie kryjące strachu malującego się w ładnych szarych oczach. „On też się boi” – pomyślała. „Ale on po dziewięciu latach już nie ma się czego bać. Gdyby Marek chciał się na nim mścić, wróciłby pięć lat temu, zaraz po wyjściu z więzienia”. Wtedy przemknęło jej przez głowę przypuszczenie, że Marek wrócił, bo dowiedział się o niej i o Wandzie. W takim razie dobrze zrobiła uciekając: jej brat w pierwszym gniewie był nieobliczalny. Później, kiedy poprzez czerwony płaszcz wściekłości przebijało się coś, co można było nazwać rozumą... Później można było z nim porozmawiać, później można było wiele mu wytłumaczyć. Później wiele rozumiał sam.

– Wrócił! – szepnęła Alis. Obejrzał się niespokojnie i przesunął się w cień obok Zosi.

– Tak. O ile znam mojego braciszka, to muszę się dobrze schować na kilka dni – powiedziała. I ugryzła się w język. Potrafiła być bezwzględna i bez wysiłku czy zażenowania umiała rąbać prosto w oczy niewygodną prawdę, ale bardzo rzadko mówiła o własnych niepokojach. I tylko Krzysztofowi. Musiała być mocno wytracona z równowagi, jeżeli strzeliła czymś takim do Alisa.

Ten skrzywił się.

– Ty przecież nie masz się czego bać – rzekł strofująco. – W końcu jesteś jego siostrą. I w tym nie brałaś udziału. To ja mam się czego bać. My, z jego paczki! Koń zawsze był wariat. – Obejrzał się niespokojnie. – Nie dogoni nas?

– Już by dogonił, gdyby miał gonić. Widocznie nie pobiegł za nami – powiedziała. Jednocześnie zdziwiła się: „Czyżby on naprawdę tak słabo znał Marka?” Dodała: – Marek wrócił teraz. Dopiero teraz. Gdyby chciał się na was mścić, wróciłby pięć lat temu, zaraz po wyroku. Przecież go znasz. Wiesz, że zawsze najpierw działał, potem dopiero myślał. Jeżeli nie wrócił zaraz po wyjściu więzienia, to znaczy że już wtedy nie miał pretensji.

Alis ponownie się skrzywił, ale tym razem to skrzywienie już trochę przypominało uśmiech. Strach był uczuciem nawiedzającym go zdecydowanie zbyt często. Cierpiał na samą myśl, że znów będzie się bał, więc z radością powitał nawet cień nadziei.

– Mógł odczekać... – rzekł niepewnie. – Mógł odczekać, żebyśmy się poczuli bezpieczni. Dlatego wrócił dopiero teraz, żeby uderzyć tym boleśniej.

– To nie Marek. Nie ma w nim nic z intryganta. Ty mógłbyś tak postąpić, nie on.

Alis zacisnął usta.

– Skąd wiesz? Nie widziałas go dziewięć lat. Mógł się zmienić.

– Aż tak? Ciebie też nie widziałam kilka lat, jednak nie zmieniłeś się wcale, Alis! – zaakcentowała ksywkę. Nie lubiła operować przezwiskami, uważała, że w takim zwracaniu się do człowieka jest coś lekceważącego. Ale zdarzały się chwile, kiedy trzeba było okazać lekceważenie.

Alis znów tylko zaciśnięciem ust zademonstrował niechęć.

– Szybka jesteś, niewiele potrzebujesz, żeby wydać wyrok, wystarczy ci kilka chwil rozmowy.

– Wyroki to wasza specjalność! – zripostowała. – Ale ja też mogę, czemu nie. Wiesz o tym, że sporo mogę. Nie tylko tutaj. W wolnej chwili pomyślę, jak wam odpłacić za Marka. Właściwie już dawno temu powinnam była to zrobić.

Alis przełknął ślinę. Pomyślał o długich rękach Mokrzyckiego. I co? I znowu strach? Znowu próba odgadnięcia, co się za jego plecami dzieje? Skąd padnie cios? Spróbował się uśmiechnąć.

– Po co zaraz te nerwy, Zosiu...

– Jestem spokojna i ty o tym wiesz, Alis! – przerwała mu.

Chrząknął niepewnie. Oczy biegały mu tu i tam, starannie omijając twarz Zosi. Nagle spuścił głowę. Zosia zrozumiała, że jej zwycięstwo było zbyt łatwe, żeby mogło być prawdziwe. Zresztą Alis zawsze był śliski i giętki niczym węgorz. Ale nie zwycięstwo nad Alisem było jej celem. Wciąż próbowała odpowiedzieć na pytanie: Czy Marek wie? I była prawie pewna, że nie może wiedzieć, bo inaczej pobiegłby za nią. Ale dowie się, i to szybko. Wystarczy, żeby poszedł do ojca... No właśnie, przecież skreślił w Willową!

Alis podniósł głowę. Do ust miał przyklejony przymilny uśmiešek.

– Ty chyba nie mówiłaś poważnie...

– Nie mówiłam poważnie – wpadła mu w słowa. – Marek nie ma zamiaru mścić się na was, więc to tym bardziej nie moja sprawa.

– Dlaczego wrócił?

Zosia oderwała się od ściany. „Jesteś dziennikarzem” – pomyślała patrząc na Alisa. „Jesteś niezłym dziennikarzem. Pisziesz o ludziach, o życiu. Ale tak na życie, na swoje własne życie, to jesteś po prostu idiotą. Tchórzliwym idiotą”. A potem dodała z ironią: – „Szybka jestem w ferowaniu wyroków!”

– Może być sto przyczyn jego powrotu – powiedziała, – w tym także pragnienie odegrania się na was. Ale ja widzę tylko dwie. Mógł dowiedzieć się o Wandzie i o mnie, rozumiesz... – urwała trochę zmieszana. – Mógł także wsiąść do autobusu i sam nie wie, dlaczego to zrobił. Już taki jest: najpierw działa, potem myśli.

– Noo... – Alis głęboko zaciągnął się powietrzem. – Całkiem możliwe, że masz rację.

– Lepiej będzie, żebyście przez kilka pierwszych dni nie włązili mu na oczy. Jak któregoś z was zobaczy, to może go trafić szlag – powiedziała i zachichotała nagle.

– Tak, oczywiście. Trzeba by zawiadomić wszystkich. Mam telefon Rudego.

– Dobra myśl. Tylko się pospiesz. Marek skrecał w Willową, kiedy go zobaczyłam. Pewnie chce się zobaczyć z ojcem. A na Willowej mieszka Rudy.

Alis spojrzął na nią szybko.

– Rudego nigdy specjalnie nie lubił – powiedział. – Jeżeli na dokładkę wie o tobie i o Wandzie... – urwał.

Zosia pokiwała głową.

– No właśnie. Chodźmy.

Ruszyła w stronę wyjścia, ale zatrzymała się po dwóch krokach. Alis, który ruszył za nią, szybko cofnął się pod ścianę.

– Co? – szepnął. – Co się stało? Koń?

Zosia odwróciła się i spojrzała na niego uważnie.

– Nie. Nie Koń.

– Więc co się stało? Mieliśmy uprzedzić Rudego...

Zbliżyła się do Alisa.

– Willową jest krótka. Marek pewnie już minął Rudego i dotarł do ojca – powiedziała. – Może-

my jeszcze chwilę porozmawiać. Mam pomysł.

Alis oderwał się od ściany. Potrząsnął głową i zaśmiał się nerwowo. Niepewnym ruchem uniósł dłoni i przyglądał zwichrowane loki.

Zosia obserwowała go w skupieniu. „To dobrze, że właśnie jego spotkałam” – myślała. „Rudy też się boi, ale zawsze potrafi kąsać i jest za cwany dla mnie. Gebels nie okaże strachu, chyba żeby musiał stanąć oko w oko z Markiem; mnie potraktowałby pobłażliwie, jak niegrzeczną dziewczynkę. Krzysztofowi ufam, a zresztą on jest taki sam wariat jak mój brat. Anka mną pogardza, bo mam odwagę otwarcie robić to, co ona ukrywa pod płaszczykiem małżeństwa. To dobrze, to bardzo dobrze, że właśnie Alisa spotkałam!”

– Gdzieś niedaleko dworca została moja narzeczoną – zaczął Alis. – Koń poszedł, więc...

– Mam pomysł – powtórzyła.

Nieznacznie wzruszył ramionami i spojrzał ponad jej głową w stronę wyjścia.

– Słucham.

– Powiedziałaś, że zawiadomisz Rudego o powrocie Marka. Ja zawiadomię Ankę, Gebelsa i Krzysztofa. Proponuję, żebyśmy się u mnie spotkali. Jeszcze dzisiaj. Jest teraz (tu Zosia spojrzała na zegarek) wpół do dziewiątej. Spotkamy się za dwie godziny, o wpół do jedenastej.

Alis uniósł brwi.

– Też pomyślałem o spotkaniu.

– Wiem.

– Co?

– I tak teraz nie dojdziemy, dlaczego Marek wrócił, ale dla waszej paczki jest to sprawa najważniejszej wagi – powiedziała patrząc na Alisa spod przymrużonych powiek. – Zrozumiałam, że musicie to obgadać, że musicie się gdzieś spotkać. Wolę, żeby to się stało pod moim okiem. Nieważne, co Marek ma do mnie, to przecież mój brat.

– Nie rozumiem.

Skrzywiła się drwiąco.

– Przypuszczam, że dziewięć lat temu, kiedy knuliście jego wpadkę, też spotkaliście się w tym samym składzie. Nie mam zamiaru pozwolić wam na wymyślenie podobnego świństwa. Dlatego proponuję spotkanie u mnie. Za dwie godziny, o wpół do jedenastej. Nie radzę robić żadnych numerów i spotykać się gdzieś za moimi plecami. Wiesz, że Mokrzycki dużo może. Napuszczę go, a on was zetrze z powierzchni ziemi. Ciebie też. Ma świetne układy, nawet w Warszawie. Polecam to twojej uwadze. I pamięci.

Alis potrząsnął głową; wyglądał na oszołomionego.

– Cholera! – wymamrotał pod nosem.

– Pamiętaj, ostrzegłam cię. Zawiadom Rudego o spotkaniu, ja zawiadomię Krzysztofa, Ankę i Gebelsa. Teraz idź szukać narzeczonej.

– Zaraz, Zosiu!

– Tak?

– Myśl o świństwie, które mu zrobiliśmy, prześladowuje mnie od dziewięciu lat. Zawsze, nawet w łóżku z dziewczyną. I często się zastanawiam, co by się stało, gdybyśmy wtedy Konia nie wsadzili – powiedział jakby do siebie, jakby w zamyśleniu, głosem monotonnym, ale spojrzenie miał ostre, kłujące, i dlatego Zosia nie zdziwiła się, gdy zaczął mówić twardo, mocno: – Myślę, że źle by się stało! A dowód mam przed oczami: ciebie! Koń był bezwzględny i silny, nie liczył się z nikim i z niczym, niczyich uczuć nie potrafił uszanować. Jesteś do niego bardzo podobna. Nawet gdybym cię nie znał, rozpoznałbym w tobie jego siostrę.

Roześmiała się.

– Pudło, Alis! Marek jest gwałtowny i działa pod wpływem chwili, może dlatego wydaje się bezwzględny. Ale jest dobry, a to po prostu znaczy, że jest głupi. O jego głupocie świadczy fakt, że was wtedy nie wsypał. Ja nie jestem dobra. Nie jestem więc również głupia. Pamiętaj!

Rudy nie był rudy – jego pseudonim pochodził od nazwiska – ale brzydki jak nieszczęście: tak przynajmniej twierdziły kiedyś wszystkie znajome dziewczyny. Sporo zmienił się przez dziewięć lat, i to na niekorzyść. Postarzał się wyraźnie, jego szczurzy niegdyś pyszczek pokrywały teraz gru-

be fałdy zmarszczek, przytył dziwnie w biodrach i wyłysiał: wąte blond włosy wążutkim wiankiem okalały gołą czaszkę. Ubrany w białe spodnie i taką samą koszulkę, właśnie wychodził z ozdobnej, kutej w ciężkim żelazie furtki. Poznał Marka natychmiast i w jego niedużych oczkach zamigotał strach. Szybko zerknął za furtkę.

Marek też spojrział tam odruchowo. Niespełna dziesięć kroków za furtką wznosiła się ściana wili z wielkim, szeroko otwartym oknem, za którym widać było wspaniale oświetloną, odwróconą tyłem zgrabną dziewczynę. Dziewczyna była naga i szła w głąb ciemnego pokoju. Smugi bieli po kostiumie na opalonych plecach i pośladkach prowokująco kołysały się w takt płynnych kroków. Odwróciła się, gdy jej twarz – już i tak trochę przysłonięta sięgającymi do ramion blond włosami – znalazła się w cieniu rzucanym przez górną krawędź okna. Uniosła ramię jak do pożegnalnego gestu – piersi błysnęły błękitną bielą – i w następnej chwili odskoczyła w mrok: dostrzegła Marka. Musiała być bardzo ładna; choć nie zobaczył twarzy, uważał za mało prawdopodobne, żeby takie ciało mogło należeć do brzydkiej dziewczyny. Zresztą i dawniej Rudy tolerował tylko ładne, jeśli nie piękne, dziewczyny, a Marek po tym, co zobaczył w oknie, miał prawo sądzić, że przyzwyczajenia Rudego nie uległy zmianie. Rudy mawiał niegdyś: „Lubię, kiedy naga dupa kręci się po domu. To podnieca. Jak mam ochotę, mogę ją szybko zerznąć albo ona ciągnie mi druta”. W sumie, mimo że było to dosyć wulgarnie, nie wydawało się Markowi aż tak plugawie, kiedy siebie stawiał w roli głównej. Ale samo przypuszczenie, że ktoś mógłby ciągnąć Rudemu druta, wywoływało mdłości. Jednak zawsze znajdowały się ładne dziewczyny gotowe to robić. Cóż, czarodziejska siła forsy.

Rudy odwrócił głowę, więc Marek spojrział na niego – i odczytał przerażenie w błysku oczu i grymasie ściągającym usta. Odczytał tym łatwiej, że Rudy natychmiast przymrużył powieki kryjąc błysk oczu i spróbował się uśmiechnąć. Bo Rudy zawsze bał się na sposób szczura zapędzonego w pułapkę: nie tracił głowy, ukrywał strach – i próbował kąsać.

Nastąpiła chwila ciszy.

Nie wiedział, dlaczego Rudy milczy; być może nie mógł wydobyć głosu z zaciśniętego strachem gardła. On sam po prostu nie miał ochoty mówić, bo zawsze uważał Rudego za wesz niegodną uwagi i teraz także najchętniej minąłby go bez słowa. Ale stał. I czekał. I czuł, jak wypracowana latami neutralność zaczyna się rozplýwać ustępując miejsca odrazie, która z kolei zaczynała wydobywać z dna duszy dawno pogrzebaną chęć odwetu. Na razie było to wrażenie dosyć nikłe. Cekał, bo przede wszystkim zaintrygowało go niezwykle przerażenie Rudego. Powinien się wystraszyć na jego widok, to jasne, ale nie bardziej niż Alis – ich wina była przecież podobna. Tutaj najwyraźniej strach miał inne podłoże.

Wtedy pomyślał, że w sylwetce dziewczyny i w układzie jej włosów było coś znajomego. Ee, bzdura! Zgrabne ciała zawsze są podobne.

– Wróciłeś, Koniu – Rudy przemówił pierwszy. Nadspodziewanie szybko zdławił przerażenie. Oczka zaczęły mu latać niespokojnie, usta wykrzywił brzydki grymas, ale to świadczyło już tylko o normalnym zdrowym strachu, który powinien towarzyszyć spotkaniu Marka.

– Jak na to wpadłeś? – bąknął. Zachowanie Rudego wciąż go intrygowało: szczur zbyt nagle spanikował i zbyt nagle się uspokoił. „To ta dziewczyna. Nie poznałem jej, a powinienem” – pomyślał. „Przecież to nie Anka! Zresztą Anka...” Anka niewiele go obchodziła jako kobieta, mogła się puszczać nawet z Rudym.

– Dawno wróciłeś? – Oczka Rudego wciąż biegały niespokojnie.

Zignorował pytanie. „Dziewczyna. Boi się, że ją poznam, jak zobacę jeszcze raz. Jeśli tak, to...” Spojrział w okno i zmarszczył brwi. Nie zawiódł się: Rudy obejrzał się natychmiast.

– Czego ty się boisz, Rudy? – zapytał, chociaż wiedział, że to bezcelowe, chociaż wiedział, że pytając uświadamia Rudemu swoją niewiedzę.

Rudy zbyt szybko odwrócił z powrotem głowę, nie zdążył zetrzeć z twarzy grymasu przerażenia. Ale natychmiast roześmiał się, jeszcze nieco sztucznie.

– Ja? Nie boję się! Niczego się nie boję! – rzucił pospiesznie. Błyskawicznie nabierał animuszu: oczywiście już zrozumiał, że Marek nie przeniknął jego tajemnicy. – Naprawdę niczego się nie boję! Czego miałbym się bać?

– Nie wiem – odparł Marek cicho. – Ale dowiem się. A wtedy, jeśli będzie to konieczne, wrócę

tu.

Rudy zasępił się, jakby skulił. Zaraz jednak hardo podniósł głowę.

– Straszysz? – zapytał napiętym wysokim głosem i natychmiast powtórzył jeszcze piskliwiej: – Straszysz?

– Ciebie? Skądże! Przecież wiem, jaki z ciebie bohater.

– Nie te czasy, Koniu, nie mamy po dziewiętnaście lat. Dużo się u nas zmieniło. Ja teraz wiele mogę, a ty wypadłeś z układów i jesteś obcy! – zapewnił Rudy butnie. Jego oczka na chwilę przestały latać i patrzyły na Marka prawie z drwiną. Potem znów zalatały, a ich właściciel uśmiechnął się przymilnie i dodał: – Dawno wróciłeś? Szukałeś mnie? Może ci w czymś pomóc?

Marek, przyglądając się kolejnym metamorfozom twarzy Rudego, stwierdził, że bez trudu odgaduje główne myśli przewijające się przez tę szmatławą czaszkę. No cóż, podobno urodził się na przywódcę i znał ludzi, a raczej znał się na ludziach, zawsze potrafił ich właściwie ocenić. Raz popełnił błąd, przed dziewięciu laty. I może właśnie dlatego wrócił? Może nareszcie chciał się dowiedzieć, w którym miejscu popełnił błąd?

Pomyślał, że traci czas gadając z Rudym, stercząc przed jego domem... Zaraz, przecież on chyba nie tutaj mieszkał!

Ulica biegła nieco w górę, jak wszystkie ulice w tym mieście wytyczone na osi wschód–zachód i zbliżające się do rzeki, dlatego każda z kolejnych willi wyrastała trochę nad poprzednią. Bez trudu zobaczył więc spadzisty dach i charakterystyczną wieżyczkę dwa domy dalej. Tam mieszkał Rudy.

„Więc może dziewczyna to żona sąsiada i dlatego on tak spanikował?”

– Twoje? – zapytał, ruchem głowy wskazując posiadłość przy której stali.

Rudy rozpromienił się.

– No oczywiście, oczywiście, że moje! Stary kopnął w kalendarz niedługo po tym, jak ciebie... No, nieważne. Przejąłem interes, rozkręciłem go, a potem kupiłem tę chałupę. Na starych śmieciach została matka, mnie tam było za ciasno, zresztą nigdy nie lubiłem tamtej budy...

– Wszystko?

– Co wszystko?

– Wszystko twoje? Dom? Dupa?

Rudy znowu stropił się: dziewczyna była jednak kwestią drażliwą.

– No... wszystko... Tak, wszystko! Dom. Dupa. Samochód też. Mam merca klasy S, tegoroczny... Mam też interes całkiem niezły... – Rudy urwał nagle, rozejrzał się szybko, a gdy podjął monolog, mówił ściszym głosem. Gesty te miały zbliżyć ich, położyć fundamenty pod odbudowę wzajemnego zaufania. – Tak między nami, starymi koleżkami, to mam nie jeden interes, nie dwa. Myślę nawet, żeby zorganizować coś w Warszawie, bo już duszę się w tym grajdole, sto tysięcy mieszkańców to tyle co nic. Ale pamiętaj, to było tak między nami. Jak byś szukał roboty, ja ci zawsze pomogę. Już mówiłem, że dużo się u nas zmieniło. Teraz jestem kimś.

To właśnie wtedy Marek pomyślał po raz drugi, że traci czas. I wtedy także podjął decyzję, że rachunki między nimi muszą zostać wyrównane. Później było mu głupio, gdy szukał motywów tej decyzji. Bo jadąc tutaj niczego z nikim nie chciał wyrównywać, no może tylko z Anką, ale też odrobinę, nie do zera. Więc co go tak poruszyło, że właśnie od Rudego zaczął? Powodzenie w życiu, którym tamten na przemian kłuł i się zasłaniał? A może świadomość prostego faktu, że przez tę weskę każda pobłażliwość zostanie opacznie zrozumiana?

Coś z podjętej decyzji musiało się odbić na jego twarzy, bo Rudy nagle strzelił pytaniem:

– Przecież nie wróciłeś, żeby się mścić, co? Po dziewięciu latach...

– Więc wiesz, że mam powód do zemsty na tobie – powiedział cicho. Ucieczka Alisa świadczyła, że tamten też wie. A o czym świadczyła ucieczka Zosi?

– Na mnie? No coś ty, coś ty! Przecież ja... ja ich wtedy tylko posłuchałem...

– Posłuchałeś – powtórzył i uśmiechnął się łagodnie. Rudy drgnął, w zneruchomiałych nagle oczach błysnął strach. Zaczął się cofać. „On też mnie zna” pomyślał Marek. – A co byś zrobił, gdyby ci kazali skoczyć w ogień? – zapytał. – Skoczyłbyś? To byś się poparzył. Wtedy też się poparzyłeś, a bąble wyjdą dopiero teraz.

– Jesteśmy dorosłymi ludźmi...! – zaczął Rudy podrywając ramiona. Nie dokończył; silny cios

przełamał nieudolną zasłonę i ugodził go w twarz. Rudy runął na chodnik.

W głębi domu rozległ się stłumiony okrzyk. Marek uważnie spojrzął w okno, ale nie dostrzegł nikogo.

Roztarł rękę i popatrzył na Rudego. Leżał nieruchomo i bezwładnie, robił wrażenie trupa, a przynajmniej nieprzytomnego. Właściwie miał ochotę jeszcze mu przyłożyć, żeby naprawdę stracił przytomność. Ale ta dziewczyna gdzieś w głębi domu... Własna przewaga wzrostu, wagi, siły, umiejętności walki tak bezpardonowo na jej oczach nadużyta... No i pogarda dla tej wszy rozmąślonnej na chodniku. Wystarczy jeden cios, niedługo i tak się okaże, że o jeden za dużo. Właściwie już się zaczęło okazywać, już był na siebie zły. Ledwo przyjechał, a pierwszy napotkany łach sprowokował go do rękoczynów. Czy to się nigdy nie skończy? Przecież nie tego chciał wracając. A czego chciał?

– Jesteśmy kwita – powiedział. – Nasz rachunek został zamknięty. Pilnuj się, żebyś nie otworzył nowego.

Rudy powoli zbierał się z chodnika. Robił to jakoś chyłkiem, jakby wciąż nie wierzył, że na tym jednym ciosie będzie koniec. Musiał mieć łądak coś jeszcze na sumieniu.

– Jesteśmy kwita! – potwierdził skwapliwie. Oczy miał przymrużone albo już podpuchnięte. Z rozbitego nosa kapała krew brudząc koszulkę i spodnie.

Marek ruszył w górę ulicy omijając Rudego. Po sekundzie huknęła zatraskiwana furtka, zgrzytając kluczem.

– Rachunek otwarty! – usłyszał. – Otwarty na nowo!

To parszywy szczur! Wciąż jeszcze w pułapce, a już zaczyna kąsać. Marek zawrócił.

– Chyba nie sądzisz, że ta furtka mnie zatrzyma? – spytał z uśmiechem.

Rudy cofał się powoli w kierunku domu. Nad jego głową w głębi mieszkania zamajaczył jakiś cień. Mogła to być dziewczyna, ale już na pewno ubrana. Rudy domyślił się, że ona jest gdzieś w pobliżu, bo wrzasnął nagle: – Policja! Dzwoni na policję!

– I to też mnie nie zatrzyma – powiedział Marek łagodnie. – Minęło dopiero dziewięć lat, ty mały gnoju. Jeszcze rok do przedawnienia.

– Policja... – powtórzył Rudy cicho. Sflaczał nagle, ale nie przestał się cofać. Spomiędzy podpuchniętych powiek obserwował Marka oczami błyszczącymi nienawiścią.

Nie miał ochoty już bić Rudego. Byłoby to równie bezcelowe, co prztyczki w nos wymierzone prawdziwemu szczurowi; albo zabić, albo ominąć. Natomiast miał ochotę przeskoczyć furtkę i obejrzeć dziewczynę z bliska. Rudy zapewne ścierpiałby i to, zaszachowany rokiem brakującym do przedawnienia, sparaliżowany strachem. Ale dziewczyna... Ona mogła nie wytrzymać i zadzwonić po policję. A tego chciał jak najdłużej uniknąć; tutejszym glinom wołał się nie przypominać.

Odwrócił się i ruszył swoją drogą. Idąc czuł, jak rodzi się w nim chłodna determinacja, bardzo przypominająca ponurą złość. Gdyby dało się ją wyartykułować dźwiękiem, zabrzmiałaby jak głuchy, ostrzegawczy warkot w piersi drapieźnika, który niespodziewanie napotkał przeciwników oddzielających go od pewnej zdobyczy.

Drapieźnik. Zdobycz. Może i był drapieźnikiem, ale jadąc tutaj nie widział żadnej określonej zdobyczy. A to, że od początku musiał walczyć i rozdawać potężne ciosy w zupełnie błahych sprawach – to było normalne. W końcu życie to bezustanna, często podświadoma walka o drobiazgi, jeżeli drobiazgiem można nazwać każdą minutę własnego istnienia.

Strach, trochę złagodzony wyjaśnieniami Zosi, potem znów obudzony jej pogroźkami, tkwił w duszy Alisa i uwierał, ciążył we wnętrzościach jak ołowiany wąż. „Wyjadę” – myślał. „Nic tu po mnie. Z jednej strony Koń, z drugiej Mokrzycki. Niech Koń się wyszaleje. Niech Mokrzycki podziała. Ja muszę być daleko”.

Nie miał pojęcia, w jaki sposób znalazł się na ulicy Starego Doktora. Szedł w kierunku dworca, szedł szybko, jakby już teraz zamierzał kupić bilet i wsiąść do autobusu. Nagle, przed wejściem do hotelu „Astor”, zobaczył rozglądającą się bezradnie Krystynę, swoją narzeczoną, i cofnął się, bo miał zatelefonować do Rudego, a wołał, żeby Krystyny przy tej rozmowie nie było. Zawrócił w stronę poczty; spodziewał się, że przynajmniej jeden z zainstalowanych tam automatów będzie sprawny i nie zajęty. Nie zawiódł się. Numer Rudego miał zanotowany w głowie od dnia, w którym

przeprowadzili pierwszy wspólny interes, od dnia, w którym niewielkie pieniądze zarabiane na sporadycznych publikacjach zaczęły się gwałtownie mnożyć.

Telefon odebrała Wanda. Chciał powiedzieć, że wrócił Marek, jej braciszek, ale w tym samym momencie ona to powiedziała.

– Co? – bąknął zaskoczony.

– Wrócił Marek, mój braciszek! – powtórzyła wyraźnie ucieszona. – Wiem, że jest to dla ciebie tak samo ważne jak dla Jurka, więc uprzedzam, bo nie życzę ci, żebyś się z Markiem spotkał i wyglądał tak samo jak Jurek.

Alis wstrzymał oddech. Poczul falę ciepła zalewającą twarz. Spociał się nagle.

– Co cię tak zamurowało?

– Rudy... Rudy się z nim spotkał? – wydyszał w słuchawkę.

– Przecież mówię. Kilka minut temu. Przed domem. Teraz siedzi obok mnie i przykłada lód do twarzy. Wygląda fatalnie.

Mocniej ścisnął słuchawkę, przedramieniem osuszył twarz, odruchowo przyglądał loczki i rozejrzał się chyłkiem, jakby sprawdzał, czy ktoś nie podsłuchuje.

– Co się stało? – szepnął.

– Co? Mów głośniej, nic nie słychać.

– Co się stało?

Wanda zachichotała.

– Mój braciszek strzelił Jurka w pysk. Widziałam przez okno. Raz go strzelił, ale bardzo dokładnie.

– Za co?

– A bo ja wiem! Jurek mówi, że za nic. Co? – w słuchawce zaszemrał czyjś niewyraźny, odległy głos. – Aha, teraz mówi, że za tamto. Mówi, że ciebie też strzeli, żebyś uważał.

Alis znów się rozejrzał.

– Widziałem go – powiedział cicho. – Widziałem. I Zosia też. Uciekliśmy. Udało nam się. Zosia twierdzi, że nie mamy się czego bać, my z dawnej paczki, ale... ale wychodzi na to, że jednak mamy. Zosia organizuje u siebie spotkanie dziś wieczorem, o wpół do jedenastej. Będą wszyscy z dawnej paczki. Prosiła, żebyście przyjechali.

– Do Zosi?

– Tak.

Głos Wandy zabrzmiał w słuchawce z pewnego oddalenia; dzieliła się wiadomością z Rudym. Alis znów rozejrzał się chyłkiem. Potem odetchnął. Potem rozluźnił kurczowy chwyt spoczonej dłoni na słuchawce. Nagle uświadomił sobie, że kuli się przy automacie. Energicznie wyprostował zgarbione plecy, ale po chwili – nieświadomie – znów się skulił. Czuł się jak tropiony, a nawet więcej: jak osaczony.

– Dobra, przyjedziemy – powiedziała Wanda. – Słuchaj, to będzie dopiero za dwie godziny, a Marek zapowiedział, że jak się dowie o mnie, to jeszcze tu wróci. Jurek panikuje. Mówi, że musi się schować. Co? Panikujesz, przecież widzę. Cały się trzęsiesz ze strachu.

– Wsiadajcie do auta i jedźcie gdzieś – poradził Alis. – Do Gebelsa. Albo do Anki.

– Niezła myśl! W porządku, Adam, muszę kończyć, bo ten tu zdechnie mi ze strachu. Spotkamy się u Zosi.

– Tak – bąknął.

Odwiesił słuchawkę. Naraz pożałował, że dzisiaj po południu uległ Krystynie i zgodził się na ten spacer po Śródmieściu; mimowolnie został wplątany w wydarzenia, których finał mógł boleśnie wstrząsnąć jego życiem. Pomyślał o Gebelsie. Silny, duży, pewny siebie. Na dokładkę policjant. Na pewno coś poradzi.

Nie miał numeru jego telefonu, ale mógł tam pójść.

Rozejrzał się – niewiele jednak widział, bardziej patrzył w siebie, niż na otaczający go tłum – i machinalnie ruszył w kierunku hotelu „Astor”.

Jeżeli Koń poszedł do ojca, to znajduje się całkiem blisko, na Ku Słońcu. Jeżeli poszedł... Po drodze wymierzył pierwszy cios: Rudy na Willowej, dosłownie kilka kroków stąd, przykłada lód do

twarży, na której wylądował ten cios, i zdycha ze strachu, jak to określiła Wanda. Jego szczęście, że może sam ten łód przykładać, że ma jeszcze na to siły. Koń najwyraźniej był w łaskawym nastroju, bo inaczej Rudy kwalifikowałby się na oddział reanimacyjny miejscowego szpitala. Albo od razu do kostnicy.

„Zaczęło się!” – pomyślał.

Od dawna wiedział, że kiedyś się zacznie. Wiedział już dziewięć lat temu, gdy brał udział w posłaniu Konia za kratki. Już wtedy zaczął się bać. Był słaby. Miał wyobraźnię. Ten mariaż w sytuacjach życiowych, w które się uwikłał, sprawił, że charakter miał rozchwiany jak dymek z papierosa.

„Zaczęło się!” – powtórzył.

„Wyjadę. Jak najszybciej!” – postanowił. Miał ochotę wyjechać już teraz. Niestety, wybrał się na ten weekend z narzeczoną i musiał liczyć się z jej zdaniem. Krystyna była mądra, bezkompromisowa i odważna. Gdyby zaczął panikować, doszłaby prawdy, dogrzebałaby się jego strachu. Do tego nie mógł dopuścić. A Krystyna przyjechała tu w konkretnym celu, chciała zobaczyć kasyno i zorganizowane w niedzielę wieczorem tańce nad rzeką dla uczczenia najkrótszej nocy w roku.

Wynurzyła się z tłumy tak samo jak tłum nierealna. Zmusił się do powrotu, do skoku w konkret, w tu i teraz. Zmusił się do cierpliwości: Krystyna zgłosiła pretensje za zostawienie jej samej.

– Przepraszam – powiedział. – Zgubiliśmy się. To zwykły przypadek. Przepraszam cię.

Uśmiechnęła się.

– Opowiadałem ci kiedyś o moim koledze policjancie – rzekł. – Dawno go nie widziałem. Chciałbym, żebyście się poznali. On może być niewyczerpaną kopalnią tematów. Chodźmy tam, dobrze?

– A kasyno?

– Kasyno i tak otwierają dopiero o dziesiątej. Pójdziemy, co?

Gebels jest wielki, silny, pewny siebie. Przed dziewięciu laty potrafił wspierać Figata w jego atakach na Konia. Tak. Gebels jest wielki i silny.

I tym razem jeszcze nie dotarł do Anki. Właśnie zbliżał się do przecznicy zwanej Ku Słońcu, kiedy zatrzymał go widok znajomej, szeroko otwartej furtki. Tylne wejście na podwórko jego domu, a raczej domu jego ojca, bo tak zawsze nazywał dom, w którym się wychował. Ojciec był przyczyną tej nazwy, gdyż od niepamiętnych czasów chłał jak straceniec, a w pijanym widzie lubił wypominać żonie, że wszystko jest jego – i dla podkreślenia słuszności tych roszczeń natychmiast brał się za niszczenie własności. Ponieważ do własności zaliczał także rodzinę, tłukł więc rodzinę i sprzęty, dom utrzymując w stanie permanentnego pobojuwiska, rodzinie zmieniając życie w piekło. Nie skutkowały odwykówki, nie skutkowały kolegia. Do sprawy sądowej – a więc do pewnego wyroku – jakoś nie doszło. Skutecznym lekarstwem na demona zniszczenia szalejącego w pijanej pierś okazały się dopiero pięści piętnastoletniego wówczas Marka. Pierwsza walka była krótka: zamroczony wódką ojciec nie miał siły się bronić. Przez następne trzy dni nie pił – zbierał siły do rozstrzygającej bitwy. Zaprosił syna do ogródka, na niewielki skrawek udeptanej ziemi. Był z niego kawał chłopca, więc później trzech sąsiadów miało sporo roboty z odniesieniem go do domu. Chorował cztery tygodnie, a na indagacje lekarza, który pierwszego dnia przyszedł go zbadać, odpowiedział niechętnie, że zderzył się z autobusem. Od tamtej pory przestał bić i niszczyć, ale nie przestał pić. Na to nie było lekarstwa. I znienawidził Marka. Dopóki żyła matka, Markowi było to obojętne. Nie musiał siedzieć w domu – ojcu, żeby nie bił, wystarczała sama świadomość, że Marek istnieje. Więc wracał tylko na noclegi, a gdy związał się ze starszą o kilka lat Cyganką, i tego zaniedbał. Wrócił do domu po śmierci matki, żeby zająć się utrzymaniem i wychowaniem siostr, trzy-nastoletniej Zosi i dziewięcioletniej Wandy. Okres ten nie trwał długo, niespełna dwa lata, ale Marek nie lubił go wspominać, bo ten czas wciąż w jakiś męczący sposób trwał w nim i był pośrednią przyczyną niezdolności do podjęcia skutecznego, godziwego, dorosłego życia. Może właśnie dlatego wrócił, żeby znaleźć jakieś zakończenie.

Wszedł na podwórko, bo szeroko otwarta furtka zapraszała, bo nagle zapragnął zobaczyć ojca i siostry (miał nadzieję, że Wanda jest w domu). W końcu od dziewięciu lat nie miał o nich żadnych wiadomości.

Dom liczył trzy piętra i z kształtu przypominał literę L. Krótsze ramię przytykało do ulicy Ku Słońcu (na nią też wychodziła brama), a dłuższe od wschodu zamykało podwórko.

Omiotł spojrzeniem cztery równoległe rzędy otwartych okien i nagle spłoszył się, że zobaczy go ktoś z sąsiadów. Wiedział, że zostanie natychmiast rozpoznany – przekonało go o tym zachowanie Zosi, Alisa i Rudego – a nie miał najmniejszej ochoty na żadne pogaduchy.

Wsunął się do bramy. Wchodząc w drzwi mieszkania ojca nie zadzwonił, bo nigdy tego nie robił. Chata od progu prezentowała się nieźle, przedpokój był czysty i niedawno odmalowany. Marek zawahał się. Gdyby zastał smród, brud, pobojowisko, czułby się pewniej. Z niechęcią i wstydem uświadomił sobie, że obawia się ukłucia żądłem cudzego powodzenia.

A może ojciec już tu nie mieszka?

Wrócił na korytarz. Nie mogło być żadnych wątpliwości: tę drewnianą wizytówkę pod dzwonkiem on sam kiedyś zrobił.

Chłodna determinacja, która zaczęła w nim narastać po spotkaniu z Rudym, nagle opadła przynosząc ulgę. I nawet jakąś radość. I prawie wzruszenie. A więc... Ojciec wreszcie się uczyłowiczyl... Trochę późno, ale to przecież ojciec... Marek nawet nie przypuszczał, że w głębi duszy pragnął powiedzieć do niego „tato”. Bo gdy do ojca mówi się „skurwysynu”...

Wszedł.

Zajrzał do narożnego, zachodniego pokoju. Poziome promienie zachodzącego słońca biegnęły równoległe do drzwi, więc jego oczy nie zostały bezpośrednio porażone, ale i tak oślepiiony blaskiem panującym w pokoju nie widział nic przez kilka długich sekund. Potem zobaczył ojca. Poznał go od razu i pomyślał, że dla większości mężczyzn biologiczny zegar życia zatrzymuje się między czterdziestką i pięćdziesiątką. Ojciec wyglądał tak jak dziewięć lat temu. Może nawet lepiej. Był jasnym blondynem o bujnej czuprynie – Marek po nim odziedziczył włosy – więc ewentualnej siwizny nie było widać. Siedział w fotelu i drzemał, zaróżowioną i dokładnie ogoloną twarz wystawiając na działanie słońca. Miał na sobie czystą, wyprasowaną, niebieską koszulę, szare spodnie z ostrym kantem, a na stopach eleganckie skórkowe klapki. Gdyby Marek miał więcej doświadczenia, domyśliłby się natychmiast, że jest z nim kobieta. Ale nie miał, był więc tylko przyjemnie zdziwiony. Nawet więcej: ucieszony. Bo takiej twarzy, spokojnej, nie obrzękłej, o zdrowej cerze, ojciec nie zdołałby się dopracować miesiącem czy dwoma abstynencji; musiał nie pić znacznie dłużej.

Wszedł do pokoju, zamknął za sobą drzwi, a gdy się odwrócił, napotkał wzrok ojca. I nagle, jak dawniej, poczuł wstręt i nienawiść. Tak po prostu, w jednej chwili.

Odruchowo zacisnął pięści i przygiął ramiona w łokciach.

– A więc wróciłeś! – powiedział ojciec.

Marek ruszył ku niemu, w tej samej chwili ojciec zerwał się z fotela i uskokzył pod ścianę.

– Stój!

Stanął. Oddzielała go od ojca pozioma struga słonecznego blasku.

– Chciałem się przywitać – powiedział cicho. Rzeczywiście chciał, nie przyszedł tutaj, żeby się bić. A po co przyszedł? Targnęło nim podejrzenie, że rozmowa z Rudym i wizyta u ojca to podświadome wybiegi mające opóźnić rozstrzygające spotkanie z Anką. Ale czy to spotkanie cokolwiek rozstrzygnie?

– Witaj. Tak będzie lepiej, na odległość – rzekł ojciec.

Stał zgarbiony pod ścianą, obok przysadzistego kredensu, na którym Marek lubił sadzać Ankę i kochać się z nią, bo pierwszy najszerzy blat kredensu sięgał akurat do wysokości jego bioder.

– Dlaczego się mnie boisz? – zapytał. Jednocześnie myślał o ucieczce Zosi.

– Zdziwiony? Pracowałeś na to parę ładnych lat.

Marek skrzywił się.

– Tak, pracowałem! – sarknął. – Bez przyczyny! Bez twojej zasługi!

– Moje zasługi są ogólnie znane. Pomińmy je. – Ojciec zachichotał. Oderwał się od ściany, zrobił pół kroku i zatrzymał się przed strugą światła. – Najwyższy czas, żebyś uświadomił sobie swoje. A na marginesie: tak bardzo to ja się ciebie nie boję. Po prostu wolę zachować ostrożność. Rozumiesz: z bandytą nigdy nic nie wiadomo.

– Z bandytą...? – powtórzył cicho. I zdziwił się, że w jego głosie zabrzmiało pytanie.

– Bandyta, kryminalista, co za różnica! – Ojciec wzruszył ramionami. – Przysporzyłeś parszywego rozgłosu naszemu nazwisku, jak nikt z Jasionowskich. Wśród okolicznych mętów do dzisiaj jesteś legendą.

– Wśród mętów...? – powtórzył. I znów zabrzmiało to pytanie. Miał wrażenie, że mózg rozregulował się nagle i funkcjonuje na zasadzie echa. Wracasz, człowieku, do rodzinnych stron, do ludzi, którzy wyrządzili ci kiedyś krzywdę, myślisz, że może tym razem zachowają się przyzwoicie, a oni znów walą cię poniżej pasa... Co prawda ojciec i Zosia nie mieli z tamtą sprawą nic wspólnego, ale przecież byli rodziną. Najbliższą. Ten ich strach... Czy rzeczywiście istniał w ich pamięci jako niebezpieczny, notoryczny bandyta? Przecież na Zosię nigdy nie podniósł ręki, nie krzyknął nawet...

– Porządni ludzie już zdążyli o tobie zapomnieć – powiedział ojciec. – Ale teraz, kiedy wróciłeś... – urwał i machnął ręką. Spojrzał na Marka uważnie. – Po cholere wróciłeś? Chcesz odgrzebywać tamto stare gówno? Mało ci było raz? Chcesz, żeby wkopali cię znowu?

– Nie wkopią mnie, nie dam im powodów – powiedział z przekonaniem. To, że ojciec znał prawdę, świadczyło, że interesował się jego losami przed dziewięciu laty.

– A zresztą, pchaj się w co chcesz, mnie to nic nie obchodzi! – Ojciec wzruszył ramionami. – Już dawno wytłumaczyłem sąsiadom, że nie mamy ze sobą nic wspólnego. A teraz gadaj, czego chcesz? Po coś tu przyszedł?

Zaciekawienia w tych pytaniach nie było wiele. Wrogości również. Było trochę niechęci, ale dominowała obojętna poprawność: ojciec pytał, bo w jego mniemaniu należało zapytać.

– Po nic szczególnego – odpowiedział. Jednocześnie zastanawiał się, czy stary zdoła go sprowokować. Miał nadzieję, że nie. – Chciałem zobaczyć, jak żyjecie.

– My?

– No ty, Zosia, Wanda...

– Toś się nieźle wybrał! – Ojciec zachichotał. Nagle wstąpił w smugę światła i z fragmentu podłogi zasłoniętego fotelem podniósł tacę z butelką wódki, wodą sodową i dwiema szklankami. Postawił ją na kredensie. – Ja nie mam z tymi dziwkami nic wspólnego. Tak jak z tobą.

– Z dziwkami...? – powtórzył; znów to cholerne pytające echo! Zaciśnął pięści. – Uważaj na słowa, żeby nam potem nie było przykro! – wycedził.

– Pomału, synku! Duży jesteś, silniejszy od tatusia, ale za co chcesz tatusia bić? Za prawdę? Chłapiensz? – zapytał spoglądając przez ramię.

Marek odruchowo skinął głową. I zaraz tego pożałował. Po raz pierwszy miał się napić z ojcem, miał się stać jego współnikiem... Nie, zaraz, kiedyś dawno, tak, byłby współnikiem. A dzisiaj? Dzisiaj nie miało to żadnego znaczenia.

– Więc pijesz – powiedział.

– A piję! – Stary znów zachichotał. Sprawnie otworzył butelkę i rozlał wódkę do szklanek.

– Jak dawniej...

– Nie! Nie jak dawniej. Teraz piję inaczej.

– Przecież pamiętam, jak tłumaczyłeś matce, że dla takiego alkoholika jak ty nie ma innego sposobu picia.

– Bo nie ma. Jak już wpadam w cug, muszę pociągnąć przynajmniej przez dwa tygodnie. Potem tydzień trzeźwienia i mam spokój na pół roku. Przedtem do spółki z matką robiliście mi piekło na ziemi o każdego kielicha, dlatego chlałem jak świnia, na okrągło. Teraz jest inaczej.

– Biedny... Może należało ci współczuć?

– Nie współczuć. Po prostu pozwolić żyć. Teraz jest inaczej. Teraz mam dom, w który co jakiś czas mogę chlać do upadłego i nikt nie uważa tego za zbrodnię. A mnie po takim cugu nie ciągnie do wódki przez długi czas.

– Żyjesz z kimś?

– Mam żonę – powiedział. Odwrócił się ze szklankami w dłoniach. Marek odebrał swoją; przezroczysty płyn zabłysnął żółtawo w strudze światła.

– Więc ożeniłeś się.

– A tak! Nie lubię żyć na kocią łapę, w przeciwieństwie do moich dzieci. Ciekawe, po kim

odziedziczyliście te kurewskie skłonności, bo przecież nie po mnie!

Marek wpatrzył się w szklanę.

– Widzisz, nie mam zamiaru narzucać ci, co masz mówić – powiedział cicho, – ale serdecznie ci radzę, staraj się szanować pamięć matki. Nawet gdybyś znał jakieś fakty, to po prostu o nich zapomnij. Rozumiesz?

– Zdaje się, że rozumiem. No to zdrowie!

– Zdrowie.

Marek dawno nie pił i zapewne dlatego nie poczuł smaku alkoholu. Dopiero fala ciepła podnosząca się z żołądka przekonała go, że wychylił pół szklanki przyzwoitej wódki.

– Wracając do moich sióstr...

– O niczym nie wiesz? – Ojciec przyjrzał mu się ciekawie. Odebrał szklanę i wraz ze swoją odstawił na tacę. – No tak, nie mieliśmy pojęcia, gdzie się obracasz, bo przez dziewięć lat nawet listu nie przysłałeś. Po cichu liczyłem, żeś wyciągnął gdzie kopyta.

Czego się spodziewałeś? Że padnie ci w ramiona? Że uroni łzę radości na przywitanie? Jasne, że nie! Więc dlaczego jest ci przykro? Ależ... ależ wcale ci nie jest przykro. Wcale! po prostu wstyd ci za niego. Po prostu...

Nawet tego, że się wstydział, nie jednak mógł okazać, więc bez zmrużenia powiek wytrzymał długie, trochę rozbawione spojrzenie ojca. I już przewidywał, że jednak stary zdoła go sprowokować.

– Twoje siostry... – Ojciec znów zachichotał. Rzeczywiście żona i obecne życie musiały go pieścić, jeśli tak bez przerwy miał powody do radości. – Twoje siostrunie to zwyczajne dziwki. Utrzymanki, kurwy–amatorki, jak kto woli. Zosia zaczęła bardzo wcześnie, rok, najwyżej półtora po tym, jak ciebie wsadzili. Sprzedała się bardzo bogatemu facetowi...

– Komu? – zapytał cicho.

– Czy ja wiem, różnie mówili. – Ojciec wzruszył ramionami. – Pobędziesz w mieście dzień–dwa i wszystkiego się dowiesz. Ze szczegółami, jak to u nas. Parszywa dziura... – zamilkł, spuścił głowę i zgarbił się. Wyglądał na zmęczonego. Albo starego.

„Dziewki. Kurwy–amatorki!” – powtórzył Marek w myślach. Kiedyś był dumny ze swoich sióstr, szczególnie z Zosi. Teraz z własnego zaskoczenia czerpał nadzieję: to nie może być prawda! I jednocześnie wiedział, że ojciec nie ryzykowałby kłamstwa, szczególnie po ostrzeżeniu dotyczącym matki. „Dziewki? Kurwy–amatorki?” Pamiętał. Zosia. Wysoka, zgrabna, piętnastoletnia pannica, z wyraźnie rysującymi się piersiami. Bardzo ładna, podobno piękna. Rudemu na jej widok zapalały się w kaprawych ślepiach pożądliwe błyski. Ostrzegł go kiedyś, żeby łapy trzymał z daleka. Dzisiaj zobaczył Zosię przelotnie, już dorosłą, już kobietę. Spróbował odtworzyć w pamięci jej sylwetkę, ale widział tylko bladą przestraszoną twarz. Bała się. Czyżby miała powód do strachu? Dziewka? A Wanda? Jedenastoletnie delikatne dziecko o wielkich jasnobłękitnych oczach. Jak wygląda dzisiaj? Czy ona także ma powód do strachu? Kurwa–amatorka?

– Gadaj! – ponaglił ojca.

Ten podniósł głowę i błysnął hardym spojrzeniem.

– Chłałem wtedy, a jakże! – powiedział. – Dlatego niczego nie zauważyłem. Chłałem... Ale co miałem robić? Już rok minął, jak ciebie zamknęli, a ludzie wciąż jeszcze gadali. Byli tacy, co mi w oczy mówili, że to przeze mnie, przez moje picie. Więc chłałem jeszcze bardziej: na złość! I niczego nie zauważyłem. A Zosia miała coraz więcej forsy i coraz lepsze ciuchy. Znikała na całe dni, ale było lato, wakacje, więc co w tym dziwnego? Dopiero gdy nie wróciła kilka razy na noc... Dopiero gdy przyszły do mnie Lewicka z Pietraszkową... Wszyscy już wiedzieli, tylko ja nie. Sprzedała się bogatemu bydlakowi! Chciałem ją zabić! Zosia, rozumiesz...? Wyśmiała mnie. I poszła sobie. Od tamtej pory nie wróciła do domu. Tylko z Wandą spotykała się gdzieś na mieście, dawała jej pieniądze, ciuchy. Zabraniałem, ale dzieciak nie słuchał... – zamilkł, znów spuścił głowę.

„Zosia” – pomyślał Marek. Do dzisiaj był dumny ze swojej pięknej siostry.

Pomyślał o Wandzie. Zobaczył zapamiętany obrazek delikatnej, jasnowłosej, jedenastoletniej dziewczynki. Od tamtej pory minęło dziewięć długich lat i z dziewczynki wyrosła kobieta. Kurwa–amatorka?

Ojciec nalał wódkę do szklanek. Wypili.

– Co miałem robić? – zapytał cicho i niespokojnie spojrzął na Marka. – Zabić ją? Albo tego faceta?

– Kto to był?

– Twój kolega ze szkoły. Przychodził tu często. Zawsze mu się ślepią świeciły na widok Zosi.

– Rudy?

– Nie był rudy, raczej blondyn, taki nieduży, łysawy. Mieszkał niedaleko, na Willowej.

– Rudy! – powtórzył Marek. – A przecież go ostrzegałem...

Ostrzegał tego wrednego skurwysyna. A przed piętnastoma minutami miał go w zasięgu ręki i tylko raz...! Gorąca fala krwi runęła w czaszkę i czerwoną mgłą przysłoniła oczy. Miał go w zasięgu ręki...! Ale wróci tam, wróci zaraz, jak tylko stąd wyjdzie, a wtedy...!

– Co tak sterczysz? Siadaj – powiedział ojciec i wskazał krzesło. Sam obrócił fotel i przyciągnął go do ściany.

Jasne! Trzeba usiąść, uspokoić się. Po cholere się tak podniecasz, synu? Wściekasz się, że ta twoja duma akurat z Rudym, z tą mendą, wszą, co? No i dobrze, niech będzie nawet z nim. Nie ma sensu się wściekać, jeszcze wszystkiego nie wiesz.

Usiadł naprzeciw ojca. Przedzielała ich struga słonecznego blasku.

– Mów dalej – poprosił.

– Dalej? – Stary przymrużył oczy i pokiwał głową. Wyglądał na odprężonego, jakby wyrzucił z siebie to, co najbardziej bolało, czego do dziś nie umiał strawić. – Ma jednak łeb do interesów ta twoja siostrunia. Piękna dupa – i nic więcej. Sprzedała tę swoją piękną dupę i zrobiła interes. Z tym twoim kumplem byli nawet długo razem, prawie pięć lat. Dorobiła się na tym niezłe, a ludzie gadali już coś o małżeństwie... Ale wtedy wtrącił się ktoś, kto od dawna trzęsie tą dziurą i podkupił twoją siostrę. Za ile – tego nie wiem, ale musiał słono wybulić...

– Trzęsie? Czyli Mokrzycki? Ten dziad?

– Tak, Mokrzycki. I dziad, też prawda. Ale dla kurwy to nie różnica, czy ktoś ma sześćdziesiąt, czy dwadzieścia pięć lat. Kurwa różnicę mierzy grubością portfela. A Mokrzycki ma portfel znacznie grubszy od twojego kolegi.

Marek bezwiednie zacisnął pięści. Cholera, brudu tyle, że można byłoby obdzielić kilka rodzin! A na dokładkę to jeszcze nie koniec!

– Co dalej?

– Zosia ma teraz dom gdzieś na Złotnie, kupę forsy, niezły wózek i dzieciaka. Czyli, syneczku, ja mam wnuka, a ty siostrzeńca. Niestety istnieją nie rozstrzygnięte wątpliwości, kto jest jego ojcem. Połowa miasta uważa, że stary Mokrzycki, a druga połowa, że jego syn.

– Figat?!

Ojciec wzruszył ramionami.

– Jego syn – powtórzył.

Jak się to wszystko cholernie posplatało! Rudy i Figat biorą czynny udział w „sprawie” Zosi. Alis wieje dziś przed nim na dworcu. Jeszcze brakuje tylko Gebelsa i Anki, a byłby komplet zdradzieckich gnojków, którzy dziewięć lat temu posłali go za kratki. Neutralność! Gdzie ta troskliwie wypracowana neutralność! Wystarczyło postawić nogę na śmierdzącej ziemi tego miasta...

– A Wanda?

Ojciec położył dłonie na kolanach i przez chwilę przyglądał się im w skupieniu. Potem wstał, nalał wódki. Marek odmówił ruchem głowy, więc wypił sam. Usiadł.

– Ty zawsze byłeś moją dumą – powiedział cicho. – Nawet wtedy, jak mi wtukłeś. W końcu mało który chłopak w wieku piętnastu lat da radę ojcu, który waży dziewięćdziesiąt kilo i też wie, co to walka. Żebyś ty wiedział, jak się cieszyłem, kiedy zdałeś do najlepszego liceum w mieście. Byłeś moją dumą nawet wtedy, kiedy cię zamknęli, bo zachowałeś się jak mężczyzna i nikogo nie sprzedałeś. Tak, z ciebie byłem dumny. Ale zawsze najbardziej kochałem Zosię. Po tym, jak się sprzedała, myślałem, że całe uczucie przeniosę na Wandę. Ale jakoś nie umiałem jej kochać. Może już się wypaliłem, a może bałem się, że i ona pójdzie w ślady Zosi. Dlatego było mi prawie obojętne, kiedy rzeczywiście poszła. Nawet do tego samego faceta, jak mu tam, Rudego. Widocznie jest

w nim coś, co przyciąga kobiety z naszej rodziny...

– Szmal!

– Chyba tak. – Ojciec pokiwał głową. – Wanda jest z nim od trzech lat i pewnie niedługo kupi sobie dom. Chyba że jest głupsza od Zosi. Ale nie sądzę.

Wiesz już wszystko, synu. No, może nie wszystko, ale dużo, bardzo dużo. Wiesz, kim była naga dziewczyna odchodząca w głąb pokoju, błyskająca białą pośladków. Twoja siostra Wanda. Łaziła nago, żeby Rudy mógł ją w każdej chwili zerznąć albo żeby ona mu ciągnęła druta. Wcześniej, przez pięć lat, łąziła tak inna dziewczyna, druga twoja siostra, Zosia, z której zawsze byłeś cholernie dumny. Potem sprzedała się bogatszemu facetowi, dziadowi Mokrzyckiemu, którego od dawna nie cierpisz. Teraz ma dziecko. Ale z kim? Z ojcem? Czy z synem? Dziwka. Jedna i druga. Kurwy–amatorki.

Spojrzał na ojca. Siedział ze spuszczoną głową, z dłońmi płasko leżącymi na kolanach. Nagle zrobiło mu się żal tego starego człowieka. Przepełnił życie, ale kto wie, dlaczego kiedyś zaczął pić. Czy tylko z powodu skłonności? Z syna mógł być dumny jedynie dlatego, że ten jako piętnastoletni szczeniak rozłożył go w równej walce, a potem w śledztwie zachował się jak mężczyzna i nie wydał współników. Szczególny rodzaj dumy. Z córek nie mógł być dumny. Chociaż... rozwijając dalej ten szczególny rodzaj dumy... W końcu robiły grubą forszę, nieźle radziły sobie w życiu.

Wstał.

– Spadam – powiedział.

Ojciec poderwał się szybko.

– Co chcesz zrobić? – zapytał niespokojnie.

– Jeszcze nie wiem – odparł zgodnie z prawdą. Jedno tylko wiedział na pewno: nie wróci teraz do Rudego. Ani Zosi, ani Wandy nikt do niczego nie zmuszał, bo kuszenie szmałem to tylko oferta, co najwyżej prowokacja. Gdyby chciał się mścić, musiałby zacząć od sióstr, a na to raczej nie było go stać.

– Najlepiej zostaw to wszystko tak jak jest. Nie wtrącaj się. Ten twój kolega wygląda na gnidę, ale w naszym bajorze to szczupak. A Mokrzycki – sam wiesz – to rekin. Jak cię dopadną z obu stron...

– Tak, wiem! – Marek skrzywił się. – Mogę im co najwyżej łby poukręcać, ale na to za mały za mnie bandyta. Spadam.

– Strzemiennego?

– Mnie wystarczy.

– No to bywaj – powiedział ojciec i zawahał się, a potem szybko wyciągnął rękę.

Marek nie wytrzymał, zadygotał.

– Dwie kurwy, pijak i kryminalista! – warknął tłumiąc dygot. – Wspaniała rodzinka! Całe szczęście, że nie pozwoiliłem ci mówić o matce!

Nie dotknął ręki ojca; czuł, że ten gest pojednania byłby jednocześnie gestem potępienia dla sióstr.

Odwrócił się i odszedł szybko. Wychodząc z mieszkania splunął na przeciwległą ścianę korytarza nie tylko dlatego, że kiedyś zawsze tak robił, ale także dlatego, że w ustach miał gorycz. Może od wódki.

Tak jak planował, nie wrócił na willową; wyszedł przez bramę na Ku Słońcu. I tam zatrzymał go znajomy widok. Wąska, przypominająca wąwóz uliczka, zabudowana trzypiętrowymi czynszówkami, wytyczona na osi wschód zachód, tonęła w jaskrawej rzece czerwonego słonecznego światła.

O tak, pamiętał te letnie wieczory, podczas których domy zdawały się chylić nad asfaltem, a niewyraźne ludzkie sylwetki rzucały ostre i długie, rozdęte w głowach cienie. Ulicą władało światło, rozedrgane, falujące, kapryśnie deformujące konserwatywną rzeczywistość.

I nagle poczuł, że jest w domu. Nagle zapomniał o wszystkim, co dzisiaj się wydarzyło, o wszystkim, co stało się w ciągu dziewięciu długich lat. Przez chwilę miał nawet wrażenie, że znów jest tamtym zadziornym dziesiętnastoletnim chłopcem. Przez chwilę tylko... Bo to, co usłyszał od ojca, natarczywie narzucało się świadomości. No cóż, sytuacja stała się dosyć jasna. Szybko znalazło wytłumaczenie kilka dziwnych spraw, jak choćby ucieczka Zosi. Pewnie dziewczyna myślała,

że on już wie o wszystkim i wołała zejść mu z oczu. Albo przerażenie Rudego. Faktycznie gnój powinien się bać. Gdyby on wtedy wiedział... Albo gdyby rozpoznał Wandę... Ale nie wiedział i nie rozpoznał. Szczęście dopisało wszystkim. Inaczej rozgniółby tę nędzną pluskwę. A jej? Co jej by zrobił?

Otrząsnął się i z premedytacją spojrzął w zachodzące słońce. Oślepiiony, musiał zamknąć oczy; przenikliwe igły bólu dotarły w głąb czaszki. Poczul łyzy zbierające się pod powiekami.

Pomyślał, że skłamał nieświadomie, kiedy zapewniał ojca, że nie da im powodu, żeby ponownie mogli go wsadzić za kratki. Zapomniał o ciosie, którym obalił Rudego. Dwa paragrafy: naruszenie nietykalności i uszkodzenie ciała. Przeciwno temu miał rok, który brakował do objęcia przedawnieniem skoków dokonanych wraz z Rudym. Więc ze szczurem remis. A z Mokrzyckim?

Splunął. Co go w końcu ci ludzie obchodzi! Nic. Również siostry, kurestwem torujące sobie drogę w życiu.

Nie wiedział, po co wrócił, ale wiedział, że chce się spotkać z Anką. Spod zmrużonych powiek spojrzął na odrapaną fasadę trzypiętrowej kamienicy po drugiej stronie jezdni. To tu. Mieszkania dwa. Wystarczy przejść przez ulicę, zanurzyć się w cień bramy, skrócić w korytarz i zapukać w pierwsze z brzegu drzwi.

Właściwie czego od Anki chciał? Zadośćuczynienia? Wyrównania rachunków? A może recepty na godziwe życie?

Zresztą wizyta u Anki chyba od początku w jego zamierzeniach miała być tym pierwszym wybuchem, który uruchomi reakcję łańcuchową. Nie wątpił, że Anka powiadomi o jego przyjeździe resztę paczki. A wtedy coś musiało zacząć się dziać. Zaczęło się wcześniej, pierwszy wybuch już nastąpił, reakcja łańcuchowa ruszyła. Bardzo ostro. Zbyt ostro. Wizyta u Anki mogła ją jeszcze przyspieszyć. Niepotrzebnie.

Jednak wiedział, że i tak pójdzie. Chciał zobaczyć Ankę. Chciał stanąć przed nią i usłyszeć, co ma do powiedzenia. Był uparty.

A więc do dzieła, synu.

Poczekał, aż minie go nadjeżdżający z lewej strony samochód i ruszył przez jezdnię.

Świadomość zmarnowanej okazji przygnębiła Zosię. „Niepotrzebnie uciekałam” – pomyślała niedawno, kiedy była pewna, że Marek ją za chwilę dopadnie. Zrozumiała wówczas, że ucieczką przyznała się do winy, że zmarnowała okazję do szczerej rozmowy, w której mogłaby wytłumaczyć swoje postępowanie, przekazać swoje racje.

„Niepotrzebnie uciekałam” – powtórzyła. Teraz pierwszy będzie z nim rozmawiał ojciec i to jego argumenty zapłodnią umysł Marka, sprawią, że ziarno wątpliwości rozrośnie się w brak zaufania, w potępienie. Kiedy ona stanie przed nim – a przecież do spotkania musi prędzej czy później dojść – już nie będzie dla niego tylko siostrą, lecz również kurwą wycierającą po rynsztokach nazwisko Jasionowskich.

Nawet nie była zła na siebie, że w obliczu niebezpieczeństwa przestała myśleć i zdała się na instynkt. Była przygnębiona. Bo już zdążyła obudzić się w niej tęsknota za tym wielkim i dawno nie widzianym bratem. Po ojcu odziedziczyła sporo cech fizycznych, po matce determinację i konsekwencję w postępowaniu. Ale matka umierając pozostawiła jej także swoją ogromną i trochę ślepa miłość do Marka.

Po wyjściu z bramy niespiesznie ruszyła w kierunku ulicy Starego Doktora. Tam wmieszała się w tłum i bezwiednie poszła w prawo, w stronę Willowej. Dopiero na rogu, kiedy już prawie skręcała w Willową, żeby ruszyć tropami Marka, otrząsnęła się z przygnębienia. Pójście za Markiem do domu ojca nie miało żadnego sensu.

Rozejrzała się odruchowo i po drugiej stronie ulicy zobaczyła automat telefoniczny. Właśnie! Miała przecież zadzwonić do Anki.

Akurat czerwone światło zamykało drogę. Ogarnęło ją zniecierpliwienie. Nagle zapragnęła poinformować Ankę o powrocie Marka; wiedziała, że Anka – podobnie jak Alis – zacznie się bać.

Nigdy nie lubiła Anki, choć oczywiście przed uwięzieniem Marka była to tylko sprawa instynktu, budzącej się kobiecej intuicji, kobiecej zazdrości. Gdy zakochanie Marka okrzepło w formie absolutnie ślepego zauroczenia, niechęć Zosi doszła do zenitu, prawie do nienawiści. Później, po

aresztowaniu Marka, miała wyrzuty sumienia. Obudziło się w niej współczucie i jakaś sympatia, normalnie, jak do człowieka dotkniętego tym samym nieszczęściem. Na dokładkę Salan wspomniał coś o ciąży, więc poszukała Anki, chcąc uspokoić sumienie, chcąc wynagrodzić jej niesprawiedliwe sądy. Ale Anka zniknęła. Potem rozeszły się pogłoski, że ktoś Markowi pomógł wpaść; wymieniano Ankę, wymieniano ludzi z paczki. Salan nie chciał mówić i tylko wzruszał ramionami, kiedy go za mocno naciskała. Wszyscy czekali. Najpierw na aresztowania. Potem na proces. Marek milczał i aresztowań nie było. Po procesie sprawa przyschła, plotki przestały kursować. Marek konsekwentnie milczał, a Zosia powoli zapominała, choć wciąż nie lubiła Anki, teraz już bardziej świadomie, bo dowiedziała się o małżeństwie zawartym jeszcze przed procesem, o dziecku, które przyszło na świat niewiele miesięcy później. Po roku, kiedy zdecydowała się wyprowadzić z domu i zamieszkać z Rudym, zapomniała o Ance.

Rudy był jaki był. Woląca go nie wspominać. Zawarli umowę i wypełniali ją najlepiej, jak umieli. Bywali tu i tam, ale raczej prowadzili życie spokojne i monotonne. Któregoś dnia zauważyła jednak, że monotonię szybko wypiera dziwna nerwowość, że przez ich dom zaczynają przewijać się inni niż do tej pory ludzie. Oczywiście znała ich, oczywiście wiedziała, że odsiadka Marka zbliża się do końca, bo liczyła dni, gorączkowo szukając sposobu na wytłumaczenie bratu swojego związku z Rudym. Ale dopiero kiedy w ich domu zobaczyła Ankę, zrozumiała, że przychodzą tutaj ludzie z dawnej paczki i że oni także boją się powrotu Marka. Także! Ich strach był nieporównywalnie większy. Po prostu śmierdzieli strachem, a w ich towarzystwie wzrastał się także jej strach. Wtedy przycisnęła Rudego, a właściwie wystarczyło tylko, że zapytała. Rudy wyśpiewał wszystko, a na zakończenie z naiwnie cwana chytrością poprosił o pomoc, o wstawiennictwo u brata. Z niemałą satysfakcją wytłumaczyła mu, co się stanie, kiedy Marek wróci i zorientuje się, że ona jest utrzymanką jednego z tych, którzy go wkopali. Ale nic się nie stało: Marek nie wrócił.

Zapaliło się zielone światło i gęsty zbity tłumek wypchnął ją na jezdnię. Ruszyła. Telefonu jakimś cudem nikt jeszcze nie zajął.

Pięć lat temu przerażenie Anki graniczyło z histerią. Znała Marka lepiej od innych, ale także dość powierzchownie, więc dzisiaj musiała zareagować strachem. „Wtedy nie wrócił” – pomyślała wykręcając numer Anki. „Teraz już nie musisz się go bać, Aniu, ale nie wiesz o tym, jak Alis”.

Anka szybko podniosła słuchawkę, jakby akurat czekała na telefon.

– Mówi Zofia Jasionowska.

– Ach, to ty. Słucham.

– Chciałam cię tylko poinformować, że Marek jest w mieście.

Sekunda ciszy.

– Marek? – Wiadomość musiała ją zaskoczyć, ale Anka nieźle panowała nad głosem.

– Tak, Marek. Mój brat. Koń.

Cisza trwała kilka sekund.

– Rozumiem.

– To dobrze. Widziałam go pół godziny temu jak wychodził z dworca.

– Rozmawiałaś z nim?

Zosia uśmiechnęła się drwiąco.

– Nie. Uciekłam. Alis też.

– Alis?

– Alis też go widział i też uciekł.

I znów ta cisza, ta przerwa potrzebna na zebranie myśli. Strach opanowywał duszę i zaczynał wydawać pierwsze owoce. Wtedy Zosia uświadomiła sobie, że ten strach wzbudzany w Ance jest formą zemsty, a pośrednio lekarstwem na jej własny strach. Zawstydziała się.

– Rozumiem – bąknęła Anka.

– Niczego nie rozumiesz – powiedziała zdecydowanie. – Alisowi już wytłumaczyłam, że nie macie się czego bać. Gdyby Marek wrócił pięć lat temu, to co innego. Ale dzisiaj... Do dzisiaj zdążył już wam przebaczyć.

Znów chwila ciszy.

– Dlaczego wrócił?

– Nie wiem. Pogadamy o tym później. Organizuję małe party. Dziś. U mnie. O wpół do jedenastej. Sami starzy znajomi. Alis, Rudy, Gebels i Figat. Przyjedziesz?

– No... – Anka zawahała się. Zosia poczuła ochotę, by ją także zaszachować Mokrzyckim, ale natychmiast zrozumiała, że nie tędy droga, że Anka jest zdecydowanie odważniejsza od Alisa, bardziej energiczna i może zacząć przeciwdziałać. Coś – instynkt, przecucie – nakazało Zosi nie dopuścić do działania wywołanego strachem.

– Przyjedź – poprosiła. – Może już będę wiedziała o Marku coś konkretnego. Ty naprawdę nie musisz się go bać. to raczej ja... ja i Wanda... Przecież wiesz, że Marek nigdy tego nie zrozumie! – rzuciła niespodziewanie szczerze, ale zaraz się opanowała. – Jeszcze się nie zdecydowałam, ale chyba będę musiała włączyć w to Mokrzyckiego – dodała. – Przyjedziesz?

– Przyjadę.

– To świetnie.

Zosia odwiesiła słuchawkę, wyjęła z torebki notes i odszukała numer Gebelsa.

Drzwi otworzyła niewysoka kobieta o bujnych jasnych włosach, z grzywką starannie szesaną na bok i odsłaniającą pomarszczone czoło, z dwoma lokami spływającymi luźno wzdłuż opalonej szczupłej twarzy. Matka Anki.

– Słucham? – powiedziała. Nie odsunęła się z progu, chociaż Marek zrobił ruch, jakby chciał wejść.

Niewiele zmieniła się przez dziesięć lat (a więc także kobiece zegary biologiczne mają w pewnym wieku przestoje). Była szczupła, dobrze zakonserwowana i już mocno opalona, chociaż czerwiec dopiero się zaczął. Miała na sobie wytartą dzinsową sukienkę z krótkimi rękawami. Zawsze ubierała się młodzieżowo i wyglądała bardzo młodo, ale trochę postarzał ją wyraz żalu wyciśnięty wokół wąskich ust; żalu do życia, które było sinusoidą małych porażek i nijakich sukcesów. Teraz ten grymas pogłębił się. Widocznie gasła w niej nadzieja na coś lepszego.

– Dobry wieczór – powiedział uśmiechając się. – Czy zastałem Ankę?

Do tej pory przyglądała mu się obojętnie, z lekkim może zdziwieniem, teraz nagle stężała, mocniej zacisnęła szczękę, aż mięśnie zafalowały pod suchą skórą policzków – i przejechała po nim uważnym, taksującym spojrzeniem, w którym przez sekundę zamigotał nawet błysk rozpoznania.

Za plecami miała jasną ścianę z białym prostokątem uchylonych drzwi. Marek wiedział, że to drzwi do kuchni, wiedział, że w przedpokoju na prawo jest duża szafa, a dalej dwa pokoje, jeden Anki, niewielki, niegdyś mieszczący kanapę, ławę i dwa fotele, drugi matki, większy, z szerokim wygodnym tapczanem, na którym kiedyś lubili się z Anką kochać.

– Czy zastałem Ankę? – powtórzył.

– Anny nie ma – powiedziała powoli. Miał wrażenie, że bardzo starannie dobiera słowa. – Jest u siebie... U męża – dodała po sekundzie.

U męża! No tak, tego nie wziął pod uwagę, a powinien, bo małżeństwo dla Anki było czymś równie naturalnym i nieuniknionym jak śmierć.

Nieco bezradnie spojrział na uchylone drzwi do kuchni. Co teraz? Odejść?

Jak już tu dotarłeś, to brnij dalej, synu.

– Czy mogłaby mi pani podać jej adres?

Kobieta drgnęła, jakby zaskoczona, a przecież pytanie było logiczną kontynuacją rozmowy. Gwałtownie uniosła rękę i chwyciła brzeg drzwi. „Zatrzaśnie, cholera!” – pomyślał trochę zdziwiony jej reakcją, trochę zły. I postawił nogę na progu.

Zauważyła to.

– Chyba jej adres nie jest tajemnicą – powiedział, próbując uśmiechem zamaskować wzbierającą irytację. Bała się? Kogo? Czego?

– Zależy – rzekła unosząc głowę. – Zależy, kto pyta.

– Kiedyś tutaj mieszkałem – powiedział. – Pod dziewiątym. Nazywam się Marek Jasionowski. Anka mówiła na mnie Koń.

Kobieta cofnęła się odruchowo, z twarzą stężoną w dziwnym grymasie.

– Czy teraz poda mi pani jej adres?

– Nie! – rzuciła gwałtownie. Obejrzała się niespokojnie, jakby groziło jej coś z tyłu, z niedo-

mkniętych drzwi kuchni. – Proszę natychmiast stąd wyjść! – zażądała.

– Przecież nie wyszedłem – powiedział łagodnie, a miał ochotę chwycić ją za suche gardło i zdusić.

Wskazała nogę blokującą drzwi.

– Proszę stąd wyjść! – krzyknęła.

Na jej policzki wypełzły ciemne rumieńce, oczy zabłyśły gorączkowo. „Ta stara zwariowana histeryczka!” – mawiała o niej Anka.

Uchylone drzwi kuchni rozwarły się szeroko i wyskoczył z nich jasnowłosy ośmioletni chłopczyk.

– Babciu! – zawołał chwytając dłoń kobiety. – Chodź, zobacz! Sam wszystko ugotowałem!

Syn Anki! Oczywiście, przecież właśnie o takim synu, jasnowłosym i niebieskookim, kiedyś marzyła.

Dłoń kobiety odruchowo zacisnęła się na rączce chłopca.

– To boli, babciu! – poskarżył się. Potem spojrzął na Marka i powiedział: – Dobry wieczór.

– Dobry wieczór – odparł. Przyglądał się chłopcu uważnie, zastanawiał się, gdzie i kiedy już go widział.

– Wracaj do kuchni! – Kobieta mocno pchnęła chłopca w stronę drzwi. – Zaraz tam przyjdę.

Marek spojrzął na nią. Dla odmiany była niesamowicie blada, a w kącikach oczu zbierały się lśniące łzy. Oddychała szybko, urywanie, jakby miała zemdleć. „Co jest grane?” – zdziwił się.

– Niech pan stąd wreszcie wyjdzie! – krzyknęła napiętym wysokim głosem.

Zacisnął zęby, odruchowo zwinął dłonie w pięści. A potem pomyślał słowami Anki: – „Ta stara zwariowana histeryczka!”

Odwrócił się i odszedł szybko.

Anka, po odłożeniu słuchawki, przez kilka nieskończenie długich minut trwała w bezruchu, przechylona, z ramieniem wyciągniętym w stronę ławy. Nagle zerwała się, podeszła do barku, wzięła pierwszą z brzegu butelkę i nalała alkoholu do kieliszka. Zapaliła papierosa i opróżniła kieliszek jednym haustem. Później powoli, jakby niechętnie, wróciła na fotel.

Była wysoką, świetnie zbudowaną szatynką o przejrzystych zielonych oczach, których wyraz zmuszał do zastanowienia, a nawet ostrożności. Większość mężczyzn czuła przed nią respekt pomieszany z erotycznym zainteresowaniem. Podobne uczucie mogła w sodomicie wzbudzić żmija. Jednak teraz jej oczy były trochę zamglone, mało przytomne; patrzyła na telefon i nie widziała go.

Kiedy usiadła w fotelu i zaciągnęła się papierosem, zauważyła, że w lewej dłoni ścisnęła pusty kieliszek. Zerwała się, podeszła do barku i napełniła go z tej samej butelki. Tym razem poczuła smak alkoholu. Brandy. W porządku, akurat tego potrzebowała. Wróciła na fotel. Z długiego, gwałtownie palonego papierosa pozostał w palcach tylko niewielki pet. Ze złością zdusiła go w popielniczkę i tęsknie spojrzała w stronę barku, bo nie miała ochoty wstawać. Jednak wstała. Przypaliła papierosa, znów napełniła kieliszek, wypiała i wróciła na fotel. „W tym tempie upiję się za kilkanaście minut” – pomyślała i właściwie miała na to ochotę, pragnęła zapomnienia – i jednocześnie wiedziała, że to żadne wyjście, że to nawet nie ucieczka, tylko odroczenie.

Musiała się skupić, musiała pomyśleć, musiała rozpatrzeć się w sytuacji.

Pomyślała o Duninie. Pedał, ale z nazwiskiem równie starym jak całe to zasrane miasteczko i równie długo z nim związanym. Dał to nazwisko jej synowi, jej dał pozycję, o jakiej nie mogłaby marzyć, nawet gdyby dysponowała ogromną forszą. W zamian chciał od niej spokoju. No i alibi, oczywiście, bo był małym śmierdzącym tchórzem i panicznie bał się swojego pedalstwa, a raczej ludzkich opinii o tym. Powrót Marka – jeśli Koń żywił urazę i chciał się odegrać – niósł z sobą ruinę wszystkiego, bo Dunin nie mógłby tolerować żony kryminalistki.

Musiała więc dowiedzieć się, co Koń zamierza, a tymczasem mogła tylko się bać. Jak przez cały czas od tamtej chwili przed dziewięć laty, gdy podjęła decyzję o posłaniu Marka do pierdła.

A właściwie bała się już wcześniej, od dnia, w którym zakochała się w tym draniu i postanowiła, że właśnie z nim będzie mieć dziecko, ale sama je wychowa. Przypomniała sobie powolne, postępujące pograżanie się w kryminalnej aferze, które Koń im wszystkim zafundował, aferze od początku będącą absurdalną bajką, bajką złą, pozbawioną sensu i nie rokującą nadziei na morał, bajką,

której nawet bracia Grimm nie ośmieliliby się napisać.

Jezus Maria! Jak cholernie ten Koń zachwacił jej życie! A teraz wrócił. Po co? Gdzie jest w tej chwili? Co już zdążył zrobić?

Otrzeźwił ją cichy świergot telefonu. Podeszła do ławy, wyciągnęła rękę – i zawahała się. Potem nagłym szarpnięciem podniosła słuchawkę.

Dzwoniła Wanda Jasionowska. Druga siostra Konia. Anka przygryzła wargi.

Wanda powiedziała, że Rudy natknął się na Marka przed swoim domem i dostał od niego po twarzy. Jest spanikowany. Przed kilkoma minutami dzwonił Alis, żeby ich poinformować o spotkaniu u Zosi, ale to dopiero za dwie godziny, a Rudy boi się zostać w domu, bo Marek zapowiedział, że wróci. Czy mogliby przyjechać do niej?

Anka zdecydowała się bez namysłu.

– Przyjeżdżajcie.

Poczuła się nagle bardzo zmęczona. Miała pustkę w głowie. Wciąż wpatrywała się w telefon. Nagle wyobraziła sobie twarz Rudego. Jak on wygląda teraz, po ciosie Marka?

„Zaczęło się!” – pomyślała. Tak, Koń wykonał pierwszy ruch.

Także Gebels, czyli podkomisarz Jacek Michalski, miał pustkę w głowie i wpatrywał się w telefon. Przetrawienie przekazanej przez Zosię prostej informacji o powrocie Konia zabrało mu kilka minut. Gdy już tego dokonał, również pomyślał, że się zaczęło, że wreszcie zaczęło się to, czego mgliście obawiał się dziewięć lat temu, co nabrało bardziej konkretnych wymiarów, gdy odsiadka Konia dobiegała końca, a odżyło w formie mementa, gdy udało mu się zostać policjantem.

Zawsze wiedział, że Koń gdzieś istnieje i jeśli tylko będzie chciał, może mu zdrowo namieszać w życiorysie, ale jednocześnie wierzył w swoje szczęście i był odważny, więc strachy mało konkretne, umiejscowione bardziej w wyobraźni niż w rzeczywistości, miały do niego trudny dostęp. Teraz te strachy nagle się zmaterializowały, nabrały konkretnych wymiarów, zapachniały realną groźbą.

Kiedyś marzył o pracy w policji. Był człowiekiem czynu, więc gdy nadszedł odpowiedni czas, zaczął marzenia realizować. Doznał wtedy chwilowego zaćmienia i zapomniał, że jako osiemnastoletni gówniarz dał sobą powodować i stworzył okoliczności stawiające pod znakiem zapytania szanse na realizację marzeń. Może chciał zapomnieć? Na pewno chciał zapomnieć. Bo mógł o wszystkim powiedzieć, kiedy składał papiery. Ale zdałby się wtedy na los, na łaskę i niełaskę, na dobrą wolę. A los mógł się nie uśmiechnąć, łaska mogła nie spłynąć, wola mogła być zła. Zresztą wystarczyłby prosty formalizm jakiego obcego człowieka, zwyczajne trzymanie się przepisów. Więc wolał zapomnieć. Każdy dzień nieobecności Konia był potwierdzeniem słuszności tej decyzji. A kiedy Koń nie wrócił bezpośrednio po odbyciu kary, Gebels był pewny, że postąpił mądrze. Teraz nagle okazało się, że decyzja nie należała do najszcześniejszych, że była formą wyroku na samego siebie, a minione lata nieobecności Konia zwykłym odroczeniem.

Zosia wspomniała, że Koń im przebaczył, że na pewno nie wrócił gnany pragnieniem zemsty, że jeśli już ktoś powinien się go bać, to ona i Wanda. Ale, tak naprawdę, nie wiedziała nic konkretnego, nie rozmawiała przecież z Koniem, nie miała pojęcia, po co wrócił. To fakt, że Koń nie należał do intrygantów, że tak długie wyczekiwanie, usypianie ich czujności, nie było w jego stylu. Ale Koń lubił wyrównywać rachunki. I właśnie ten fakt miał teraz decydujące znaczenie. Poza tym do niego należała inicjatywa. A Koń był po prostu nieobliczalny.

Gebels miał wątpliwości, czy spotkanie u Zosi – nawet z udziałem Mokrzyckiego – wyda jakieś pozytywne owoce. Jednak wiedział, że pójdzie, bo tam miały zapadać decyzje, a pozostawanie na uboczu czy chowanie głowy w piasek nie leżało w jego naturze.

Pomyślał o coraz bardziej realnej nadziei na awans, pomyślał o rywalizacji z podkomisarzem Kondratem. Zacisnął gniewnie pięści. Potem poszedł do kuchni, żeby uprzedzić żonę o wieczornym wyjściu.

A więc Anka bała się jego powrotu. Z jakiego innego powodu tak wrogo nastawiałaby matkę? Bo matka była nastawiona. Pomijając jej słaby system nerwowy, panowanie nad sobą straciła dopiero wtedy, kiedy dał się rozpoznać.

A więc Anka bała się jego powrotu. Jak długo? Całe dziewięć lat? Na pewno odliczyła wyrok, więc tylko pięć. Tylko? Pięć lat strachu? Wzdrygnął się. I przestał o tym myśleć, bo zaczęło się w nim rodzić współczucie.

Z bramy skręcił na podwórze. Tutaj, w prawej oficynie, mieszkała dziewięć lat temu Ewa. Była najlepszą przyjaciółką Anki, a przede wszystkim odznaczała się jedną nieprzeciętną zaletą: wiedziała wszystko o wszystkich. Kogoś takiego teraz potrzebował.

Przed drzwiami oficyny stała Cyganka. Musnął ją spojrzeniem, zarejestrował długą, suto marszczoną spódnicę, białą bluzkę – i coś jakby cień przyjaznego uśmiechu na młodziutkiej twarzy.

Wszedł w wąski korytarz. Ewa mieszkała na pierwszym piętrze. Bez trudu odnalazł jej drzwi. „A. i G. Grzywaczewscy”, ten sam co dawniej napis na krzywo przypiętej wizytówce. W porządku. Ale na pukanie nikt nie odpowiedział.

Zacisnął zęby. Zaklął. I wyrznął pięścią w drzwi. Obudził w sobie wściekłość i wyładował ją. Bo nagle poczuł przyływ zniechęcenia, bo z tęsknotą pomyślał o autobusie, o jeździe donikąd, którą od pięciu lat powtarzał tak często, że wreszcie nauczył się nazywać ją „zmianą klimatu”, bo musiał zapomnieć, że była bezsensowną gonitwą z miejsca na miejsce: ucieczką przed sobą.

– Ewka wróci z pracy po dziewiątej – usłyszał.

Odwrócił się. Na półpiętrze w szeroko otwartym oknie siedziała ta młodziutka Cyganka z dołu. Miała ładny, jasny i ciepły głos.

Ochłonął już ze złości. Pomyślał, że oto spotkał pierwszego człowieka w tym mieście, który się go nie boi.

Zszedł po schodach i przysiadł obok dziewczyny.

– Skąd wiesz? – zapytał.

– Mieszkam tu. A rodzice Ewki są u sąsiadów.

Po wilgotnych, ciemnoczerwonych wargach, obwiedzionych sinym i suchym pasemkiem skóry, błąkał się przyjazny uśmiezek. Twarz miała wąską i bardzo śniadą, a duże i skośne oczy tak czarne, że Marek nie zdołał odróżnić tęczy od źrenic. Niewielkie piersi wypychały biustonosz różowo prześwitujący przez bluzkę, spod granatowej spódnicy wysuwały się małe stopy w białych tenisówkach. Młodziutka. Bardzo ładna. Z błyskiem inteligencji w oczach. Gdyby nie była Cyganką, miałaby szansę na ciekawe życie. A tak to życie było zaplanowane w szczegółach niemal do samej śmierci.

– Ty jesteś Marek – powiedziała.

– Skąd wiesz?

– Mieszkałeś tu kiedyś. Z Idą.

Uśmiechnął się. Kruczowłose, wierne, uległe stworzenia. Ida.

– Co z nią?

Posmutniała.

– Źle. Pije. Włóczy się po placu Jedenastu Punktów, próbuje wróżyć. I nie tylko...

I nie tylko... To jasne: puszcza się. A coś takiego oznaczało koniec, śmierć cywilną wśród Cyganów.

Dziewczyna uśmiechnęła się nagle.

– Byłeś kolegą mojego brata, Salana – powiedziała.

Zapomniał o Idzie; chciał zapomnieć. A Salan? Dosyć wysoki, szczupły, z błyskiem szaleństwa w czarnych oczach, ale i z ujmującym uśmiechem na czerwonych wypukłych wargach. Dobry pomocnik w sprawach wymagających dyskrecji. Trochę kręcił się obok Zosi, ale nie było to nic groźnego. A ta dziewczyna? Nie mogła mieć wtedy więcej niż osiem, dziewięć lat. Na dzieciaki nigdy nie zwracał uwagi, nawet na koleżanki Wandy. Zresztą cygańskich dzieciaków zawsze pętało się tutaj sporo.

– Jak ci na imię?

– Kini. A właściwie Kchinigica.

– Co to znaczy?

– Księżniczka.

– Ślicznie. Akurat pasuje do ciebie. A po naszymu jak się nazywasz?

- Marta.
- Też ślicznie.

Gdzieś na piętrze strzeliły drzwi i po chwili u szczytu schodów stanął młody, najwyżej czternaścieletni Cygan. Powiedział ostrym głosem coś, czego Marek nie zrozumiał. Dziewczyna wrzuciła ramionami.

- To mój brat, Pako – wyjaśniła. – On... – zawahała się.
- Boi się o twoją cnotę, co?

Ciemny rumieniec szybko zalał śniade policzki i dziewczyna odwróciła głowę.

Chłopak podciągnął rękawy białej bawełnianej koszulki, zszedł dwa stopnie i przykucnął.

- Dupy szukasz? – spytał.

Marek spojrział na niego spod zmrużonych powiek.

- A jakby, to co?

- To mam coś dla ciebie.

- Ty?

- Ja – odparł chłopak poważnie. – Siedzi w domu i czeka, żeby ją ktoś zerznął. Za pieniądze.

- Od kiedy Cyganki się kurwią?

- Od dawna! – oznajmił chłopak uśmiechając się drwiąco. – Ale dla ciebie mam Polkę.

Marek skrzywił się: bezczelność szczeniaka wkurzała. Potem pomyślał o Salanie. No cóż, jeżeli i tak musiał czekać na Ewkę...

- Salan w domu? – spytał.

- W domu. A bo co?

– No to go odwiedź! – Marek roześmiał się nagle. I odetchnął pełną piersią. Najbliższa przyszłość rysowała się jasno: pogada z Salanem, później weźmie od Ewki adres i odszuka Ankę. Niedawne zniechęcenie wydało mu się ostatnim refleksem ponurego nastroju, który opanował go po rozmowie z ojcem.

Kiedy wstawał, dostrzegł uśmiech na ustach Cyganki. Przez chwilę miał wrażenie, że to on wywołał go swoim spojrzeniem.

Zosia telefonowała do rozmaitych znajomych, ale nie zdołała złapać Mokrzyckiego. Potem odeszła od automatu, bo za jej plecami uformowała się kilkusobowa kolejka. Nie musiała się spieszyć ze złapaniem Józka, może zresztą okaże się on całkiem zbędny na organizowanym przez nią spotkaniu. A poza tym wiedziała, że po dziesiątej będzie osiągalny w kasynie.

Podeszła do krawężnika i zatrzymała się, żeby schować notes. Przy okazji sprawdziła zawartość portmonetki: zamierzała przecież odwiedzić Krzysztofa. W porządku, w portmonetce było więcej niż potrzebowała, a delikatesy miała po drugiej stronie ulicy.

Odzyskała już równowagę. Zdała sobie z tego sprawę podczas rozmowy z Gebelsem; już nie dzieliła się strachem, lecz załążkiem radości z powrotu brata.

Zapaliło się zielone światło. Właśnie miała zejść na jezdnię, kiedy Willową w stronę pasów podjechał znajomy mercedes. Dostrzegła Wandę za kierownicą, zaczęła się uśmiechać – i wtedy zobaczyła Rudego z zakrwawioną chusteczką przyciśniętą do twarzy. Nierozwinięty uśmiech zakrzepł na jej ustach. A kiedy Rudy opuścił chusteczkę odsłaniając spuchnięty i zdeformowany nos, gdy ujawnił przerażone oczy, cofnęła się gwałtownie i wmieszała w tłumek zatrzymany czerwonym światłem.

Mercedes odjechał, a ona zacisnęła pięści i zagryzła wargi, żeby opanować instynktowną chęć ruszenia biegiem, na oślep, przed siebie.

„Zaczęło się!” – pomyślała. Ani przez chwilę nie miała wątpliwości, czyja ręka wypisała swój znak na twarzy Rudego.

Pokój był dosyć duży, samotny żyrandol nie dawał sobie rady z przestrzenią; po kątach zbierały się kłębuszki cieni, tym bardziej że dwa niewielkie okna wychodziły na mroczniejący z każdą chwilą wschód.

Pod żyrandolem stał okrągły stół. Trzej mężczyźni nie zwrócili na Marka uwagi, tak byli zajęci trzymanymi w dłoniach kartami. Czwarty, ubrany w jasnoniebieską polówkę, podniósł głowę. Ma-

rek uśmiechnął się: Salan.

– No! – Salan też się uśmiechnął. Odłożył karty i wstał. – No! Kogo moje oczy widzą!

Obszedł stół z serdecznie wyciągniętą ręką. Pozostali gracze obrzucili Marka taksującymi spojrzzeniami.

Potrząsał ręką Salana, klepał go po plecach – i z nagle obudzoną nieufnością zastanawiał się, na ile jego serdeczność była szczerą. Bo dostrzegł w szalonych oczach Cygana błysk niepokoju. „Następny, który się mnie boi” – pomyślał, ale zaraz to skorygował, bo niepokój w oczach Salana wcale nie musiał oznaczać strachu. Mógł być zapowiedzią szalonego pomysłu albo odbiciem chwilowego nastroju, bo nastroje w jego duszy leżały się jak króliki i były zmienne jak pogoda w marcowy dzień.

– Wreszcie wróciłeś, Koniu!

– Sprawdzam! – powiedział jeden z graczy, młody, najwyżej dwudziestoletni Cygan o śniadej twarzy i oczach równie szalonych jak Salan.

– Poker? – zapytał Marek.

– Pokerek! – Salan zachichotał i lekceważąco machnął ręką. – Właśnie dałem im „i trzy”, więc mają na czym główkować. A ty? Anki szukasz?

– Ewki – powiedziała stojąca w drzwiach Marta.

Salan obrzucił ją przeciągłym, ponurym spojrzeniem.

– Czego się wpieprzasz? – wycedził.

– Co ci, Salan? Do siostry tak? – Marek spróbował powiedzieć to z uśmiechem.

Salan powoli odwrócił głowę i wbił w niego ponure spojrzenie szalonych oczu; zajaśniały w nich i natychmiast zgasły płomyki wściekłości. Wyraźnie powściągnął wybuch gniewu. Może zastanowiła go twarz Marka, skrzywiona znanym mu dawniej grymasem oczekiwania, a może nieznaczny ruch jego nagle zaciśniętych pięści. Niespodziewanie uśmiechnął się: w czarnych oczach też zabłyśły iskry tego uśmiechu.

– Ładna dziewczyna z niej wyrosła, prawda? – powiedział.

Marek zawahał się.

– Tak, bardzo ładna – potwierdził. Nagle objął Martę i przyciągnął do siebie. Pochylił się, jakby chciał z bliska zobaczyć jej twarz, potem wyprostował się i spojrzał na Salana. – Rzeczywiście bardzo ładna – powtórzył.

I znów w oczach Cygana zabłyśły ogniki gniewu, ale zaraz zgasły.

– Dalej potrafisz robić te sztuczki z kartami? – spytał niby niedbale, ale dziwnie cicho.

– Potrafię – odpowiedział. I dostrzegł przelotny uśmieszek na ustach Salana. Właśnie ten uśmieszek, a nie szeroki uśmiech zapalający iskry w oczach, prawdziwie świadczył o jego dobrym nastroju. Marek odetchnął. Niby nie chciał awantury, a jednocześnie od początku coś zmuszało go do przypominania wszystkim, że on tu kiedyś rządził.

Wtem przy stole zwinął się trzeci gracz, a młody Cygan zwracając głowę ku Salanowi zawołał:

– Mam trójkę dziewczątek, a ty?

Marek poczuł, że dziewczyna sprężyła się pod jego ramieniem.

– Dwie pary – odpowiedział Salan.

Chłopak zatrzymał wzrok na Marku i Marcie. I natychmiast wstał, bojowo przyginając ramiona.

Salan leniwie zwrócił ku niemu głowę.

– Siedź na dupie, Dani! – powiedział. Miękkie brzmienie głosu kłóciło się z ostrością słów. – Wygrałeś, to zgarnij pulę i nie wpierdalaj się między drzwi.

Na twarzy chłopaka odmalowało się zdumienie. Chwilę stał, nieruchomy jak posąg, później ręce opadły mu bezwładnie. Wyglądał na ogłuszonego.

– Siadaj, Dani! – powtórzył Salan z naciskiem.

Chłopak usiadł.

– Zagrasz z nami? – Salan pytająco spojrzał na Marka.

– Może później. Wolę popatrzeć.

– No to bierz krzesło, rozgość się – powiedział i ruszył w stronę stołu.

Marek, pochylając się nad Martą, czuł miły dreszczyk emocji.

– Naprawdę jesteś bardzo ładna – rzekł cicho.

Przymknęła oczy.

– Zostaw mnie – poprosiła. – Zostaw!

Puścił ją i wyprostował się z uśmiechem. Pochwycił wściekłe spojrzenie Daniego.

Rozejrzał się za krzesłem. Trzy wolne stały pod oknami. Ruszył tam i dopiero teraz dostrzegł szeroką rozkładaną kanapę pod boczną ścianą. Siedziały na niej dwie przytulone dziewczyny, Cyganka i biała.

Marek przyniósł krzesło do stołu i usiadł obok Salana, naprzeciw Daniego. Siadając zobaczył Martę: przycupnęła na kanapie obok przytulonych dziewcząt.

– Niezła parka, co? – Salan ruchem głowy wskazał dziewczyny. – Dałem im pracę.

– Pracę?

– No, mają możliwość zarabiać na swoje utrzymanie. – Salan zachichotał i porozumiewawczo przymrużył oko.

Marek zrozumiał. „Podobno żadna praca nie hańbi” – pomyślał. Ale zamiast obcych, przytulonych dziewcząt, widział swoje siostry, Zosię i Wandę (Wandę nagą, bez twarzy, jak w oknie Willi Rudego). Czym się różniły? Wysokością zarobków? Statusem? Swobodą wyboru partnerów? Te dwie Salan zmusił do zawodowstwa, więc spały z każdym kto płacił. A jego siostry? Kurwy-amatorki.

– Co jest, Koniu? Stało się coś? – Salan przyglądał mu się z zaciekawieniem.

– Nic – burknął.

Przeniósł wzrok na Martę. Siedziała zgarbiona na brzegu kanapy i wpatrywała się w podłogę. Myślała? Czy takie zwierzątko w ogóle potrafi myśleć? Żył przez rok z Idą. „Wierna chuć”, oto wszystko, co mógł o niej powiedzieć.

Wierna? Czy kobieta potrafi być wierna? Komu? Czemu? Mężczyźnie? Forsie? Ideałom? Co to jest kobieca wierność? Dawanie siebie jednemu mężczyźnie? Z miłości? A co to jest kurestwo?

– Co ci, Koniu? – powtórzył Salan.

– Nic.

Zapomnieć! Tak, trzeba zapomnieć choć na parę godzin. Może tutaj, synu, znajdziesz zajęcie, przy którym zapomnisz.

Od początku, od kiedy usiadł przy stole, czuł na sobie uporczywy wzrok Daniego. Wywoływało to podniecający dreszczyk. Teraz, gdy spojrzął w bezdenne czarne oczy jarzące się nienawiścią, dreszczyk zmienił się w silnie ekscytujący dreszcz.

A tymczasem przy stole trwał poker, nieciekawy, nijaki, właściwie nie poker, tylko pokerek. Marek przyjrzał się grającym. Najbliżej, z lewej strony, siedział starszy, dobiegający pięćdziesiątki Cygan, ubrany w szarą wytartą marynarkę. Marek nie znał go, tak samo nie znał czwartego gracza, białego, najwyżej dwudziestoletniego chłopaka o wąskiej lisiej twarzy i chytrych oczach.

W milczącym napięciu, rażąco wielkim przy tak niskich stawkach, rozegrano kilka rączek. Skrzywił się: nie była to ani zabawa, ani gra. Wtedy pochwycił rozbawione spojrzenie Salana.

– Żebyś ty Koniu wiedział, jak wszyscy trzęśli portkami, kiedy cię zamknęli! – usłyszał jego głos pełen nietajonej satysfakcji.

– A ty? Też trząśłeś?

– Ja? – Salan zachichotał. – Oczywiście! I to jeszcze jak! Przecież zatrudniałeś mnie przy niektórych robotach, nawet przy tej ostatniej pomagał ci mój kuzyn, upijając strażnika. Niby wiedziałem, że nie sypniesz, ale gacie miałem pełne strachu. A co? Nie kombinowałeś, żeby sypnąć?

Nie odpowiedział, chociaż teraz łatwo mógł rzec: „Nie kombinowałem”. Teraz. Ale wtedy, bezpośrednio po wpadce? Wtedy długo nie wiedział, jak w końcu postąpi. Pamiętał twarz tamtego gliniarza, który mógł być jego starszym bratem, a który mówił do niego „synu”. „Gadaj, synu, to twoje pierwsze przestępstwo, może wykręcisz się zawieszeniem”. Pamiętał twarz tamtej dziewczyny, starszej od niego zaledwie o kilka lat, którą w sprzyjających okolicznościach mógł bez trudu zeznać. Pani prokurator. Powtarzała rady gliniarza opuszczając słówko „synu”. Zawieszenie i odsiadka, jak dwa napisy na drogowskazie przy rozstaju dróg. Musiał wybierać, a był to wcale niełatwy wybór. Wybrał.

Salan tymczasem mówił dalej, nadawał swoją historię minionych dziewięciu lat. Dzielił ją na porcje szybko granymi rączkami pokera.

Co kombinujesz, ty czarny diable? Na cholere mi te informacje?

Słuchał Salana, zastanawiał się, jaki ma interes w gadaniu, przyglądał się kartom, uważnie śledził poszczególne rozgrywki, zerkał na Martę, chociaż ta siedziała zgarbiona i nie podnosiła głowy. Widział przytulone dziewczyny, a także Daniego i czuł na sobie jego wściekły wzrok.

Blisko kwadrans stracił, zanim ustalili, w jaki sposób zostały poznaczone karty. Kiedy już wiedział, cała gra stała się dla niego tak nudna, jak dziesiąty raz czytana książka. Mógł teraz więcej uwagi poświęcić informacjom rzucanym przez Salana. W sumie były to informacje dość skąpe, zaledwie szkielet wydarzeń. Wysłuchał historii podwórka, dowiedział się, że ich paczka rozleciała się jeszcze przed rozprawą, że Anka poderwała jakiegoś faceta, wyszła za niego i wyniosła się do innej dzielnicy, na Złotno. Później chłopaki kolejno znikali w wojsku albo wyjeżdżali na studia – i już nie wracali na stare śmieci; każdy zaczął się, gdzie mógł.

Następnie Salan opowiedział, jak dwa lata temu jego rodzice wraz ze starszym bratem Melanem zginęli w wypadku samochodowym. Na szczęście od roku był już wprowadzony we wszystkie rodzinne interesy.

– I teraz jestem najstarszy w rodzinie, bo dziadek mieszka daleko, w Łodzi, a wujka Dawida nie mam zamiaru słuchać. Wszystko na mojej głowie – powiedział. W jego oczach zabłyśły szydercze iskierki.

Szydził. A przecież była to najważniejsza informacja, jaką przekazał: starszeństwo w rodzinie oznaczało władzę absolutną.

Co kombinujesz, czarny diable? Do czego ci jestem potrzebny?

Oprócz interesów, Salan dostał w spadku Iwonę, białą żonę Melana. Dziewczyna była sama na świecie i nie miała żadnego zawodu, więc musiał ją żywić, a że był Cyganem nowoczesnym i na dokładkę nie znosił darmozjadów, więc zrobił z niej prywatną dziwkę dla znajomych (niekiedy Pako, najmłodszy brat Salana, sprowadzał dla niej gości z ulicy).

– Ile bierze za noc? – zainteresował się Marek.

– A co? Chciałbyś z nią? – zapytał Dani gwałtownie. Skrzywił się i zwinęta w pięść dłonią zrobił charakterystyczny, posuwisty ruch.

Gracze znieruchomieli nagle, tylko Dani zwinął karty i odłożył je na stół. Marta szybko uniosła głowę. A Marek pomyślał, że to za mało, że zaczepka Daniego nie spełnia oczekiwań; zapewne Salan jako gospodarz czułby się zmuszony do interwencji już po kilku klapsach w twarz, więc lepiej, żeby interweniował od razu, przed klapsami. A on, tak czy owak, doczeka się prawdziwej okazji.

– Hamuj, Dani! – usłyszał pobrzmiwający groźbą głos Salana.

No i w porządku, Salan podjął się roli interwenta. „Poczekaj, gnojku!” – pomyślał Marek patrząc na stropionego Daniego.

– Ja nic... Ja tylko tak... – próbował usprawiedliwić się młody Cygan.

Salan pokiwał głową.

– Nie szukaj, Dani, po co masz znaleźć? Taki miły wieczór, a komuś będzie przykro.

Knujesz coś, czarny diable, i ja ci jestem do tego potrzebny, nie na darmo pytałeś o moje karciane sztuczki. Nie bez powodu już drugi raz osadzasz Daniego.

Spojrzał na Martę i napotkał jej gniewny wzrok. Po chwili uśmiechnęła się niepewnie i spuściła głowę.

Po co ci to, synu, przecież wiesz, że i tak nic z tego nie będzie. Jest siostrą Salana, Cyganką, nie mógłbyś się z nią po prostu przespać i odejść, bo taki numer ciężko przechodzi u Cyganów, a odpowiedzialny za nią człowiek, Salan, Cygan, jest twoim kumplem.

– Stara Anki nie chciała mi dać jej adresu, więc czekam na Ewkę – powiedział, żeby zagłuszyć myśli.

– No tak, Ewka powinna znać adres Anki – rzekł Salan i bystro spojrzał na Marka. – Chcesz się mścić?

Nie odpowiedział, wytrzymał jego spojrzenie.

Salan pokiwał głową.

– No tak, zawsze byłeś zawzięty – powiedział. Spojrzał na siostrę. – Kini! Idź i sprawdź, czy Ewka jest w domu!

Kiedy dziewczyna wyszła, przechylił się w stronę Marka. Ten odruchowo skłonił ku niemu głowę.

– Zostaw lepiej tamte sprawy. Są już tak stare, że nie warto się w nich babrać.

– Tak myślisz?

Salan zmrużył oczy w uśmiechu.

– Podoba ci się Kini? – zapytał cicho. – To radzę ci, uważaj na Daniego.

Marek nie odpowiedział: zatkało go. Takie ostrzeżenie gadziego przed Romem w ustach Romapatriarchy rodu całkowicie odpowiedzialnego za siostrę było wyraźną ofertą. Salan praktycznie dawał mu Martę! Za co? Na jakich warunkach? Nie potrafił wyobrazić sobie interesu, który porządnego Cygana mógłby do tego skłonić. Ale Salan już dawno nie był porządnym Cyganem; był po prostu mało porządnym Polakiem.

– Ta druga, ta Cyganka – powiedział Salan niedbałym gestem wskazując dziewczyny siedzące na kanapie, – przyplątała się do nas głodna i obdarta rok temu. Nie mogłem żywić jej darmo...

– A taryfa za nią jaka? – Marek podtrzymał temat. Wciąż próbował zgadnąć, czy właściwie zrozumiał to, co się stało. Oferta? A może zwykle ostrzeżenie kumpla przed miną? Salan coś knuł, to nie ulegało wątpliwości, więc...

– A co, chciałbyś z nią? – zapytał Dani gwałtownie. I znów w jego głosie zabrzmiała ślepa wrogość.

Nagle znieruchomienie graczy, karty Daniego lądujące na stole, czujny wzrok Salana. Marek wiedział, że tej zaczepki nie może już puścić płazem, choć wciąż była za mała jak na jego oczekiwania, więc w swej ripoście – żeby nie zmarnować okazji – musiał być bardzo powściągliwy.

– Jaka taryfa? – powtórzył spokojnie.

– Taka sama – rzekł Salan cicho. Był zły, najwyraźniej opacznie tłumaczył sobie spokój Marka. – Ale dla ciebie może być ze zniżką.

– Dla mnie procent! – zawołał spod drzwi Pako. Marek dopiero teraz go zauważył. – Ja go przyprowadziłem.

– Oczywiście, dla ciebie procent! – zgodził się Salan z szyderczą powagą. Wciąż obserwował Marka i ta szydercza powaga w niego była wymierzona.

W drzwiach stanęła Marta.

– Jest Ewka – powiedziała.

Marek wstał, pochylił się nad stołem, dłonie wsparł na leżących pośrodku banknotach.

– Jak wrócę, to zagramy – powiedział zimno, zbliżając twarz do twarzy Daniego. Ruchem głowy wskazał przytulone dziewczyny. – Twoim szmałem zapłacę za noc z nią!

Salan roześmiał się. A Dani nieoczekiwanie spuścił głowę.

Rudy wyglądał fatalnie. Nos miał zdeformowany i już prawie granatowy; z obu dziurek sączyły się wąskie strużki krwi, które ocierał chusteczką pokrytą brunatnymi plamami. Fałdy tłuszczu na policzkach nabrały sinej barwy i spuchły tak, że przysłoniły lewe oko.

Anka posadziła go w fotelu i wetknęła w dłoń kieliszek brandy, Wandzie zachęcającym gestem wskazała barek, obejrzała twarz Rudego i pokiwała głową.

– Nieźle! – powiedziała z satysfakcją. – Spuchnie cholernie. Do jutro będziesz miał siniak na pół twarzy. Nos cały?

– Nie wiem – wymamrotał. – Boli jak cholera. Nie mogę się dotknąć.

– Trzeba by do lekarza... A swoją drogą od razu poznać mistrzowską rękę Konia.

Wanda oderwała się od oglądania butelek w barku i zachichotała.

– Niezły jest ten mój braciszek! Zgarnął Jurka jednym ciosem!

Anka nie raczyła na nią spojrzeć. Delikatnie rzecz ujmując, zawsze ignorowała siostry Konia.

– Wiedział o niej? – spytała Rudego.

– Skąd! – zachnął się. Syknął z bólu. Po chwili dodał: – Chyba by mnie zabił. To było za tamto.

– Więc jednak przyjechał się mścić. A Zosia twierdzi, że nie, że już dawno nam przebaczył.

– Akurat! Wystarczy spojrzeć na mnie.

Wanda podeszła do nich zaopatrzona w kieliszek czerwonego wina.

– Zosia ma rację – powiedziała. Z uśmiechem spokojnej wyższości przyjęła niechętnie spojrzenie Anki. – Nie pamiętam Marka zbyt dobrze, miałam tylko jedenaście lat, jak go wzięli. Ale Zosia dużo o nim mówiła. Zresztą dzisiaj poznałam go od razu. Marek nie jest taki, żeby z czymś czekał. Gdyby chciał się mścić, wróciłby zaraz po wyjściu z więzienia. Przecież musiał zrozumieć, że to wy go wkopaliście, a w śledztwie nikogo nie sprzedał. Już wtedy wam przebaczył. Możecie spać spokojnie. Zacznie być groźny, kiedy dowie się o mnie i o Zosi. Nam nie przebaczy. Ani tobie, Jurek. Ani Mokrzyckiemu.

Nie była głupia i z przekonaniem potrafiła powtarzać cudze poglądy, które uważała za trafne, co w połączeniu z nieprzeciętną urodą sprawiało, że większość mężczyzn przyznawała jej rację. Wanda przyzwyczaiła się do tego i wierzyła we własną nieomyślność.

– Ładna pociecha! – Rudy spróbował parsknąć szyderczo i syknął z bólu. – Mokrzyckiego chyba nie da rady ugryźć! – rzekł rozdrażniony.

– Nie znasz Marka – powiedziała Anka w zamyśleniu.

– Ja nie znam Marka! – wykrzyknął.

– Nie znasz. Ugryzie nawet Mokrzyckiego, jeśli będzie chciał.

– Ja wiem, że to szaleniec. Dlatego zwaiałem. Dlatego chcę zacząć działać, zanim on pośle mnie do szpitala. Albo gdzieś dalej...

– Nie znasz Marka – powtórzyła Anka. Powoli oswajała się z myślą, że Koń jest w mieście, powoli zaczynała odzywać się w niej mimowolna radość, chociaż nie przestała się bać; wiedziała, że ze strony Konia nic dobrego jej nie spotka. Znała Marka lepiej od innych, pochlebiała sobie, że nawet lepiej od niego samego – w końcu zdołała przewidzieć jego postawę w śledztwie, a więc w sytuacji ekstremalnej, w stanie zagrożenia, kiedy instynkt samozachowawczy wypacza najsilniejsze charaktery – przypuszczała więc, że sporo prawdy może być w słowach Zosi i Wandy. Może on naprawdę im przebaczył?

– Może Koń naprawdę nam przebaczył? – powiedziała. – Coś w tym jest.

– Siostrunie od razu zwąchały, co w trawie piszczy i teraz go bronią! Ty też jesteś tylko babą! A baby zawsze Konia lubiły! – syknął Rudy.

– Bronią! – Wanda pochyliła się nad nim i zachichotała. – Przed kim? Przed tobą, Jureczku?

W zdrowym oku Rudego błysnęła nienawiść. Przechylił kieliszek i opróżnił go jednym haustem. Syknął.

– Boli, cholera! – poskarżył się. – Zamiast mnie pożałować, to jeszcze się czepiasz!

– Rzeczywiście wypada cię tylko żałować – powiedziała Wanda obojętnie.

„Czy ona go bije?” – zastanowiła się Anka.

Odwrociła się i powoli podeszła do barku. Zapaliła papierosa. Miała ochotę na kieliszek czegoś dobrego, więc kolejno zlustrowała butelki. Kiedy już obejrzała ostatnią, pomyślała, że tak naprawdę to ma ochotę na łyk alkoholu i nie jest ważne, czy będzie on dobry; musi być mocny. Nalała brandy i odwróciła się z kieliszkiem w dłoni.

„Czy ona go bije?” – powtórzyła patrząc na Wandę.

Wysoka, silna, piękna blondynka o przenikliwym spojrzeniu jasnoniebieskich oczu tak bardzo przypominała Marka, że Anka – chcąc nie chcąc – wyobraziła go sobie takiego, jakim był przed dziewięć laty. Potem pomyślała o synu, który także miał jasnoniebieskie oczy i włosy koloru zboża, i o mężu, który zbyt mocno lubił chłopców. Poczowała ukłucie w sercu, bo po raz kolejny uświadomiła sobie, że nie wszystko układa się jej tak, jak chciała, że na przykład nie ma wpływu na rozwój dziecka, chociaż właśnie to było jednym z jej najgorętszych pragnień, że oddała syna w ręce matki, chociaż kiedyś przysięgała sobie, że nigdy tego nie uczyni, że nie zgotuje dziecku losu, który był jej udziałem. Ale matka w porównaniu z Duninem była mniejszym złem.

Czy na postępowaniu Konia zaważy fakt, że ma z nią syna? Zadała to pytanie odruchowo, mimochodem, i nagle spłoszyła się, bo zrozumiała, że zaważy, i to mocno, ale zdecydowanie negatywnie, choćby dlatego, że dzieciak nie nosi nazwiska ojca, że nigdy o ojcu nie słyszał...

„Namieszalaś, dziewczyno!” – pomyślała.

Machinalnie opróżniła kieliszek. Cierpki smak alkoholu; ciepła struga spływająca do żołądka; znajome, codzienne wrażenie osadzające ją w konkretnej rzeczywistości, w przyjaznej swojskości. Jak niezmienny widok mebli.

Czy Marek zaatakuje? Czy zaatakuje ją? Czy wie, że jego wpadka była jej pomysłem? Żachnęła się; jeśli nawet nie wie, to dowie się bardzo szybko, bo taki Alis czy Rudy powiedzą mu natychmiast, gdy spyta.

Spojrzała na Rudego – i wzdrygnęła się. Pluskwa!

Pomyślała, że wszystko cholernie się splątało. Zrozumiała również, że każdy atak Marka, obojętnie w kogo wymierzony, będzie także wymierzony w nią. Broniąc siebie, będzie musiała walczyć również o Rudego, o tę rozgniecioną pluskwę.

Rozległ się przytłumiony świergot telefonu.

Rudy wcisnął się w fotel, skulił ramiona. Wanda spojrzała na niego z pogardą.

Anka podeszła do ławy i wzięła słuchawkę. Dzwoniła matka. Histeryzowała. Krzyczała tak przenikliwie, że jej głos rozlegał się w całym pokoju. Ance zabrakło tchu, odpowiadała więc monosylabami. Kiedy odłożyła słuchawkę, ręce miała spocone, zdrętwiałe. Czuła dygot ogarniający ciało.

Rudy i Wanda patrzyli na nią w napięciu.

– Był u mojej matki i widział Marka – szepnęła, bo obawiała się, że głos odmówi jej posłuszeństwa. – Stara chyba zwariowała! Darła się, że go poznał i chciał zamordować...

– Jakiego Marka? – zdziwił się Rudy.

– Jej syna, idioto! – syknęła Wanda. Podeszła do Anki i pogłaskała ją po ramieniu. – Nie martw się, na pewno nic się nie stało. Twoja matka zawsze była histeryczką. Gdyby próbował zamordować Marka, ją wykończyłby przede wszystkim. A przecież żyje. Uspokój się.

Anka uśmiechnęła się blado. „Szuka mnie!” – pomyślała. „A więc wie, że to ja wymyśliłam jego wpadkę. Szuka mnie!”

Wytarła spocone dłonie o sukienkę. Czuła, jak drżenie sięga stóp, a także jak marszczy skórę na głowie. „Spokój!” – wrzasnęła na siebie. „Spokój!” Kiedyś już wygrała z Koniem, kiedyś załatwiła go szybko i skutecznie. Teraz mogła to powtórzyć. Musiała?

Wanda sięgnęła do barku po kieliszek brandy.

– Wypij.

Wypiła. Uśmiechnęła się blado. Ostatecznie potrafiła zapanować nad sobą: ręka podnosząca kieliszek nawet nie zdrząła.

– Moja stara zawsze była histeryczką. I Koń jej nie lubił. A gdyby miał kogoś zabić, zaczęłyby od niego – powiedziała, brodą wskazując Rudego – albo od mojej matki. Ale musimy coś zrobić, bo ja nie mam ochoty wylądować u czubków. To staje się nie do zniesienia. Ledwie Koń wrócił, a wszyscy dostają joba w przyspieszonym tempie! Zbierajcie się! Pojedziemy po Marka do mojej starej, a potem do Zosi. Może wspólnie coś wymyślimy.

Ewa uśmiechnęła się szeroko i z rozmachem walnęła Marka w plecy.

– A jednak to ty! Nie chciałam wierzyć tej małej Cygance, kiedy powiedziała, że Koń wrócił. No, włącz! Poznasz mojego chłopca, zobaczysz, jakie mam fajne córki!

– Chciałbym porozmawiać – powiedział zakłopotany, – i wolałbym tutaj, na korytarzu.

Mąż, córki. I rodzice. Przynajmniej sześć osób. Z nim siedem. A dobrze pamiętał, że chata Ewki nie była zbyt przestronna. Więc tłok jak cholera. A on rzeczywiście chciał spokojnie porozmawiać.

Poszli w koniec korytarza, pod okienko wychodzące na sąsiednią posesję.

Nigdy specjalnie nie lubił Ewki, może dlatego, że przez pewien czas była oficjalną dziewczyną Figata, a Figat z kolei należał do tych mędrków, z którymi nawet na upartego trudno się dogadać. Ale teraz, po tym w gruncie rzeczy serdecznym powitaniu, poczuł przypływ sympatii.

Dziewięć lat, dziewięć cholernie długich lat! Co ty tu robisz, synu? Czego szukasz?

Teraz, gdy wiedział, że za kilka minut dostanie aktualny adres Anki, gdy przeczuwał, że padną kolejne wyjaśnienia kształtujące jego dawną, a przede wszystkim obecną sytuację, znów zwątpił w sens swojej podróży. Po cholere tu przyjechał? No tak, ale gdzieś musiał pojechać; nadszedł czas na kolejną zmianę klimatu, na kolejną ucieczkę od siebie. Może jadąc tutaj spodziewał się, że wreszcie

od siebie ucieknie? Od siebie z ostatnich dziewięciu parszywych lat? Tutaj czekała na niego rzeczywistość, z której dawno temu został brutalnie wyrwany. Nosił w sobie obrazy tamtego życia, pielęgnował je troskliwie, odświeżał, odnawiał – i w dziecięcy sposób wierzył, że wciąż są takie, jak zapamiętał. Dzisiaj zmieniona upływem lat rzeczywistość dawała mu w łeb na każdym kroku.

Nagle zwątpił. Nagle nie miał odwagi zacząć rozmowy z Ewą. A na dokładkę czuł, że pierwsza sprawa, którą Ewa poruszy, będzie dotyczyła jego sióstr. Nie chciał się już w tym grzebać.

– Żebyś ty Koniu wiedział, jak się wszyscy bali, kiedy ciebie zamknęli – powiedziała Ewa.

Stali w okienku, dość blisko siebie, ale było już tak ciemno, że nie rozróżniał rysów jej twarzy, widział tylko białą plamę, poznaczoną ciemniejszymi punktami oczu i krechą ust.

– A ty? – spytał.

– Ja? Też się bałam! – zachichotała. – Byłam pewna, że zaczniesz gadać. W końcu nie jesteś głupi, na pewno domyśliłeś się, że ta wpadka była ukartowana.

– Domyśliłem się.

Pamiętał długie godziny przesłuchań bezpośrednio po zatrzymaniu i równie długie godziny samotności w celi na komendzie. Co miał wtedy robić? Myślał. Pomału, szczególnie po szczególe, układał tę łamigłówkę, a gdy wreszcie ją ułożył, nie chciał uwierzyć w rozwiązanie i jeszcze raz – a czasu miał dużo – ułożył ją od początku. W końcu uwierzył.

– Dlaczego? – zapytał. Nie znalazł odpowiedzi na to pytanie przez dziewięć długich lat. – Dlaczego oni to zrobili?

– Nie wiem. Ich musisz spytać.

– Właśnie. Masz adres Anki?

– Mam. A co, chcesz się mścić?

Po raz drugi w ciągu kilkunastu minut usłyszał to pytanie. Także po raz drugi ktoś zapewniał, że cholernie bał się jego postawy w śledztwie.

W końcu doprowadzą cię do tego, że ich znienawidzisz, synu, albo że któremuś z tamtych przy pierwszym spotkaniu ukręcisz łeb!

– Mów! – zażądał. – O Ance.

– O Ance? Co tu dużo o niej gadać! Zawsze była sprytna. Jak ciebie zamknęli, to zawięła się szybko i zaraz się chajtnęła. Widziałeś jej dzieciaka?

Kiwnął głową. I w tym samym momencie zrozumiał, kogo mu ten chłopczyk przypominał. Przez chwilę nie chciał wierzyć, ale Ewa natychmiast potwierdziła jego domysły.

– Podobny do ciebie jak dwie krople wody – powiedziała.

– Była ze mną w ciąży! – szepnął. Poczuł się tak, jakby znienacka dostał w łeb. „Jezus Maria! Była ze mną w ciąży!”

Ewa kiwnęła głową.

– W czwartym miesiącu – powiedziała. – To trochę dziwne, że Dunin poszedł na taki układ, ale ludzie mówią, że zależało mu na reprezentacyjnej żonie i dzieciaku, bo jest pedałem. Teraz Anka ma trzypiętrowy dom, wielki ogród, no i herb, który ostatnio znów jest w cenie.

„Była ze mną w ciąży!” – powtórzył. Jednocześnie pomyślał, że Anka ułożyła sobie życie tak, jak chciała, jak wyśniła. Pamiętał – nie raz tak było i nie dziesięć – jak leżała przytulona do jego ramienia, szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w sufit i półgłosem marzyła: „Z tobą, Marek, z tobą chciałabym mieć syna. To byłby piękny chłopak, blondyn jak ty, z twoimi oczami. Syna – tak! Ale żyć wolałaby z kim innym, bo ty nigdy nie zrobisz pieniędzy. Nie szanujesz ich, po prostu. A ja muszę mieć porządny dom, niezły samochód, piękne meble. I żebym nigdy nie musiała liczyć się z groszem”.

Ma więc ten porządny dom. Ma zapewne samochód albo i dwa. Ma zapewne piękne meble. Z innym mężczyzną. A z nim ma jasnowłosego i niebieskookiego syna. Dokładnie jak w marzeniach. No cóż, nie pierwszy raz dowiadywał się, że Anka potrafi realizować swoje plany. Przecież już dziewięć lat temu w więzieniu śledczym doszedł do wniosku, że jego wpadka była wymyślona i zaplanowana przez Ankę. Tak, Anka była bezwzględna w działaniu i tak trudna do zatrzymania jak rozpędzony czołg.

– Byłem u jej matki – powiedział niepewnie.

– Byłeś tam? No tak, teraz jasne! A ja zastanawiałam się, do kogo ta stara jędza telefonuje! – Ewa westchnęła, jakby rozszyfrowanie plotkarskiej zagadki przyniosło jej ulgę.

– Co?

– Widziałam ją na pocztce, jak wracałam parę minut temu z pracy – wyjaśniła. – Dzwoniła. Pewnie do Anki. Żeby ją uprzedzić o twoim przyjeździe.

Reakcja łańcuchowa nabierała cech lawinowych.

– Co z chłopakami? – zmienił temat.

– Rudy jest przemysłowcem... – urwała, zawahała się. – Wiesz, to trochę przykra sprawa...

– Tak. Wiem. Wiem o wszystkim.

– No to świetnie! – odetchnęła z ulgą. – Nie bardzo wiedziałam, jak ci to powiedzieć. Zawsze byłeś cholerny nerwus.

Milczał.

– No więc tak, Rudy jest przemysłowcem – podjęła, – Alis dziennikarzem, Gebels gliną, tylko Figat wciąż klepie starą biedę.

– Gebels gliną?!

– Nie wiedziałeś? Przecież zawsze lubił bawić się w złodziei i policjantów. Złodziejem już kiedyś był, teraz został gliną. Oficerem.

– Cholera!

Cholera, Gebels gliną! W pierwszej chwili wydało mu się mało prawdopodobne to przejście na drugą stronę barykady, ale natychmiast uświadomił sobie, że barykada od dawna nie istnieje, że on zburzył ją upartym milczeniem przed dziewięciu laty, że milcząc kształtował nie tylko swój los.

Gebels gliną. Faktycznie zawsze marzył o służbie w policji. A więc i on zrealizował swoje marzenia, poszedł drogą jedyną, właściwą, upragnioną.

– Masz ich adresy?

– Rudego i Gebelsa mam. Ale Figat... – zawahała się. – Z nim różnie bywa. Podobno mieszka czasami z Zosią... Jej adresu nie mam.

– To Zosia nie jest z jego ojcem? – zapytał zaciskając pięści. Musiał coś powiedzieć, jeśli nie chciał się zbytnio odsłonić.

– Różnie mówią... Podobno z obydwojema, na przemian.

Jak to dobrze, że jest ciemno! W tym momencie, jak na złość, ktoś przekręcił na dole kontakt i pod sufitem zabłysła silna żarówka. Marek spróbował się uśmiechnąć. Spojrzał na Ewę i napotkał jej zaciekawiony wzrok. Nie myśleć! Nie myśleć o siostrach! Patrzeć na Ewę! Myśleć o niej.

Niewiele się zmieniła, to znaczy rozpoznałby ją na ulicy bez kłopotów. Ale przywiedła cera, nieco obwisłe policzki i siatka zmarszczek wokół oczu przypominały, że czas upływał i nieubłaganie robił swoje.

Na korytarzu pojawił się zgarbiony mężczyzna, spojrzał w ich stronę, bąknął „dobry wieczór” i oddalił się w przeciwnym kierunku.

– Dobry wieczór – opowiedziała Ewa. – Niewiele się zmieniłeś, Koniu – dodała.

– Ty też – rzekł swobodnie.

Był już zupełnie spokojny, zdołał zapomnieć o siostrach. Wyjął papierosy. Zapalili. Potem Ewa zaczęła mówić, z goryczą, widocznie jej życie nie układało się specjalnie dobrze. Mówiła o zrealizowanych marzeniach: mówiła o życiu innych ludzi. O Ance. O Gebelsie. O Rudym.

„Ty też nigdy nie miałaś żadnej szansy” – pomyślał z nagłym współczuciem. „Los niestety niczym cię nie wyróżnił”.

Nie była głupia, zawsze odznaczała się cwana bystrością uważnego obserwatora – i dlatego od wczesnej młodości przeznaczona była do życia, które teraz wiodła: zapracowanej żony, matki, a przede wszystkim uzależnionej od cudzych problemów małomiasteczkowej plotkarki.

– Co z Alisem? – przypomniał.

– Został dziennikarzem, tak jak chciał, i wyjechał do Warszawy. Czasami wpadnie do starych na weekend. Wtedy – bywa – odwiedzi dawnych znajomych. Ale to już nie jest jego miasto. Jak widzisz, wszystkim się jako tako powiodło, nawet mnie, mam w końcu wspaniałego męża i dwie śliczne córeczki. Tylko Figatowi nie poszło. Ciągłe toczy tę bezsensowną wojnę ze swoim ojcem.

– Jak to? Przecież Zosia... Mają wspólną...

– To jest swojego rodzaju zemsta Figata. Zosia prawdopodobnie go kocha, więc on odbiera ją staremu. A stary go za to niszczy. Przecież to on rządzi tym miastem.

– Dlaczego Krzysiek nie wyjedzie?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Pewnie się zapał po swoim, a wtedy już ani rusz. Przecież go znasz.

– Znam.

– A co u ciebie? Też pewnie niewesoło.

– Dlaczego?

– No, jeżeli wróciłeś...

– Kto ci powiedział, że wróciłem?

Przez chwilę palili w milczeniu.

– Masz żonę? Dzieci?

– Żony nie, ale dziecko mam.

– Dziewczynkę?

– Chłopaka. Ciekawe, jak mu na imię?

– A co? Nie wiesz?

– Skąd mam wiedzieć, kiedy go dzisiaj pierwszy raz zobaczyłem?

Roześmiała się.

– Ma na imię Marek. Anka wcale się nie krępowwała.

Rzucił niedopałek na podłogę i rozgniół go podeszwą.

– Daj mi te adresy, dobra?

– Dobra.

Figat zawahał się na jej widok. Może by zatrzaskał drzwi, gdyby był pijany. Ale był trzeźwy, więc zastanowił go wyraz twarzy Zosi, a potem dostrzegł torebkę brzemienną obłym kształtem butelki.

– Przecież ustaliliśmy, że nigdy więcej tu nie przyjdiesz! – powiedział ostro. Ale jednocześnie odsunął się z progu i zapraszająco poruszył dłonią.

Weszła. W mieszkaniu, a właściwie w pokoju, bo mieszkanie Figata składało się z jednego pomieszczenia, jak zwykle panował totalny bałagan. Na dużym okrągłym stole piętrzyły się w kilku nieforemnych stosach przemieszane ze sobą książki, gazety, papiery, resztki pożywienia i brudne naczynia. Podobne stosy, z przewagą książek i resztek pożywienia, zalegały tu i ówdzie na podłodze, a także na regale zbitym z kilkunastu desek. Tapczan pokryty był zbałwanioną i niezbyt czystą pościelą. Okno o szybach poznaczonych brunatnymi zaciekami było dokładnie zamknięte; odór najtańszych papierosów, którymi przesiąkły ściany, wywoływał nieprzyjemne skojarzenia. Z sufitu na grubym sznurze zwisała goła, zapalona żarówka.

– No i co się tak gapisz? – warknął.

Chwilę zastanawiała się, od czego zacząć, od wyjęcia butelki czy od sprzątania, a potem powiedziała po prostu:

– Marek wrócił.

Figat usiadł na krześle stojącym przy stole. Pochylił się, zgarbił, przełożył jedną i drugą książkę, zepchnął na podłogę jakąś gazetę; zrobił w ten sposób trochę miejsca i teraz mógł oprzeć się na łokciach. Wziął brudną szklankę i zaczął ją obracać w palcach. Miał zbyt długie, przetłuszczone włosy, ciemne i zapadnięte w głąb czaszki oczy, a kilkudniowy zarost skutecznie zasłaniał rysy twarzy. Mankiety niebieskiej koszuli były szczelnie zapięte wokół przegubów, a pognieciona stójka tworzyła wokół szyi rodzaj kryzy przypominającej harmonijkę.

Spojrzał na Zosię.

– Czy jeszcze ktoś o tym wie?

Skinęła głową.

– Kilka osób.

– Z naszej paczki?

– Tak.

Westchnął i spojrzął na szklankę.

– Uprzedzeni, uzbrojeni – mruknął. – Koń jak zwykle zaczął od popełniania błędów. No nic. Siadaj i opowiadaj.

Zbliżyła się do stołu, ale nie usiadła, odruchowo zaczęła sortować zalegające blat rzeczy. Jednocześnie mówiła. Kiedy skończyła mówić, na blacie przed nią piętrzyły się trzy stosy: w jednym były książki, w drugim brudne naczynia, a w trzecim gazety, papiery i pozostałe śmieci. Z kąta pokoju wyciągnęła duże kartonowe pudło, zgarnęła do niego śmieci i wysypała pety z popielniczki. Brudne naczynia zaniósła do zlewu, a książki ulokowała na wolnym skrawku regału. Na stole pozostała popielniczka, papierosy, zapałki, no i szklanka, którą bawił się Figat.

– Zawsze podziwiam twoje mistrzostwo: szast prast, fiut, pięć minut i porządek – powiedział.

– Porządek? – zdziwiła się. Wymownie spojrzała na regał, potem na podłogę, potem na tapczan.

– Mnie to nie przeszkadza – rzucił ulubioną formułką. – Jestem nie tylko pijakiem. Jestem także abnegatem.

Wzruszyła ramionami.

– Co myślisz o tym wszystkim? – zapytała. Jednocześnie zaczęła sortować rzeczy zalegające regał.

Figat przyjrzał się szklance.

– Uważam, że masz rację, Koń jest taki, jak mówisz. – Na chwilę przymknął oczy. – Na pewno nie wrócił się mścić. Minęło dziewięć lat od czasu, kiedy rozmawiałem z nim ostatni raz, ale ten nagły powrót świadczy, że niewiele się zmienił. Nagły i bezsensowny. Gdyby wrócił zaraz po odśladce, miałoby to jakiś sens, ale teraz... – urwał i wzruszył ramionami.

– To samo powiedziałam Alisowi. I Ance. Tylko... tylko potem widziałam Rudego. Wyglądał fatalnie. I bał się. To na pewno dzieło Marka.

Figat ponownie wzruszył ramionami. Przyglądał się szklance, co jakiś czas zerkał w stronę torebki zawieszanej na oparciu krzesła, potem spoglądał na Zosię kręcącą się wokół regału.

– Rudy już taki jest. Prowokuje. Gdybym ja miał siłę Konia, rozkwasałbym mu nos przy każdym spotkaniu. Dla przyjemności. Żeby widzieć jego zdefasonowany ryj, żeby widzieć jego strach. Rudy swoim istnieniem zmusza do zastanawiania się, dlaczego człowiek nie nosi w kieszeni noża. Zresztą, co ja ci będę tłumaczył, przecież żyłaś z nim kilka lat.

Zlekceważyła zaczepkę, a właściwie wymówkę; była do tego przyzwyczajona.

– Więc uważasz, że nie ma się czym przejmować? – zapytała. – Twierdzisz, że powrót Marka niczego nie zmienia?

– Niczego takiego nie twierdzę! – obruszył się. – Aż tak dobrze nie będzie. Przeciwnie! Jego powrót zmieni bardzo dużo, zmieni w nich, w tej cholernej bandzie małych posiadaczy! W was! – Spojrzął na Zosię, a w jego oczach zabłysła nienawiść. Ścisnął szklankę, potem zaczął szybko obracać ją w palcach. – To źle, że Koń wrócił z takim hukiem, że dowiedzieli się o tym wszyscy, że od razu natknął się na Rudego i dzielił go w pysk. Gdyby objawił się dopiero po kilku dniach... Gdyby ta cholerna banda dowiedziała się, że jest tutaj już kilka dni i że nie zaczął przeciwko nim działać, wtedy uważałbym, że nie ma sprawy, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Ale tak...

Zosia odwróciła się od regału i spojrzała pytająco.

– My wiemy, że on nie wrócił szukać zemsty – podjął. – Ja twierdzę więcej: on nie wrócił, żeby robić porządek z tobą czy Wandą. Po prostu wsiadł do autobusu i przyjechał tutaj, bo znudziło mu się tam, gdzie był, a nie miał dokąd jechać. Tak się złożyło, że od razu natknął się na Rudego i dał mu w pysk. Może uważa, że jesteśmy mu coś winni, więc machnie kilka razy kopytem, jak mu się kto pod nie nawinie. Ale to nie jest groźne, dla was i dla nas, dla mnie i dla ciebie. Nam w ogóle nic nie grozi. To Koń jest zagrożony. Waszym strachem.

– Nie rozumiem.

Figat westchnął.

– Oni się boją. Wiedzą, że jak Koń zacznie rozrabiać, to będą musieli płacić, to zostaną zagrożone ich dobra, ten kapitał, który przez dziewięć lat inwestowali w siebie, w domy, w interesy, w kariery. Z tego strachu mogą zaatakować, nawet jeśli Koń pozostanie bierny. Na atak Koń oczywiście odpowie, a że jest dosyć mocny, więc zaczną się jatki. Jednak prawdziwa siła jest przy nich. Koń

przegra. Musi przegrać. To potrafię przewidzieć. Niestety nie wiem, czym Koń tym razem zapłaci. Wolnością? Wygnaniem? A może życiem?

Twardo, ze stuknięciem, odstawił szklankę.

– Więc co teraz? Co mam robić?

Zmrużył oczy.

– Oczywiście jesteś po stronie brata – rzekł. – To dobrze, że kazałaś im dzisiaj przyjść do siebie. Musisz ich okiełznać. Musisz okiełznać ich strach. A już szczególną uwagę zwróć na Rudego i Alisa. Oni zawsze się boją. Ich strach będzie bardzo ciężko okiełznać.

Zbliżyła się do stołu.

– Jak to zrobić? – zapytała.

– Daj wreszcie tę butelkę – powiedział patrząc na wypchaną torebkę. – Nie piłem trzy dni, myślałem, że może uda mi się przetrzymać kaca, ale ty przyszedłaś z butelką...

– Przecież nie musisz pić.

– Daj butelkę – powtórzył.

Postawiła butelkę na stole i spojrzała na niego wyczekująco. Wzruszył niecierpliwie ramionami, zdarł nakrętkę i nalał alkoholu do szklanki.

– Jak to zrobić? – powtórzyła.

– Nie wiem – powiedział. Podniósł szklankę i siorbiąc zachłannie opróżnił ją do dna. Otrząsnął się, kilkakrotnie przełknął ślinę, a potem splunął, trafiając przez pół pokoju dokładnie do zlewu. – Nie mogę ci dać gotowej recepty. Będziesz musiała improwizować. Alis wyjedzie w niedzielę wieczorem. Zmusz go, żeby wyjechał jutro. Rudy... – zawahał się. – Sporo o nim wiesz. Zaszachuj go tym, zmusz, żeby zniknął z miasta na kilka dni. Anka i Gebels. Im można wytłumaczyć. Mniej się boją, dlatego więcej rozumieją.

Zosia pochyliła się i dotknęła jego ręki.

– Pojedź ze mną, dobrze? – poprosiła.

– Ja?! – zdumiał się.

– Tak. Wytłumaczysz im to wszystko lepiej niż ja. Pojedziesz, Krzysiu?

Uśmiechnął się szyderczo.

– Ja dla nich jestem ostatnim lumpem, pijaczną, nie będą chcieli mnie słuchać – powiedział. Udało mu się ukryć gorycz.

Ścisnęła jego rękę.

– Proszę! – szepnęła.

Wzruszył ramionami.

– Dobrze, pojedę. Spróbuję wbić im coś do zakutych łbów. Ale jak mi się nie uda, to wyjdę, żeby ci nie przeszkadzać. A ty sprowadź mojego starego. On sobie z nimi poradzi.

Wyglądała na zaskoczoną.

Wstał, uśmiechnął się ciepło, objął ją.

– Rozbierz się – szepnął. – Posprzątasz kiedy indziej.

– Mamy... mało czasu, Krzysiu...

– Nie chcesz?

Chciała, oczywiście.

Marta czekała na niego w uchylonych drzwiach mieszkania, tak że wchodząc nie musiał pukać ani szczełkać klamką; nie musiał hałasować. Przedpokój był zupełnie ciemny, tylko spod drzwi z prawej strony sączyło się trochę światła. Również stamtąd dobiegał szmer cichej rozmowy.

Odruchowo przygarnął dziewczynę, bo kiedy do jego świadomości dotarło, że na niego czekała, uruchomiła się w nim cała seria odruchów. Niestety musiał poprzestać na obiecującym początku, bo już drugi odruch – chęć pocałowania – został powstrzymany oporem dziewczyny.

Wsparta dłońmi na jego piersi i odchylona – ale nie za mocno; czuł dotyk bioder i brzucha – zaczęła szeptać gorączkowo:

– Daj spokój i odejdz stąd, Marek. Ja wiem, że kiedyś byłeś najlepszy, kiedyś nawet widziałam, jak się biłeś, ale Dani mnie kocha, to mój chłopak, mój narzeczony, on ćwiczy karate, jest dobry, lepszy od ciebie, no i ma nóż.

– Nóż? Cygan wyciągnąłby nóż na swojego?
 – Nie jesteś swój. Dla niego jesteś obcy. To nie te czasy, Marek!
 „Oczywiście” – pomyślał. „Wszystko się degeneruje”.
 – Odejdź, proszę. Zostaw mnie w spokoju. Dani ciebie zabije, bo to mój chłopak, nożem i znie-
 nacka. Nawet gdyby Salan... – urwała, ze świstem wciągnęła powietrze.
 – Co Salan? – zapytał. Czuł, że opór jej dłoni słabnie.
 – Nic.
 A więc i ona wiedziała, że Salan coś kombinuje. Co kłuło się w tym czarnym szalonym łbie?
 – Boisz się o mnie?
 Nie odpowiedziała. Po chwili, z długim westchnieniem, przytuliła się mocno.
 – Odejdź, proszę – wyszeptala z głową na jego piersi. – Obiecuj, że odejdziesz.
 Zazdrosny Dani, Rudy z rozbitą twarzą, jakieś kombinacje Salana.
 – Zostanę – szepnął. Wzdłuż pleców przebiegł znajomy, wspaniały dreszcz emocji.
 – To nie czekaj! To od razu weź sobie do łóżka Iwonę albo Parni. Tak będzie lepiej. Tak będzie
 najlepiej!
 – Na co mam nie czekać?
 – Weź Iwonę albo Parni. Tak będzie najlepiej – powtórzyła.

Milczeli. Oczywiście na początku przywitali się serdecznie, bo w końcu byli starymi kumplami, ale obaj tę serdeczność potraktowali przede wszystkim jako manifestacje dla pań uczestniczących w przywitaniu. Później zamilkli, bo z powodu obecności kobiet nie mieli sobie nic do powiedzenia prócz kilku zdawkowych zwrotów. Żona Gebelsa, Ewa, zaimprovizowała poczęstunek, a oni sko-
 rzystali skwapliwie, bo jedząc i pijąc mogli milczeć i nie wysilać się na czeze uprzejmości. To wła-
 śnie Ewa, jako doświadczona mężatka, zorientowała się, że coś jest nie tak, i pod pretekstem poka-
 zania jakiś ciuchów zabrała Krystynę do drugiego pokoju. Zostali sami, mogli więc mówić, ale
 wciąż milczeli, jakby z przyzwyczajenia albo z obawy przed tym, co drugi ma do powiedzenia.

Pierwszy odezwał się Alis, może dlatego, że bardziej się bał, a może dlatego, że więcej wiedział. I właśnie tą wiedzą się podzielił:

– Koń spotkał Rudego. Oczywiście Rudy ma teraz rozbity pysk.
 – Dlaczego oczywiście? – zapytał Gebels. On jako jedyny z paczki przewyższał Konia wzro-
 stem: metr dziewięćdziesiąt jak obszył. Miał również sporo mięśni i nieraz dowiódł, że potrafi zro-
 bić z nich użytek. Siedział teraz w ogromnym fotelu tak ostrożnie, jak na kruchym krzeselku (w
 identycznym fotelu Alis zniknął jak embrion w łonie matki).
 – Tak mi się jakoś powiedziało – bąknął Alis. – Chociaż... – zastanowił się. – W tym coś jest.
 Zawsze podczas rozmowy z Rudym mam ochotę dać mu w pysk. Dlatego powiedziałem „oczywi-
 ście”. Nie dziwię się Koniowi. Ale może to oznaczać, że Koń zadał pierwszy cios, a fakt, że zaczął
 od Rudego, jest czystym przypadkiem.
 – Tak. – Gebels uchwycił się poręczy fotela i założył nogę na nogę. – Ciekawe, gdzie Koń teraz
 jest. Ciekawe, co oprócz zdzielenia Rudego zdążył zrobić – powiedział.

Alis parsknął.
 – Mnie bardziej interesują jego zamiary.
 Gebels odetchnął zadowolony z nowej pozycji.
 – Zosia mówiła, że on nie ma pretensji, że przebaczył nam już dawno temu.
 Alis powtórnie parsknął.
 – Nie rozmawiała z nim nawet! Uciekła, tak samo jak ja! Psychologia czy dedukcja w podejściu
 do Konia to bzdury dobre dla panienek czy tępych gliniarzy.
 Gebels wzruszył ramionami.
 – A ty na jej miejscu nie uciekłyś? – spytał. – Gdyby Konia nie wsadzili za tamte skoki, to i tak
 trafiłyby do pudła kilka lat później za swoje siostrzyczki albo za któregoś z gaszków. Nie ścierpałyby
 tego, co wyprawiają siostrunie. Mam rację?

Alis nie odpowiedział. Gebels ostrożnie pochylił się i sięgnął po kieliszek z koniakiem.
 – Wiesz o spotkaniu u Zosi? – zapytał. – Wiesz, że chce wciągnąć w to Mokrzyckiego?
 – Wiem – bąknął Alis. Błyskawicznie zdecydował się nie wspominać o pogróżkach Zosi; Ge-

bels, chcąc utrzymać się na posadzie, musiał, tak czy owak, sprzyjać Mokrzyckiemu.

– Pójdiesz tam? To mniej więcej za godzinę.

– Pójdę. Krystyna uparła się, żeby zobaczyć kasyno. Pokażę jej i pójdę. A jutro najchętniej od razu wróciłbym do Warszawy, ale Krystyna chce zobaczyć tańce nad rzeką. Wiesz, z okazji najkrótszej nocy w roku.

Gebels kiwnął głową. Te tańce przy ogniskach miały swój urok, organizowane były od lat i cieszyły się ponadlokalną sławą.

– Boisz się?

Alis wzruszył ramionami. Przed Figatem czy Rudym nieraz czuł się zmuszony do odgrywania bohatera, pewnie dlatego, że miał szanse dorównać im siłą mięśni lub odwagą. Ale przed Koniem czy Gebelsem zawsze był po prostu sobą: obaj znajdowali się poza jego zasięgiem.

– Znasz Konia. Obaj wiemy, co twierdzi Zosia – powiedział. – Ty sugerujesz, że może mieć rację. Nawet gdyby miała, to Koń jest facetem nieobliczalnym. Ktoś wlezie mu na odcisk i zacznie się kołomyja. Nie chciałbym być tym, na kim on wyrzuci swoją złość. Wolę mieć całe kości. Wolę żyć, Jacek.

– Zaraz żyć! – Gebels pogardliwie wydał usta. – Koń jeszcze nikogo nie zabił.

– Jeszcze! – Alis podkreślił słowo ruchem ręki. – Wspaniale to ująłeś, gliniarzu.

– Czepiasz się słówek, pismaku.

– Możliwe. Ale ta narada u Zosi... Coś wymyślicie, coś zrobicie, i może będzie to nawet niegłupie. Ale czy jesteś pewien, że ktoś nie robi czegoś na własną rękę? Czegoś głupiego? Jak Konia krew zaleje, nie będzie pytał, kto winien. Zacznie walić. Wolę być wtedy daleko.

Gebels spojrzał na niego z zainteresowaniem.

– Wiesz, to nie byłoby takie głupie, sprowokować go do wariackich występów. Niech podskoczy, niech złamie prawo...

Alis zachichotał.

– A wtedy ty w całym majestacie prawa pošlesz go tam, gdzie już był. Tylko pamiętaj, że on może zacząć gadać. Minęło dopiero dziewięć lat, jeszcze rok do przedawnienia.

– Mnie żadne przedawnienie nie obejmuje – powiedział Gebels ponuro. – Wyleciałbym z hukiem nawet po dwudziestu latach nienagannej służby.

– Przesadzasz. Ale mam lepszy pomysł. Po co prowokować Konia? Sfinguj coś naprawdę grubego, podrzuc dowody rzeczowe i osobiście capnij go za dupę. W ten sposób stworzysz sytuację przetargową. Przecież dysponujesz odpowiednim aparatem.

– Pomysł może i niezły, ale niewykonalny: aparat na to nie pójdzie.

– Nie masz kilku zaufanych ludzi? Dwóch? Trzech? Tylu wystarczy. Reszta będzie działać w dobrej wierze. Koń ma zszarganą hipotekę.

Gebels przyjrzał mu się uważnie.

– Pisz kryminały, Adam – poradził.

– Szkoda czasu. Teraz jest moda na pisanie o dobrych glinach, nie o złych. Pies z kulawą nogą by tego nie wydrukował.

– To się nazywa komercyjne podejście do własnej twórczości – powiedział Gebels z miłym uśmiechem.

W tej chwili w przedpokoju rozdzwonił się telefon i Gebels musiał pójść go odebrać, bo Ewa krzyknęła, że jest rozebrana.

„Komercyjne podejście do własnej twórczości!” – pomyślał Alis. Co mógł o tym wiedzieć prowincjonalny glina. Nie miał pojęcia o udręce, z jaka rodziły się kolejne zdania. Nie miał pojęcia o tematach troskliwie chowanych na później, na lata dobrobytu i stabilizacji, na lata przeczuwanej pełni sił twórczych. Nie miał pojęcia o bezsennych nocach wypełnionych marzeniami o sławie, o miejscu w Historii, o nocach wypełnionych strachem, bo miejsc w historii jest wiele i są one różne, a na każde pracuje się od pierwszej publicznej wypowiedzi. Nie miał o tym pojęcia i dlatego mógł oceniać innych, dlatego bez skrupułów mógł stawiać zarzuty.

„Gebels jest wielki i silny!” – pomyślał ironicznie. „Silny to on jest, ale tylko brakiem wyobraźni”.

– Dzwoniła Anka – powiedział Gebels stając w drzwiach. – Jest u Zosi. Zosi jeszcze nie ma, wpuściła ich niania Rafała. Są też Wanda i Rudy. Rudemu siniak wchodzi już na łysinę. Ale najważniejsze, że Koń działa dalej: był u matki Anki. Tak ją przestraszył, że stara jest bliska szaleństwa. Zmusiła Ankę, żeby zabrała syna. Zaczyna to wszystko wyglądać niezbyt miło.

– Więc jednak! – szepnął Alis.

– Co mówisz?

– Powiedziałem, że jednak Koń działa, że atakuje.

Gebels stęknął i z bezsilnej złości wałnął pięścią w futrynę.

– Już zaczynałem wierzyć, że Zosia ma rację, że ten cholerny drań naprawdę nam przebaczył! Ale teraz... – Bezradnie rozłożył ramiona. – Ma mnie w garści. Wystarczy jedno jego słowo i mogę się zegnać z robotą. Co robić? – zapytał. – Co robić, Adam?

Wielki i silny Gebels! Gebels pomoże! Gebels zaradzi!

– Już powiedziałem, co bym zrobił na twoim miejscu – rzekł Alis wstając.

– Wypchaj się! – Gebels ponownie wymierzył cios w futrynę. – Koń nie może znaleźć się na komendzie. Nikt w mojej fabryce nie powinien przypomnieć sobie o jego istnieniu.

– Jeszcze się przekonasz, że Konia trzeba będzie załatwić na amen, że to jedyne wyjście.

– Jadę do Zosi. A ty?

Alis zawahał się.

– Pokażę Krystynie kasyno i... i też przyjadę. Mam nadzieję, że wymyślicie coś beze mnie. Wołałbym nie mieć z tym nic wspólnego.

– Książę chciałby zachować czyste ręce! – sarknął Gebels. – Zafunduj sobie służbę do grzebania w gównach, bo tak czy owak się upaprzesz. Ten świat to jedno wielkie gówno.

– To banał, Jacek. Zawsze ci brakowało polotu. Kiedyś powtarzałeś po Koniu i Figacie. A teraz po kim?

Chłopak o wąskiej lisiej twarzy i chytrych oczach zrezygnował z gry. Marek zajął jego miejsce. Daniego miał więc z prawej strony, Salana z lewej, a naprzeciwko starszego Cygana. Kiedy przechylił nieco głowę, mógł dostrzec przycupniętą na brzegu kanapy Martę.

Nim zasiadł do gry, spróbował zgadnąć, czy Salan zdradził przed pozostałymi jego szulerskie umiejętności. Po krótkim namyśle doszedł do wniosku, że nie. Przez skórę czuł, że jego szulerka ma ścisły związek z pomysłem, który wykluwał się w czarnym łbie. Ta gra była rodzajem próby. Postanowił nie zawieść, zresztą chciał dać nauczkę Daniemu.

Od początku przyzwyczajał ich do tego, że tasuje karty bardzo starannie. Przy pierwszych dwóch rozdaniach wyglądali na zaniepokojonych – tylko Salan uśmiechał się kpiąco – więc Marek specjalnie niczego nie ułożył. Ponieważ pomiędzy jego rozdaniem były za każdym razem trzy rozdania partnerów, także jałowe i nieciekawe, więc poker był równie nudny i szmatławy jak poprzedni. Karta nie szła, pieniądze leniwie zmieniały właścicieli, przy czym szczęście dopisywało Daniemu: dwukrotnie zgarnął małe sumy od Marka. Straty były mizerne, ale mina Daniego i kilka mimochodem rzuconych uwag podbechtały Marka i przez moment miał ochotę puścić się na jakąś prymitywną sztuczkę, ale zrezygnował, bo w końcu była to próba jego umiejętności, a na dokładkę Dani zbyt uważnie patrzył mu na ręce. Za to od trzeciego rozdania zaczął systematycznie układać karete królewską dla Daniego i asową dla siebie. Był tak pewny siebie, że nawet nie chciało mu się fingować przełożenia, lecz czekał, aż Dani sam z tym trafi dokładnie.

Doczekał się przy piątym rozdaniu, akurat gdy bawiąc się kartami ułożył coś także dla starszego Cygana i dla Salana. Zaniepokoiło go to, bo chociaż dotychczas grał w miarę ostrożnie, to jednak stracił trochę pieniędzy i miał obawy, że gdy Salan, stary Cygan i Dani zaczną pompować stawkę, nie da rady wyrównać. Na szczęście jak zwykle ułożył tak, że właściwy efekt gracze osiągnęli dopiero po kupnie, więc nikt specjalnie nie forsował otwarcia i pula nie urosła zbyt wysoko.

Wszyscy kupowali po trzy. Rozdał karty szybko i w taki sposób, żeby gracze – mimo wyraźnego oznaczenia kart – nie zdołali zorientować się, co który ma.

Przyfilował ostrożnie. W porządku, kareta asów. Dani powinien mieć królewską. Nie pamiętał, co ułożył dla Salana i starszego Cygana, ale wiedział na pewno że nie poczęstował ich pokerami. Innymi słowy, jeżeli wystarczy mu pieniędzy na przebijanie, to z kareta asów musi wygrać.

Zagrywka była przy Salanie. Mógł zagrać z całości puli i zagrał. Stary Cygan przebił go umiarkowanie, ale Dani na trzeciej ręce przywalił z tak grubej rury, że pozostali aż spojrzeli na niego, zdziwieni.

Markowi właśnie o to chodziło: żeby Dani zapłacił najwięcej. Odczekał, aż chłopak wpłaci pieniądze do puli, wyrównał, a potem... Dotychczas trzymał karty ciasno zwinięte w dłoni, teraz uniósł je na wysokość twarzy i rozłożył w szeroki wachlarzyk, żeby każdy swobodnie mógł przyjrzeć się ich koszulkom. Salan przyjrzał się, odczytał widoczne na nich znaki, zachichotał i rzucił swoje karty. Stary Cygan poszedł za jego przykładem.

– Na taki wózek to ja jestem za cienki – powiedział Salan. – A tutaj masz całkiem niezły szmal – dodał, taksując wzrokiem pulę. – Prawie wszystko od Daniego.

– Przecież powiedziałem, że to on zapłaci na moją noc – rzekł Marek. Wyłożył karty i przyciągnął pulę.

Dani poszarzał, co przy śniadej cerze oznaczało zblednięcie. Dwie wielkie krople potu spływające po policzkach robiły wrażenie nienaturalnie dużych łez.

– To nie było uczciwe! – odezwał się głosem zduszonym od hamowanej wściekłości.

– O! Zarzucasz mi oszustwo? – Marek zdziwił się łagodnie. Jednocześnie sprężył się, skupił, zdwoił czujność; wiedział, że zbliża się właśnie ta okazja, dla której przepuścił dwie zbyt błahe zaczepki Daniego.

– Pokazałeś im karty! Dlatego nie weszli! – oświadczył Dani.

– Skądże! Niczego nie pokazywałem! – zaprzeczył Marek z przekonaniem.

– Ale rozwinąłeś je! O tak! – Dani ułożył swoje karty w wachlarzyk.

– Ach, więc te karty są znaczone? – Marek zdziwił się mocno. – Nie wiedziałem.

Sięgnął po talię bezładnie leżącą na stole, odwrócił ją koszulkami do góry i przyjrzał się markując uwagę.

– Faktycznie! – zawołał. Potem odrzucił kilka kart mówiąc przy każdej: – Ósemka, walet, dziewiątka, walet, dama. – W końcu spojrzął na Daniego. – Faktycznie są poznaczone. Teraz pytanie: kto tu jest oszustem.

Salan wybuchnął śmiechem, zachichotał również stary Cygan, przyłączył się do nich chłopak o lisiej twarzy.

Dani rzucił karty, wsadził dłoni pod stół, wstał i odskoczył; w jego dłoni szczęknął duży sprężynowy kozik, a krzesło z trzaskiem runęło na podłogę. Chwile później runęły dwa następne krzesła, Marka i Salana.

Marek poderwał się, ale nie wystartował natychmiast, chociaż od pierwszej chwili wiedział, że ma przed sobą okazję, na którą czekał; nóż w ręku Daniego dawał mu nieograniczoną swobodę działania. Zawahał się, chociaż podczas walki zawsze był bardzo zdecydowany i od pierwszego uderzenia konsekwentnie dążył do fizycznego zniszczenia przeciwnika, co przy jego szybkości, wzroście, wadze i niemal stuprocentowej celności ciosu dawało mu ogromną przewagę nad każdym. Tym razem zawahał się, bo kątem oka zobaczył Salana przeskakującego stół. Nie myślał; żadna myśl nie nadążyłaby za błyskawicznie rozwijającą się akcją; w podświadomości, chyba specjalnie stworzonej do kierowania walką, rozstrzygnął, że Salan jest sprzymierzeńcem. Potem skoczył. Ale ten ułamek sekundy wystarczył Salanowi: dopadł Daniego. A Dani zbaraniał. Nie stawiał oporu, widocznie innego spodziewał się przeciwnika. Wykopnięty nóż poleciał gdzieś pod ścianę, a Dani po pierwszym trafieniu runął jak kłoda. Salan skoczył mu kolanami na klatkę piersiową i dokończył dzieła bijąc kilka ostrych ciosów w poddającą się bezwładnie głowę.

Marek, zatrzymany w biegu, bezradnie tkwił pośrodku pokoju. Panowała cisza, w której wyraźnie dał się słyszeć dziwaczny, szmerzący dźwięk. Rozejrzał się. Wszyscy – nie wyłączając Marty i przytulonych dziewcząt – oddychali ciężko i szybko, jak po długim wyczerpującym biegu. Uderzenie adrenaliny, mocne jak zastrzyk, robiło swoje.

Czuł się głupio. Wciąż był spięty, podniecony. I jednocześnie myślał, że dotychczas nikt nigdy nie musiał go wyřęcać. Cofnął się. Kątem oka dostrzegł Martę podnoszącą jego krzesło.

Okazja, kurwa mać! Tak na nią czekał! Przetrzymał dwie błahe zaczepki, żeby teraz...!

Chciał okazać swoje niezadowolenie przynajmniej Salanowi, ale ten, jak na złość, wciąż kłęczał

na piersiach Daniego i – pochylając się i szarpiąc go za koszulkę – mówił coś szybko w niezrozumiałym języku.

– Usiądź – usłyszał głos Marty. Chwilę później poczuł jej dłonie na ramionach popychające go w kierunku krzesła.

Usiadł. Ale nie puścił jej od siebie.

– Co mówi Salan? – zapytał.

Zawahała się, uciekła z oczami. Jednocześnie stanęła tak, że zasłoniła Salana i Daniego.

– Co mówi Salan? – powtórzył.

Tym razem jej zdecydowana mina świadczyła o całkowitej niewiedzy.

Do czego zmierzała? Chroniła Daniego? W jakiś sposób na pewno tak; nawet teraz, leżąc pod gadającym Salanem, Dani był stosunkowo bezpieczny.

„Dani? Czy ja?”

Nagle otrzeźwiał. Znał to uczucie chłodnego spokoju, gdy czerwone opary wściekłości ustępowały z mózgu. O kogo bała się Marta? O kogo bał się Salan, kiedy na siebie brał ciężar walki? To nieważne, że był gospodarzem mieszkania; dziewięć lat temu podobna interwencja nawet przez myśl by mu nie przeszła! Czyżby ten cały Dani był aż tak groźny?

Tymczasem Salan zakończył monolog i wstał. Spojrzał na Marka, uśmiechnął się i mrugnął porozumiewawczo. Wyglądał na zadowolonego. Czyżby wyskok Daniego był mu na rękę?

Marta cofnęła się i usiadła na kanapie. Dani dosyć żwawo zebrał się z podłogi. Ale głowę miał spuszczoną i ruszył w stronę drzwi.

– Zaraz! – powiedział Marek. – On dokąd?

– Do domu – odrzekł Salan z uśmiechem. – Widocznie znudziło mu się nasze towarzystwo.

– A rewanż? Przecież powinien mieć szansę na rewanż.

– Wspaniałomyślny jesteś! – powiedział Salan z szyderczą powagą, jakby mówił: „Mało ci? Masz zamiar oskubać go na więcej?” – Nic z tego. On nie chce rewanżu.

– No to niech zabiera swoją forszę!

Salan niedbale machnął ręką.

– Schowaj te parę groszy. On nie zbiednieje, ty się nie wzbogacisz. Przecież wygrałeś uczciwie.

Nie szydził. Mówił szczerze. I mówił prawdę. Bo oszust wśród oszustów nie jest oszustem, a tylko partnerem. Obowiązuje zwykła sportowa zasada: wygrywa lepszy.

Dani cicho znikł za drzwiami. Salan obszedł stół dookoła, podniósł krzesło i zajął swoje miejsce. Gdyby nie brak Daniego, można by pomyśleć, że nic się nie stało. Pokój wyglądał jak dawniej, tylko gdzieś pod ścianą leżał zapomniany nóż. Marek bezskutecznie usiłował go wypatrzeć.

– Napiłbym się – powiedział. – Tak dla relaksu.

– Dziewczyny! Dawać szkło! – rozkazał Salan. – I nową talię.

Dani wyszedł. Nie miał wyboru, musiał wyjść, bo Salan wyraźnie powiedział: „Wynoś się! Inaczej nigdy nie dam ci Kini!” Więc wyszedł. A tamten został. I Kini. Razem. Razem! Miał wrażenie, że osobiście położył ich do łóżka, choć wiedział, że jeszcze się to nie stało. *J e s z c z e n i e !* właśnie! Przecież to nie ważne, kiedy się położą, ważne, że się położą. A tego był pewny. Bo Salan... Bo tamten... Bo sama Kini wreszcie!

Musiał wyjść, ale nie odszedł daleko, zatrzymał się w bramie. Nie mógł odejść. Roilo mu się, że jeśli będzie w pobliżu, to Salan zawaha się, zawstydzi... To Kini poczuje jego obecność i nie dopuści do najgorszego... To tamten nie będzie mógł...

Nawet nie próbował dociekać, co kierowało Salanem, że wybrał tamtego, że zdecydował się podłożyć mu Kini: Salan był przecież głową rodziny, prawie królem – i wszystkie jego decyzje były święte. Nawet nie próbował dociekać, czy Kini ulegnie tamtemu: wiedział, że posłucha rozkazu brata będącego przecież głową rodziny, prawie królem. Zresztą na własne oczy widział, jak przytulała się do tamtego. Widział to. Na pewno!

Musiał odejść stąd, z tej bramy, bo wiedział, że Salan niedługo pojedzie do kasyna i przy okazji będzie mógł go zobaczyć, a przecież wciąż dźwięczały mu w uszach jego słowa: „Znikaj! Żebyś mi się do poniedziałku nie nawinał na oczy. Jak cię chociaż raz zobaczę, to nigdy Kini nie dostaniesz!” Musiał odejść, musiał zniknąć, bo tak chciał Salan, chociaż pragnął poczekać na jego odjazd i po-

gadać z Kini, zagrozić, przestraszyć, błagać, ale czuł, że Kini powiedziałyby o tym bratu, a wtedy... Musiał stąd odejść, musiał zniknąć, bo tak chciał Salan.

I ruszył nawet w stronę ulicy, ale zatrzymał się, bo nie miał dokąd pójść, a wtedy do bramy wszedł ktoś cicho i Dani mimo ciemności od razu poznał Bronka, poznał po ciężkiej zwalistej postaci i po charakterystycznym smrodzie zakisłego potu, który z niezwykłą siłą uderzył w nozdrza. Poznał, ale jakoś nie zauważył, nawet nie odpowiedział na mrukliwe powitanie, chociaż zawsze starał się jak mógł w obecności Bronka, bo czuł silny instynktowny lęk przed tym ponurym zwierzęciem. Dopiero gdy Bronk zatrzymał się obok i gęsta fala intensywnego smrodu zatamowała mu oddech, pomyślał odruchowo o Pecie, bo Pet – mały ruchliwy człowieczek o bystrym i złośliwym umyśle – zawsze towarzyszył Bronkowi, jak ten charakterystyczny smród. Okazało się, że Pet także jest już w bramie.

– Słyszałem, że Koń wrócił, trza by co wychlać na to konto, jak myślisz, Cygan? – zagadał Pet szybko i wtedy jakaś klapka otworzyła się w mózgu Daniego. Koń był jedynym człowiekiem, któremu Bronk uległ w solowej walce, a tego Bronk nie potrafił zapomnieć – i nienawidził Konia po swojemu, straszliwie, ślepo, zwierzęco. Bo Bronk głęboko wierzył, że to on trzęsie Przrzeczem, choć nigdy tak nie było, gdyż Bronk – wychowany na knajackich legendach – dorósł zbyt późno, w czasach, kiedy najważniejsze problemy nie mogły być już rozstrzygane ciężką pięścią byle oprycha z Krzywego Rogu, w czasach, gdy decydował pieniądz i układy. Bronk przydawał się jednak od czasu do czasu – i właśnie dlatego istniał przy nim Pet; przekazywał rozkazy właściwych władców Przrzecza i dbał o ich dokładne i szybkie wykonanie. Dbał też o to, żeby jemu i Bronkowi nigdy nie zabrakło wódki. Raczej dobrze dbał.

– Co, Cygan? Wypijemy? – powtórzył.

Oczywiste było, że wypiją. Odmowa nie wchodziła w rachubę, brak pieniędzy nie był żadnym usprawiedliwieniem. Po prostu spotykając niedopitego Bronka należało mieć pieniądze. Ewentualnie dojście do wódki.

– Możemy wypić – powiedział Dani. Nagle jasno uświadomił sobie, że jego problem najłatwiej będzie rozwiązać przy pomocy pięści. A także noża, na przykład.

– A Koń? – mruknął Bronk pytająco. – Wrócił?

– Wrócił.

– Gdzie jest?

To dopytywanie się, jak na Bronka, brzmiało wręcz miłośnie.

– Nie wiem... – Dani zawahał się. Imię Salana na pewno nie powstrzymałoby Bronka, a z kolei Salan nie ścierpiałby, żeby taki Bronk wdzierał mu się do mieszkania, i to z winy Daniego. Zresztą Bronk w pojedynkę nie dawał gwarancji, że załatwi Konia: w końcu już raz z nim przegrał.

– Nie wiesz? – zapytał Bronk.

– Nie.

– To dawaj forszę i spadaj, Cygan.

– Ale wiem, gdzie jutro będzie! – zapewnił Dani pospiesznie.

– Gdzie? – mruknął Bronk.

– Wskażę.

– Dobra – przystał Pet. – To teraz chodźmy się napić.

– Chodźmy – zgodził się Dani. – Chodźmy do Ryśka – dodał. Wiedział, że tam zawsze można spotkać ludzi, którzy gotowi są na wiele, żeby zarobić butelkę gorzałki. A Bronk, niestety, potrzebował wsparcia.

Black & White, niskie szklaneczki o grubym dnie, nie rozpieczętowana talia piatników.

Salan obserwował go spod oka, niby to obojętny, niedbale uśmiechnięty, więc Marek nie pokazał po sobie zaskoczenia. Najpierw pomyślał, że to na jego cześć ta gala, ale szybko zmienił zdanie. Stary Cygan sięgnął po butelkę tak, jakby co dzień to robił, chlapanął whisky do szklaneczki, dorzucił lodu i zakofyłał szklaneczką z lubością wsłuchując się w cichutkie podzwanianie. Chłopak o lisiej twarzy nie przyglądając się piatnikom zdarł z nich opakowanie, odrzucił blotki do szóstek włącznie i przetasował. W jego ruchach była obojętność i przyzwyczajenie do świetnych kart.

Salan przyjrzał się Markowi, po czym przeniósł wzrok na pozostałych partnerów.

– Wypij – powiedział do starego Cygana. – A ty zostaw karty – rzekł do chłopaka. – Właściwie nie ma już czasu na porządną grę. Idźcie sprawdzić, czy samochód gotowy.

Starszy Cygan wypił whisky, chłopak odłożył karty. Obaj wstali i wyszli bez słowa. Salan wzrokiem zmierzył odległość od kanapy, na której znów siedziały przytulone dziewczyny i Marta, kiwnął zadowolony głową i zajął się butelką. Nalał whisky do dwóch szklanek, pytająco spojrzął na Marka.

– Lodu?

– Tak.

– Właściwie mógłbyś coś ułożyć – powiedział podsuwając Markowi szklaneczkę. – Chyba nie wyszedłeś z wprawy, co? Na pewno nie. Ta karetka asów z nieba ci nie spadła.

– Ano nie spadła – rzekł Marek i sięgnął po talię. Tym razem tasował krótko i mało starannie; chciał pokazać, że naprawdę nie wyszedł z wprawy. – Na cztery kupki?

Salan kiwnął głową. Sączył whisky i z uwagą obserwował ręce Marka.

– Dwa wózki, ful i trójka – skonstatował, gdy odkryli karty. – Ale to było bez przełożenia.

– W porządku, możesz przekładać.

Ponieważ Salan wciąż bardzo uważnie patrzył mu na ręce, Marek nie chciał wypuścić się na szufladę i musiał wyczuć, ile Salan popchnie kart. Kilkakrotnie pudłował.

Wreszcie Salan zniecierpliwił się.

– Co jest? – zapytał przyglądając mu się z niepokojem.

Marek wzruszył ramionami.

– Nic, normalna. Przecież wiesz, że poker to zawsze kwestia tylko jednej dobrej rozgrywki, jednego wspaniałego spotkania – powiedział. – Może nie wychodzić przez pół nocy, ale jak raz wyjdzie, to rozwalam bank w drebieżgi.

No i wyszło.

– Trochę to naciągane, poker, dwa wózki i ful – powiedział Salan. – Spotkanie, jakie się nie zdarza. Ale masz rację, przy takim spotkaniu gracze wyleżą ze skóry. Ten, który wygra, zgarnie piękny bank.

– Ja wygram.

– A mnie właśnie o to chodzi.

Marek uniósł szklaneczkę i pociągnął odrobinę cierpkiego, chłodnego płynu. Przyglądał się rozrzuconym na stole kartom. Czekał. Czuł na sobie wzrok Salana.

– Miałbym dla ciebie propozycję, Koniu – usłyszał.

– Tak? – Powoli podniósł głowę. Jeszcze chwilę błędził wzrokiem po stole, później spojrzął w uparte czarne oczy Cygana.

– Tak! – Salan uśmiechnął się nieznacznie: najwyraźniej bawiła go ta gra we wzajemne licytowanie obojętności. – Chciałbym, żebyś zagrał. Bardzo wysoko. O cały wolny szmal, jakim dysponuję.

Był szczery i poważny.

Marek dopił whisky i odstawił szklaneczkę.

– Nie jestem przygotowany – powiedział.

– Przecież wprawy ci nie brakuje.

– Psychicznie. Do dużej gry trzeba się odpowiednio nastroić.

– Grałbyś dopiero jutro.

– Już jutro.

Salan pokiwał głową.

– Podbijasz cenę, co?

– I to także. – Marek też chciał być szczery: jeżeli gra miała się toczyć o cały szmal Salana... – Musiałbym znać trochę szczegółów. Nie można tak z marszu usiąść do wielkiej gry. Cudzą forsa.

– Pytaj! – Salan zatoczył ręką koło: zaznaczał, że nie ma tajemnic. Potem nalał whisky, dosypał lodu.

– Co będzie, jak przegram?

– Nic nie będzie.

Teraz Marek pokiwał głową. Chwilę obracał w palcach szklaneczkę.

- Wolałbym szczerłość.
- Mam cię straszyć kosą?

Marek uśmiechnął się.

- Jak przegrasz, wciąż zostaniesz tym, kim jesteś, czyli nikim – powiedział Salan. To rzeczywiście było szczerze. Aż do bólu.

Marek znów się uśmiechnął, choć teraz przyszło mu to trudniej.

- Z kim będę grał?
- Znasz Dunina?
- Znam.
- Mokrzyckiego?
- Znam – powiedział obojętnie.

Salan uśmiechnął się z uznaniem.

- Będzie jeszcze Wilson, Anglik, który kilka lat temu ożenił się z Jezierską i przyjeżdża tu co lato na wakacje...
- Z Baską Jezierską?
- Przecież nie z jej matką! Gra idzie na zielone, jest ostra, stawki ustala się za każdym razem od nowa, nigdy jednak nie mniej niż dziesięć dolców, bez ograniczeń w przebijaniu. Najsilniejszy jest Mokrzycki, sam chyba nie wie dokładnie, ile ma szmalu, potem Wilson, a Dunin i ja mniej więcej na tym samym poziomie. Aha, pewnie nie wiesz, że Dunin jest mężem Anki...
- Wiem. Ewka zdążyła mi powiedzieć...
- W porządku. Czasami gracze wymieniają się, jest parę osób w naszej dziurze, które stać na wysoką grę. Można przyprowadzać obcych, to zawsze jakaś atrakcja, wtedy reszta stara się obcych oskubać i gra staje się ciekawsza, ostrzejsza, bo między stałymi graczami panuje swoista równowaga, jak to w zamkniętych kółkach: dziś wygra ten, jutro drugi, i tak bez końca. Ty mógłbyś być takim obcym. Forsiastym obcym.
- Ile masz szmalu?
- Trzysta kawałków – odpowiedział Salan bez wahania.

Marek opanował się, a miał ochotę gwizdnąć.

- Zielonych? – zapytał po chwili.
- Tak. W razie jakiejś wpadki mogę natychmiast zorganizować z dwadzieścia, ale nie więcej.
- Trzysta kawałków to kupa szmalu.
- Chcę to potroić! – powiedział Salan gwałtownie. I dodał spokojniej: – Przynajmniej potroić.

Na początek.

- Dlaczego?

Roześmiał się drwiąco.

- Jestem Polakiem w trzecim pokoleniu. Skończyłem najlepsze liceum w tym mieście. Mówię po polsku lepiej od wielu z was. Ale dla was wciąż jestem tylko Cyganem. Nie Romem nawet, ale Cyganem. Złodziejem i oszustem. Wariatem. Miała rację moja matka, kiedy twierdziła, że skóry nie dam rady zmienić. Gdy zgarnąłem szmal ojca, myślałem, że wkupię się w to miasto, że będę kimś. Stary miał wolne pięćdziesiąt kawałków, ja przez dwa lata dodałem resztę. Trzysta – to dużo, na każdą inną dziurę starczyłoby z nawiązką. Ale tutaj jest Mokrzycki. Żeby kupić ten zakichany grajdoł, jego muszę przebić forsa. Najpierw wielka forsa, a potem tworzenie układów.
- Mokrzycki ma dwóch braci w administracji. Tego nie kupisz.
- Ich kupię. Tylko najpierw muszę mieć forszę. Pomożesz mi?

Marek wypił whisky i odstawił szklaneczkę.

Ambicje. Czy koniecznie trzeba być kimś? Przecież większość ludzi i tak jest skazana na anonimowość. Właśnie: skazana. Każdy broni się przed tym wyrokiem jak umie i może. Najpierw forsa jako cel sam w sobie, potem jako środek prowadzący do celu. A może odwrotnie?

Dlaczego ty wróciłeś? Dlaczego co kilka miesięcy zmieniałeś klimat? Bo zawsze i wszędzie byłeś tylko jedną z cząstek anonimowego tłumu. I nie zanosilo się na żadną zmianę. Tutaj, w ciągu niespełna dwóch lat dorosłej młodości, stałeś się kimś. Co prawda nie o takiej karierze marzyłeś,

ale... Dzisiaj, ledwo postawiłeś nogę na bruku miasta, znów jesteś kimś. Tamtym, dawnym. Czy po to wróciłeś?

A Salan? Zagrać dla niego? Być tym, który da królestwo Cezarowi? Cóż to za Cezar, którego trzeba wyręczać? Jedno jest pewne: Mokrzycki to zły król. Król, który się jemu, Markowi Jasionowskiemu, Koniowi, naraził. A on, Marek Jasionowski, Koń, ma okazję wystąpić w roli kata.

Spojrzał w stronę kanapy i napotkał wzrok Marty. Dziewczyna wpatrywała się w niego długo, bez mrugnięcia, z napięciem, jakby wiedziała, o czym rozmawiają z Salanem.

Uśmiechnął się odruchowo, gdy napięcie w jej twarzy zelżało, gdy na drobnych ustach pojawił się ciepły i odrobinę zaczepny uśmiešek.

– Pomożesz mi?

Spojrzał na Salana. Natychmiast zorientował się, że ten widział wymianę spojrzeń między nim a dziewczyną i wyciągnął z tej obserwacji wnioski na pewno zbyt daleko idące.

– Trudno mi tak od razu...

– Chwileczkę! – Salan pojednawczo uniósł dłoń. Potem nalał whisky do szklaneczek, wrzucił po dwie kostki lodu. – Nie wymagam, żebyś decydował się już teraz. Masz czas do jutra, rozważ wszystkie za i przeciw...

– Nie potrafię ogarnąć wszystkich za i przeciw – powiedział Marek szczerze. – Gdzie będzie ta gra?

– W „Hill–Topie”. To prywatny lokal pod miastem, a w rzeczywistości kasyno, nielegalne, bo to ma swój smaczek dla niektórych ludzi. Należy do Mokrzyckiego. Właśnie tam jadę. Mógłbyś się ze mną wybrać i obejrzeć wszystko na miejscu. Dzisiaj też grają, małe oczko i pokerek dla drobniejszych szczipaczków z naszego grajdołka. Mógłbyś potrenować. Na mój koszt, oczywiście. Zdaje się, że Mokrzycki też tam będzie.

Marek zmarszczył brwi.

– Mokrzycki skojarzy moje nazwisko z Zosią.

– I co z tego. Ja cię wprowadzę, no i będziesz miał przepustkę w postaci szmalu. Przecież mógłś wrócić w rodzinne strony dziany jak maharadża.

– Nie tylko ty wiesz o mojej smykałce do kart. Wystarczy, że jakiś skurwiel szepnie słówko Mokrzyckiemu...

– Nie uwierzy. A jeśli uwierzy, to będzie chciał sprawdzić. Zbyt dobrze gra, żeby nie zaryzykował.

Marek zamilkł. Wiedział, że Salan zbije każdy jego argument. Zresztą wysuwał wątpliwości chyba tylko po to, żeby zostać przekonany. Pomyślał o Zosi i o jej układach z Mokrzyckim, o Wandzie i o jej układach z Rudym. pomyślał, że tak czy owak będzie musiał zająć jakieś stanowisko, że być może presja ludzi zmusi go nawet do konkretnych czynów. A wtedy Mokrzycki, osłabiony o parę zielonych, będzie łatwiejszym przeciwnikiem. No i wygrany Salan jako sprzymierzeniec zapewni mu dojście do układów, a nawet więcej: do tworzenia ich.

Tak, ze zgody na grę płynęły same korzyści. Pomyślał o Marcie i zerknął na nią.

Nie bez znaczenia był również fakt, że jeszcze nigdy nie grał aż tak wysoko.

– Wypijmy! – Salan uniósł szklaneczkę. – Twoje zdrowie.

Wypili.

– Przed podjęciem decyzji musiałbym wiedzieć, co ja będę z tego miał – powiedział odrobinę zduszonym głosem. Zbyt łąpczywie dorwał się do whisky i połknął ledwie rozpuszczone kostki lodu. Teraz czuł dwie uwierające zimne grudki powoli wędrujące przełykiem.

– Procent od wygranej.

– Jaki?

– Powiedzmy piętnasty. Naturalnie moją przyjaźń. I wsparcie we wszystkich poczynaniach. A także premię, może być w naturze – powiedział Salan i wskazał kanapę. Gestem tym objął również Martę. Czy świadomie?

A jak myślisz, idioto, dlaczego on pogonił stąd Daniego?

– Należ... – podsunął szklanekę. – A jeśli chodzi o premię... Wiesz, wolałbym ją w formie zaliczki.

Salan uśmiechnął się pod nosem i sięgnął po butelkę.

– Zaliczka zobowiązuje.

– Wiem o tym.

– W porządku. Przyślę ci ją dzisiaj w nocy.

„Którą?” – chciał zapytać. Ale przecież wszystko było aż nazbyt jasne.

Lokal „Hill-Top” mieścił się w dużej piętrowej willi. Na parterze i w podziemiach była restauracja z dancinikiem, na piętrze kasyno.

– Bawcie się dobrze – powiedział Salan do starszego Cygana i chłopaka o lisiej twarzy, gdy ci ruszali do restauracji. – Tylko nie przeholujcie z gorzałką. Jak zwykle Baśka wam powie, kiedy będziecie potrzebni.

Chłopak był kierowcą, dobrym kierowcą; mercedesa klasy S prowadził dosłownie jednym palcem, choć to akurat nie wymagało szczególnych umiejętności, bo taki wózek prawie sam się prowadził.

A stary Cygan? Kim on był?

Niewielki neon zawieszony nad bocznym wejściem mrugał zachęcająco. Salan i Marek poszli tam. Znaleźli się w graniastym saloniku, z którego kilkoro drzwi prowadziło do różnych części domu. Pod ścianą stał niski stolik, kanapa i dwa fotele obite ciemną skórą. Za stolikiem siedziała chuda kobieta o nerwowej twarzy, ubrana w długą srebrzystą suknię bez rękawów. Salan przedstawił jej Marka z imienia i nazwiska, odczekał, aż zapisała jego personalia a małym notesiku, po czym wymienił tysiąc pięćset dolarów na kilkanaście białych, czarnych i czerwonych guzików. Teraz, sortując guziki, kiwnął na Marka i ruszył w stronę pierwszych z lewej drzwi.

– Po co ta cała literatura? – zapytał Marek cicho, ruchem głowy wskazując kobietę. – Szkoda że zdjęcia nie zrobili!

– Spokojnie, to tylko na dzisiaj wieczór. Jak okażesz się nerwowy i narozrabiasz, będą wiedzieli, do kogo zgłaszać pretensje – powiedział Salan. Wyciągnął rękę z garstką guzików. – To na rozkurz – dodał. – Zagraj, potrenuj. Powinieneś to przegrać. Żeby jutro poczuli się pewniejsi.

Marek zacisnął palce na guzikach.

– Ile tego jest?

– Pięćset. Dwieście po dziesięć i dwadzieścia i trzysta po sto. Teoretycznie dzisiaj najmniejszą stawką jest dolar, ale tego nikt nie wymienia i nie stawia niżej pięciu. Zapamiętaj: dziesiątki są białe, dwudziestki czerwone, a setki czarne. Gdyby ci wydali niebieski, to będzie piątka, a różowy – jedynka.

Marek skrzywił się.

– Wolę grać na prawdziwe pieniądze. Gdy rzucam żeton, nie czuję jego wartości. Kiedy wymieniają na forszę?

Salan wzruszył ramionami.

– Kiedy tylko chcesz. Jutro, jeśli się zdecydujesz, zagrasz na prawdziwe pieniądze; nikt nie bawiłby się w wymianę sum, jakie tu chodzą w soboty. Dzisiaj robią trochę Ameryki. Jutro nie będzie tych bajerów.

– Jeśli się zdecyduję...

Salan kiwnął głową.

– Jeśli się zdecydujesz – powtórzył i pchnął drzwi.

Weszli na piętro.

W dwóch wielkich pokojach położonych w amfiladzie było mroczno i trochę duszno; zasłony szczelnie zaciągnięte na okna nie dopuszczały światła ani powietrza. Kilka ciężkich lamp zawieszonych na długich i spiralnie skręconych sznurach zwisało nad stołami do gry. Z gęstego mroku zalegającego wzdłuż ścian wynurzały się fragmenty tonących w nadmiarze zdobień mebli, przysadzistych kredensów błyskających kryształowymi szybami, wąskich kanap ze sztywnymi złożonymi oparciami. Całość sprawiała wrażenie trochę przerysowanej dekoracji do gangsterskiego filmu z lat trzydziestych.

W pierwszym pokoju przy jednym z dwóch owalnych stołów cztery osoby grały w black jacka, kilka kibicowało. W drugim pokoju były trzy mniejsze, prostokątne stoliki. Odległość i półmrok

zacierają sylwetki i ruchy graczy, ale nietrudno było się domyślić, że tam dominuje poker.

Salan skrzywił się.

– W piątek zawsze pełno obcych – powiedział. – Stawki małe, to złazi się różna hołota. Oczko! To dobre dla małych dzieci. Poczekaj, zobaczysz jutro. Jeden, najwyżej dwa stoliki. I tylko poker.

– Jeśli się zdecyduję.

– Jasne! – Salan błysnął zębami w uśmiechu. Potem obrzucił pokój uważnym, myszkującym po kątach spojrzeniem. I ponownie skrzywił się. – Nikogo ciekawego. Sama hołota.

– Zagrałbym – powiedział Marek niepewnie.

– Zagraj. A ja rozejrzę się dalej. Może jest ktoś, kto powinien zobaczyć, jak przegrywasz te pięćset.

Marek zbliżył się do owalnego stołu, przy którym z sześciu krzeseł dwa były wolne. Lubił grać w oczko, a właściwie w black jacka, gdy kto inny trzymał bank, bo wtedy nie oszukiwał ani niczego nie układał, a jego wyższość nad innymi graczami polegała jedynie na osobliwej zdolności do wybiórczej maksymalnej koncentracji: potrafił zapamiętać rozkład dużej liczby kolejno ukazujących się kart – w tym konkretnym przypadku trzech połączonych pełnych talii. Potrafił też pod koniec rozgrywki odgadnąć, jakie jeszcze karty zostały i z dużym prawdopodobieństwem przewidzieć ich rozstawienie; to wtedy atakował najostrzej i wtedy wygrywał najwięcej.

Zawsze miał trochę trudności na początku rozgrywki, zaraz po tasowaniu, ale wtedy mógł spasać lub zagrać nisko, bezpiecznie.

Dużym ułatwieniem w black jacku był fakt, że wszystkie figury liczono za dziesięć punktów, ale to ułatwienie działało również na korzyść bankiera, choć w tym przypadku nie miało to szczególnego znaczenia, bo przy stoliku grano na sposób polski, siermiężny: bankierem był jeden z graczy, a nie krupier pracujący dla kasyna.

Marek zatrzymał się obok metalowej popielniczki na wysokiej nóżce, zapalił papierosa, wsparł się na wolnym krześle – i zaczął śledzić grę. Po kilku minutach, akurat gdy kończył palić, miał już wszystkie potrzebne informacje. Wiedział, że karty nie są poznaczone, przynajmniej nie w sposób widoczny. Wiedział, że rozdający niezbyt przykłada się do tasowania, skutkiem czego rozkład kart ulega małym zmianom. Wiedział również, że aktualny bankier boi się furi i preferuje grę niską, ale za to pewną. Nie wiedział jednego: czy ma dzisiaj szczęście. To musiał sprawdzić w działaniu.

Zgasił papierosa i zajął miejsce przy stole za siwowłosą korpulentną panią, która właśnie kupowała karty.

– Fura – powiedziała po dobraniu czwartej.

„Dziesiątka trefl” – pomyślał. „Po niej powinna iść dziesiątka i as. Jeżeli teraz pójdzie dycha, to as będzie przedzielony, bankier ściągnie przedzielającą kartę i as przyjdzie do mnie. Tak?”

Wysypał guziki na stół obok lewego łokcia, podniósł oczy i napotkał pytające spojrzenie bankiera. Skinął głową.

– Dwieście dwadzieścia w banku – usłyszał i złapał kartę ciśniętą w poprzek stołu płynnym okrągłym ruchem.

Dziesiątka karo, synu. Teraz jedna, ta przedzielająca, dla bankiera. Za nią powinien iść as pik. Więc co? Bank? A jeśli asa wzięł bankier? To wtedy dostanie ci się siódemka i z tym będziesz musiał zostać, bo dalej idzie kolejna dycha. Jak tam twoje szczęście dzisiaj?

– Sto – powiedział.

Kibice zaszemrali za jego plecami, gracze unieśli głowy. Czyżby zagrał zbyt wysoko jak na pierwszy raz?

Wziął drugą kartę. As pik.

– Dwadzieścia jeden – powiedział. Odebrał jeden czarny żeton. Miał więc teraz sześćset dolarów.

Znów cichy szmer przeleciał między kibicami, więc kolejny gracz ośmielony jego powodzeniem również zagrał sto. I wpłacił. Następny był ostrożniejszy, zagrał pięćdziesiąt. I też wpłacił. A Marek uważnie śledził wykrywane karty, bo już wiedział, że zaczną nową rozgrywkę bez tasowania talii, co było praktykowane przez tego bankiera, choć sprzeciwiało się regułom. Ale graczy było tylko troje, a kart tak dużo...

Korpulentna siwowłosa pani zagrała dziesięć i też wpłaciła: znów miała furę. Marek aż odwrócił oczy, gdy pociągnęła przy osiemnastu i dokupiła szóstkę.

„Po szóstce idzie dwójka” – pomyślał, – „za nią dziewiątka dla bankiera, dalej czwórka, siódemka i ósemka dla mnie. I powinien być koniec talii. Ale nie jest. Bo tam na pewno zostało jeszcze sześć kart, czyli jednej nie znam. I ona wcale nie musi być na końcu, może siedzieć w dowolnym miejscu. Jak się czuje twoje szczęście dzisiaj, synu?”

Podniósł kartę rzuconą przez bankiera. Dwójka pik.

– Dwieście osiemdziesiąt w banku.

Ktoś odsunął jednego z kibiców i stanął tuż za jego plecami. Marek spojrział. I uśmiechnął się do Salana. Najpierw pomyślał o Marcie, ścielącej w tej chwili łóżka, tak jak to przykazał Salan przed wyjściem. Potem pomyślał, że może spokojnie przegrać tę rączkę, bo po to właśnie dostał pieniądze. Ale nie chciał przegrać: zawsze grał tak, żeby wygrać.

– Bank! – powiedział.

Tym razem szum wśród kibiców był głośniejszy i trwał dłużej. Ucichł nagle, gdy Marek podniósł drugą kartę. Czwórka kier. A więc bankier ściągnął dziesiątkę. Teraz powinna iść siódemka, a za nią ósemka.

– Jeszcze! – zażądał.

Trzecia karta. Siódemka karo.

– Jeszcze!

Czwarta karta. Ósemka pik.

– Oczko – powiedział i uśmiechnął się współczująco do bankiera. Poczul ulgę, gdy zgarniał żetony: więc jednak był spięty. Nic dziwnego zresztą, w końcu sprawdzał tą grą swoje szczęście dzisiaj.

Kibice brzęczeli za jego plecami, gracze przyglądali się ciekawie, a nawet z pewnym niedowierzaniem. Czyżby w tym cholernym grajdołku po raz pierwszy zgarnięto pulę na dwieście osiemdziesiąt dolców?

– Zwiń to i chodź! – poprzez brzęczenie kibiców usłyszał szept Salana. – Sam Mokrzycki raczył się dzisiaj zjawić. Warto, żebyś z nim zagrał. I – zmiana planów, Koniu – wygraj z nim, jeśli możesz.

Niania nas wpuściła – powiedziała Anka. – Pozwoliłam jej iść do domu. Położyłam Marka spać razem z Rafałem. Nie wiem, jak to długo potrwa, rozumiesz...

– Najlepiej będzie, jak zanocujesz u mnie. Po co masz dzieciaka zrywać w środku nocy. – Zosia rozejrzała się po pokoju. Wanda, Rudy, Gebels. No i Anka. Prawie komplet, brak tylko Alisa. Tego, że przyjadą wcześniej, nie wzięła pod uwagę; mimo woli stworzyła im okazję do spotkania się poza jej plecami. Na szczęście jednak nie wyglądali na zbratanych, nie wyglądali tak, jakby swoim wejściem przeszkodziła im w poufnej rozmowie.

– Musiałam zabrać Marka. Koń był u mojej matki. Stara wpadła w histerię, wiesz... – usprawiedliwiała się Anka.

Zosia spojrziała na nią szybko.

– Marek był u twojej matki? – zapytała zdziwiona. – Po co?

– Maca tu i tam, próbuje, gdzie najłatwiej ugryźć! – syknął Rudy wysuwając twarz spoza chusteczki pokrytej brunatnymi plamami. Siedział w fotelu pod oknem, w wolnej dłoni ścisnął kieliszek z koniakiem. Obok, w identycznym fotelu, siedziała Wanda.

Do pokoju wkroczył Figat. Nie wypił dziś dużo, ale zarośnięty, w brudnej koszuli i złachanych dżinsach, wyglądał na zalanego.

– No! Prawie komplet! – zawołał. – Brak tylko Alisa!

– Wciąż pijesz, Figat – stwierdził Gebels. Siedział na szerokiej wygodnej kanapie ustawionej pod ścianą, w której były drzwi. Też trzymał jakiegoś drinka.

Figat powoli odwrócił się ku niemu.

– A, Gebels! – rzekł z akcentem uznania. – Najdzielniejszy gliniarz w naszym mieście. Wybacz, że nie zafunduję ci piątki, ale wolę, żeby lepiła się tylko od brudu.

– Po co Marek był u twojej matki? – powtórzyła Zosia.

– Nie wiem. Nie mogłam się z nią dogadać.

– Mówię przecież, że maca najslabszy punkt! – krzyknął Rudy.

– Marek nie wrócił, żeby się na was mścić – powiedziała Zosia. – Gdyby wrócił zaraz po wyjściu z więzienia, to co innego...

– Wyczekał, żeby nas bardziej zabolalo! – syknął Rudy. – Właśnie teraz, kiedy myśleliśmy, że już nam się upiekło...

– To do Marka niepodobne – powiedziała Zosia.

– Właśnie. Koń nigdy nie był wredny – potwierdziła Anka.

Rudy zachichotał szyderczo.

– A dziewczyny jak zwykle go bronią! – syknął.

– Zosia ma rację... – zaczął Figat, ale Rudy nie pozwolił mu skończyć.

– Milcz! – wrzasnęła wychylając się z fotela. – Siedzisz u niej w kieszeni! Żyjesz za jej pieniądze, chłasz za jej pieniądze! Milcz!

Figat zacisnął pięści. W oczach zamigotała mu wściekłość, ale nie wybuchnął. Wzruszył ramionami i pomaszerował do barku. Ostentacyjnie głośno gwizdnął na widok jego zawartości.

Zosia przyglądała się Rudemu z namysłem. Ten czekał wychylony, z odsłoniętą twarzą. I właśnie widok tej pokiereszowanej twarzy uspokoił Zosię.

– Nie miałaś kłopotów z uspieniem Rafała? – spytała Ankę.

– Nie.

Rudy opadł na fotel z błyskiem triumfu w zdrowym oku.

– Musimy pokazać Koniowi, kto rządzi w tym mieście – powiedział. – Musimy dziabnąć go tak, żeby zrozumiał, że wyżej fiuta nie podskoczy.

– Nawet nie wiemy, gdzie teraz jest – rzekł Gebels. – Nie mówiąc już o tym, że nie znamy jego zamiarów.

– Dlatego musimy uderzyć pierwsi! – zaperzył się Rudy. – Musimy tak walnąć, żeby odechciało mu się wszelkich zamiarów.

– Koń to duże dziecko. – Figat odwrócił się od barku z wysoką szklanką napełnioną przezroczystym płynem. – Zawsze szedł na żywioł. Brakowało mu wyobraźni, brakowało konsekwencji. Nigdy niczego nie potrafił obmyślić, zaplanować...

– Zaraz! – Anka wysunęła się na środek pokoju. – Gadasz bzdury! Przecież wszyscy pamiętają, jak wspaniale planował tamte skoki!

Figat zachichotał. Upił płynu ze szklanki i z zadowoleniem skinął głową.

– Tamte skoki ja planowałem, dzieci drogie – powiedział. Z satysfakcją obserwował wymianę spojrzeń. – Tak, tak, Koń chciał być wielkim wodzem, ale nie umiał planować swych operacji bojowych, więc zaangażował szefa sztabu.

– Ty planowałeś? – Gebels aż uniósł się z kanapy.

– Ja. Dawałem mu plan strategiczny, bo w taktyce był niezły.

– Więc dlaczego... dlaczego nic nie mówiłeś? – Gebels rozejrzał się bezradnie.

– Prosił mnie o zachowanie tajemnicy. A poza tym był naprawdę dobrym wodzem. Na jego plus trzeba zapisać również to, że zdawał sobie sprawę z własnych braków i że potrafił im zaradzić. Dziś też nie ma żadnego planu, przyjechał pod wpływem chwili i po staremu działa na żywioł.

– Tym lepiej! – syknął Rudy. – Jak uderzymy pierwsi i pokażemy kto tu rządzi, zaraz odechce mu się wszelkich działań!

– A nie przyszło ci do głowy, że jesteście mu coś winni? – spytała Zosia.

– My? – parsknął Rudy szyderczo. – Może mamy mu forszę odpalić za dobre sprawowanie?

– A dlaczego nie? – odezwała się Wanda.

Zosia wzruszyła ramionami.

– Marek nie przyjmie żadnych pieniędzy! – powiedziała stanowczo.

– Bo mu ich nikt nie da! – rzucił Rudy drwiąco. – Trzeba go zdzielić między oczy! Trzeba mu pokazać, kto tu rządzi!

– To jest jakiś sposób – mruknął Gebels.

– Tak, to jest sposób! – przedrzeźnił go Figat. – Trzeba Konia zdzielić między oczy, bo to jest

sposób! Ech, wy gnoje!

– Ty drobny moczymordo! – warknął Rudy wychylając się z fotela.

Figat zrobił w jego stronę krok i Rudy cofnął się gwałtownie.

– Zamknij się, parszywa mendo, bo jak ci przyłożę z drugiej strony, to na dobre oslepniesz! – wycedził Figat. – Gnoje! Obaj jesteście gnoje! – rzucił pod adresem Gebelsa.

– Lepiej liczyć się ze słowami...! – zaczął Gebels groźnie.

Figat cofnął się do barku i oparł dłoń na pierwszej z brzegu butelce.

– No! Rusz dupę! – zachęcił Gebelsa. – Rusz tylko dupę, a przekonasz się, jak to miło jest, kiedy ktoś cię dzieli między oczy.

Gebels nie ruszył dupy.

– Chojraki! – parsknął Figat szyderczo. – Wiecie, co by się stało, gdyby tu był Koń? – zapytał. – Już dawno wprasowałby mnie w ten cały majdan – rzekł ruchem głowy wskazując barek. – Tym się od niego różnicie. Jesteście tchórzami. Rzygać mi się chce, kiedy na was patrzę!

– Z przepicia, jak zwykle – bąknął Gebels drwiąco.

Figat musnął go szybkim spojrzeniem.

– Może i z przepicia, tobie nic do tego. Pamiętaj o swoim strachu przed Koniem. Wszyscy pamiętajcie. Każdy z was się boi. Anka? Boisz się?

– Ja? – Anka wzruszyła ramionami. – Co Koń mi może zrobić?

Figat zachichotał.

– Boisz się, że stracisz wszystko – powiedział. – Wystarczy, żeby Koń zaczął mówić. Dunin kopnie cię bez skrpułów; hrabia może być pedałem, ale żona złodziejka to zbyt wielka kompromitacja. Tak samo jest z Gebelsem. Wyleci z policji raz na zawsze. Może nie?

Gebels nie odpowiedział, spuścił głowę.

– A ty, Rudy? Do dzisiaj byłeś tylko tłustą łysą małpą, ale jak Koń zacznie mówić, to staniesz się złodziejem. Stracisz wiarygodność w interesach. Kto powierzy pieniądze złodziejowi? Też złodziej albo nieodpowiedzialny ryzykant.

– Pijaczyna! – syknął Rudy.

– Jeszcze abnegat – dodał Figat i zachichotał. – Nie ma tutaj Alisa, ale jemu opinia złodzieja też zwicznie karierę raz na zawsze. Rozumiecie, co mówię? Boicie się Konia tak bardzo, że nawet nie spróbowaliście się z nim porozumieć. Jedyne, co by was zadowoliło, to zamknięcie mu ust raz na zawsze. Niech to do was wreszcie dotrze: ze złodziei przeistaczacie się w morderców. Oto do czego prowadzi wasz strach.

– Aa, bredzisz! – Gebels niecierpliwie machnął ręką.

Figat spojrział na Zosię, skrzywił się i bezradnie wzruszył ramionami. Potem przechylił szklanekę i opróżnił ją duszkiem.

– Nie potrafisz z wami gadać, od razu wkurwiam się niepotrzebnie – powiedział na poły do siebie. – Więc opuszczam, tfu, towarzystwo! – Odstawił szklanekę. Zawahał się, wziął butelkę, którą zaszachował Gebelsa. – Muszę się wyrzygać, tym razem nie z przepicia – dodał i wyszedł z pokoju.

Zosia odprowadziła go wzrokiem. Miał jednak rację, kiedy twierdził, że on nie zdoła przemówić im do rozumu. Wiedziała więc, że musi sprowadzić jego ojca, bo strach pęczniący w sercach Rudego, Gebelsa, Alisa i Anki był dla Marka nadzwyczaj groźny. Musiała go przebić strachem mocniejszym.

Trzasnęły drzwi wyjściowe. Anka poruszyła się.

– Chyba powiedział prawdę – bąknęła niepewnie.

– Nie mam zamiaru przejmować się bełkotem tego degenerata! – wycedził Gebels prowokująco wpatrując się w Zosię. – Wódka zżarła jego mózg do ostatniej komórki!

– Ten degenerat chyba jednak powiedział prawdę – powtórzyła Anka i ruszyła w stronę barku.

– Prawda? Co to jest prawda? – wykrzyknął Rudy. – Na spółkę z Koniem wymyślili kiedyś kilka skoków i dobrze bawili się naszym kosztem. Nie pozwolę, żeby bawili się jeszcze raz! Wykończę Konia, zanim zdąży cokolwiek zrobić.

– A ja mam tego dość! – Anka odwróciła się od barku z drinkiem w dłoni. – Najpierw powinniśmy z nim pogadać, dowiedzieć się, czego chce.

– Nie wiesz, czego chce? Nie wiesz? – zapytał Rudy agresywnie. Wychylił się z fotela. – Jak nie wiesz, to spójrz na mnie. Chce, żebyśmy wszyscy tak wyglądali. Rozumiesz?

– Co Koniowi po tym, że nas pobije! – mruknął Gebels lekceważąco. – On będzie chciał, żebyśmy ostro beknęli. Za wszystko!

– Więc jednak się go boisz! Więc jednak Figat powiedział prawdę! Nie bełkotał! – Anka zbliżyła się do Gebelsa.

Ten wzruszył ramionami.

– A co, może mamy pozwolić, żeby dobrał się do nas? – warknął Rudy. – Może mamy beczynie przyglądać się, jak będzie niszczył nasze życia? Rozwalał naszą przyszłość? Niedoczekanie! Musimy uderzyć pierwsi. Musimy pokazać mu, kto tu rządzi. Albo... albo wykończyć go!

– A wiesz już jak go wykończyć? – zainteresował się Gebels.

Rudy delikatnie otarł górną wargę.

– Sposobów jest dużo – rzucił niedbale. – A ludzi znajdę na kopy – dodał, po czym odstawił kieliszek na oparcie fotela i wykonał palcami charakterystyczny ruch liczenia pieniędzy.

– Ty tchórze! – syknęła Wanda.

Rudy gniewnie zacisnął dłoń, ale nie zdobył się na odpowiedź.

„Ona go na pewno bije!” – pomyślała Anka.

„Jego muszę wyeliminować najpierw!” – pomyślała Zosia.

– Powtarzam wam po raz któryś z rzędu: Marek nie wrócił, żeby się mścić! – powiedziała. Cofnęła się, objęła wszystkich wzrokiem. – Z tego spotkania wyniknie tylko jedno: sprowokujecie Marka, z wtedy może być bardzo źle. Powtarzam: on nie wrócił, żeby się mścić.

– Fakty – odezwał się Gebels. – Fakty świadczą o czymś przeciwnym. Uszkodził Jurka, był u Anki starej...

– Może po prostu chciał się ze mną zobaczyć – podsunęła Anka.

– Rudy musiał go sprowokować – stwierdziła Zosia.

– Bzdury! – Rudy zachnął się. – Niczym go nie sprowokowałem!

– Sprowokowałeś – oświadczyła Wanda.

– Czym? Powiedz mi, czym!

– Swoją osobą.

Rudy zachnął się powtórnie.

– Bzdura! Kosmiczna bzdura!

– Podskakiwałeś, chwaliłeś się, groziłeś. Przecież słyszałam.

Rudy zmiął chusteczkę.

– Więc co, już nie mogę mówić tego, na co mam ochotę? – zapytał ostro.

– Ależ mów! – Anka roześmiała. – Mów, co tylko chcesz. Tylko nie dziw się, że ktoś za te gadki ma ochotę strzelić cię w pysk.

Rudy obrzucił ją wściekłym spojrzeniem.

– Mam siedzieć cicho i grzecznie potakiwać Koniowi? A może mam zniknąć? Mam zwać z miasta, dlatego że Koń wrócił? Niedoczekanie! Już ja go załatwię! Raz na zawsze.

– Jurek ma rację! – poparł go Gebels. – W żadnym wypadku nie będę się płaszczył przed Koniem.

– Jesteście silni, co? – zapytała Zosia ironicznie. Powoli, krok za krokiem, ruszyła w stronę drzwi. – Mogłabym udowodnić, że to tylko złudzenia. Ale nie będę się szarpać, nie będę tracić czasu. Dzwonię po Mokrzyckiego. On wam to udowodni w pięć minut.

– No to ja spadam! – Rudy wstał z fotela.

Gebels też zaczął się podnosić. Wtedy Zosia zawróciła i w kilku krokach znalazł się naprzeciw Rudego. Pchnęła go silnie i Rudy opadł na fotel.

– Siedź, Rudy, jak ci wygodnie – powiedziała cicho. – Nie ruszysz się stąd, dopóki ja nie pozwolę.

– Mam na imię Jurek! I będę robił to, co mi się podoba! – wrzasnął, chwycił oparcie fotela, natężył mięśnie, ale – nie wstał. Gebels, widząc to, również opadł na kanapę.

– Jesteś Rudy. Ciesz się, że nie mówię do ciebie „tłusta łysa małpo”! – powiedziała Zosia. – Od

początku wiedziałam, że z tobą będzie najwięcej kłopotów. Znam cię dokładnie. I mam na ciebie kilka takich haków, że mogę cię zniszczyć nawet bez udziału Mokrzyckiego. I dlatego zostaniesz tu tak długo, jak będę chciała. Czy jasne?

Rudy spuścił głowę. Czekał. Wszyscy czekali.

Zosia odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi. W progu zatrzymała się.

– Zadzwoń teraz do kasyna, po Józka. Józek ma możliwości, ma układy. Uważam, że należy porozmawiać z Markiem i jeżeli ma on jakieś zamiary względem was, to trzeba go powstrzymać, żeby nie narobił głupstw. Chcę, żeby w tym mieście panował spokój. Chcę, żeby mój brat, jeżeli ma ochotę zostać, mógł tu normalnie żyć. Chcę, żebyście wy również żyli normalnie. Myślę, że mogę tego dokonać.

– W kasynie jest Alis – wtrącił Gebels. – Niech przyjedzie z Mokrzyckim.

– Dobrze – zgodziła się. I wyszła do przedpokoju.

Gdy zobaczył Mokrzyckiego, poczuł złość, odruchową i silną złość pomieszaną ze wstrętem, jak na widok żmii. Ale – co go nawet specjalnie nie zdziwiło – nie skojarzył tej złości z Zosią, lecz z Figatem, z jego i swoją młodością dość często zatruwaną jadem gadzin podobnych do Mokrzyckiego.

Przez chwilę miał wrażenie, że czas cofnął się nagle albo że ktoś przekopał się przez jego mózg i wydobyl gdzieś z dna dawno zapomniane zdarzenia, dawno strawione uczucia.

Nigdy nie lubił Figata, nie lubił więc jego dziewczyny, brata, matki, no i oczywiście ojca, i cieszył się w duchu, gdy docierały do niego wieści o kolejnych świństwach i draństwach, jakie stary Mokrzycki wyrządzał Figatowi. Wtedy go lubił, wtedy zachęcał go w duchu do kolejnych świństw. Nigdy jednak nie zapomniał jednego zdarzenia. Było to cholernie dawno temu, jeszcze w czasach podstawówki. Wracali wtedy z Figatem znad rzeki, lato było jak teraz, upalne, gorące. Słońce błyszczało na chromach karoserii mercedesa, odbijało się w uchylonym bocznym oknie, jaskrawo oświetlało tę twarz, szeroką, męską, z siwymi oczami o nieco przekrwionych białkach, ujętą w eleganckie ramy dobrze utrzymanych szpakowatych włosów. Wąskie zaciśnięte usta cedziły słowa, a głos był zimny i drwiący: „Długo się będziesz włóczył, ty bękarcie? Tam twoja matka, ta wariatka, czeka z obiadem. Do domu, ale już!” Pamiętał zmienioną nagle twarz Figata, zaciśnięte usta, niepewny ruch ramienia, ni to obronny, ni zaczepny, i swoje współczucie dla niego, i nagłą nienawiść do mężczyzny w mercedesie, śmiejącego się, dodającego gazu.

Dzisiaj znów patrzył na tę szeroką męską twarz z siwymi oczami, teraz ujętą w eleganckie ramy zupełnie już białych włosów... Nie, nie patrzył, raz spojrzął, odwrócił głowę – i wciąż widział, a stara nienawiść była nową nienawiścią. Może nie aż nienawiścią, ale wielką złością, wściekłością prawie, bo poprzez tę twarz widział pobladłą twarz Figata, którego nigdy przecież nie lubił, bo widział pobladłą i przerażoną twarz Zosi, gdy dzisiaj uciekała do bramy. „Krzywdzisz ludzi od lat” – pomyślał. „Krzywdzisz ludzi bezkarnie”. I już wiedział, że zagra jutro z Mokrzyckim, bo gra dawała mu szansę zabawienia się w Robin Hooda i ukarania drania. Wiedział, że wygra dla Salana tyle szmalu, ile zdoła. Dla Salana, dla siebie, dla Zosi, dla Figata... Że zagra, bo chce zobaczyć, jak ta twarz zblednie, jak wąskie usta zadrżą, jak siwe oczy zajdą mgiełką żalu.

– Muszę się czegoś napić – powiedział do Salana, który zmaterializował się przed nim nagle.

Salan wyczarował skądś szklaneczkę z trunkiem, Marek wypił, nic nie poczuł, bezgłośnie, oczami, poprosił o jeszcze, wypił drugą, znów nic nie poczuł, poprawił trzecią i pomyślał, że jednak wściekłość idzie mocniej do głowy niż najsilniejsze trunki.

Odwrócił się. Zobaczył przed sobą Alisa. Nawet przez półmrok ścielący się między nimi dostrzegł, że facet jest błądy i że się boi.

– Alis – powiedział, – ja nie wiem, może ty mi się śnisz, a może jesteś naprawdę, ale wiesz, ty idioto, ty ciężki idioto, że ja nic do ciebie nie mam, minęło przecież dziewięć lat, to kupa czasu. A wiesz, czego chcesz? Spokoju. Tylko i wyłącznie spokoju. Rozumiesz?

– Świetnie pan grał – powiedziała długowłosa blondynka stojąca obok Alisa. Marek nawet poprzez półmrok ścielący się między nimi dostrzegł, że jest piękna i że patrzy na niego z podziwem. Miała na sobie luźną białą sukienkę; piersi bujały się pod nią swobodnie.

„Chyba jestem pijany” – pomyślał i spróbował policzyć, ile dzisiaj wypił, ale szło mu to dość

ciężko, więc ograniczył się do konstatacji, że wypił dużo i to na głodniaka, bo oprócz śniadania nic nie miał w ustach.

– Świetnie pan grał – powtórzyła blondynka. – Tam, w black jacka, przed chwilą.

– Pozwólcie, Marek Jasionowski, mój kumpel ze szczenięcych lat, a to moja narzeczona, Krystyna Nałęcz, dziennikarka – powiedział Alis.

– Śnicie mi się? – zapytał Marek. Patrzył na Krystynę. Była piękna, a oczy miała, tak, szafirowe. I pomyślał, że w końcu Alis to żadna przeszkoda, żeby on z tą dziewczyną dzisiaj... Ale wtedy przypomniały mu się inne oczy, czarne, bardzo czarne, jak noc, na pewno ładniejsze od tych tutaj, szafirowych.

– Chyba jesteś wlany, Koniu – powiedział Salan. – Będiesz mógł grać?

– Cholernie się cieszę, że nic do mnie nie masz – stwierdził Alis.

Marek zachichotał.

– Wściekłość idzie mocniej do głowy niż najsilniejsze trunki – powiedział.

– Grasz? – spytał Salan. – Bo ludzie czekają.

Marek pochylił się nad Krystyną.

– Jesteś piękna – szepnął. – Nawet jeśli to tylko sen. A biust masz niesamowity.

W pierwszej chwili zachnęła się. Potem powoli odwróciła głowę i z błyskiem pogardy w szafirowych oczach spojrzała na Alisa. Marek dostrzegł jego dłoń kurczowo zaciśniętą na łokciu dziewczyny.

– Grasz? – powtórzył Salan.

– Gram, oczywiście.

Usiadł przy stoliku. Naprzeciw zobaczył siwe oczy mrużące się na dźwięk jego nazwiska.

– Nazwisko jakby znajome – powiedziały wąskie usta pod siwymi oczami.

– Tak, nawet bardzo. Zosia jest moją siostrą.

– Oczywiście! Jesteście do siebie podobni.

– Nie całkiem...

Rozwarł kurczowo zaciśniętą dłoń i wysypał na stół guziki posklejane potem, równowartość ośmiuset osiemdziesięciu dolarów.

– Rezerwa – powiedział do Salana. – Oddaj moją rezerwę.

Salan po sekundzie wahania dorzucił do kupki guziki o wartości tysiąca dolarów.

– To wszystko, co pan ma? – zapytały wąskie usta pod szyderczo błyszczącymi siwymi oczami i Marek zrozumiał, że popełnił niewybaczalny błąd ujawniając swe zasoby. Wzruszył ramionami. Musiał wygrać. Dziś i jutro.

Rzeczywiście wygrał. Właściwie całą grę zapamiętał jako jeden ciąg błyskawicznych zwycięstw, jako nieprzerwany ciąg silnych cząstkowych pragnień, które zsumowały się w jedno wielkie pragnienie: wygrać! Zapewne były jakieś rozmowy przy stoliku. Zapewne kibice jakoś reagowali na poszczególne rozgrywki. Zapewne partnerzy – prócz Mokrzyckiego grało jeszcze dwóch mężczyzn – jakoś przeżywali swe porażki, ale on widział tylko siwe oczy, z których szybko wypędził szyderstwo, które zmusił do zastanowienia, do skupienia, które zmusił w końcu do ujawnienia bezsilnego gniewu.

Grali niespełną godzinę, dokładnie siedem rozdań, z których Marek odpuścił dwa, a wygrał pięć, uczciwie, bez uciekania się do specjalnych sztuczek, bo czytał dzisiaj karty tak łatwo, jakby grali na odkryte.

Po godzinie intensywnej gry odwołano Mokrzyckiego do telefonu i wszyscy przyjęli tę przerwę z ulgą. Marek także, chociaż wietrzył w telefonie podstęp. Ale był bardzo zmęczony i naprawdę ucieszył się, gdy Mokrzycki wrócił i powiedział, że nie może dalej grać, bo natychmiast musi jechać w niecierpiących zwłoki interesach. Niech jedzie. Niech znika. Dzisiejsza gra to tylko małe preludium.

– Miał pan wielkie niespotykane szczęście – powiedział Mokrzycki na pożegnanie i wyciągnął rękę. Marek uściśnął ją po chwili wahania. – Jeżeli pańskie zasoby finansowe są nieco większe, zapraszam na jutro, na prawdziwą grę.

– A jeśli jutro także będę miał wielkie niespotykane szczęście?

Mokrzycki zaśmiał się cicho.

– Nawet gdyby miał pan szczęście większe niż dzisiaj, jakoś zdołam dotrzeć do północy. A po północy karta zawsze się odmienia.

– Zazwyczaj, nie zawsze – sprostował Marek.

Mokrzycki roześmiał się powtórnie. Potem spojrzął na Alisa.

– Jedźcie pan ze mną? – spytał. – Pana też szukali.

– Jadę.

Marek pozwolił Salanowi zgarnąć żetony (było tego na prawie siedem tysięcy dolarów), a sam podszedł do Krystyny.

– Znów świetnie grałeś – powiedziała. Tym razem nie patrzyła na niego z podziwem. Coś jednak zamigotało w jej szafirowych oczach. Co?

Pomyślał o oczach czarnych jak noc, które na tę noc były dla niego pewnością bezpiecznej przystani. I uśmiechnął się, bo teraz, gdy zmęczenie powoli mijało, poczuł ochotę na kontynuowanie gry.

– Zostań – powiedział. – Pojedziesz ze mną.

– Adam jest moim narzeczonym. Pojadę z nim.

– Alis... przepraszam, Adam to tylko płomyk świecy. Można go zdmuchnąć, można zdusić palcami.

– Adam to mój narzeczony. Jest dobrym dziennikarzem. Ma pozycję. Jest częścią mojej przyszłości. A ty kim jesteś? Adam się ciebie boi, masz więc mocne pięści. Masz smykałkę do kart. Masz sporo urody. Masz prawie trzydzieści lat. Mało masz. Mężczyzna w twoim wieku powinien mieć więcej. Pojadę z Adamem, moim narzeczonym.

Patrzył za odchodzącą dziewczyną. Ta gra mu się nie udała. Czuł żal. Żal do Krystyny, że była aż tak szczerą. Myślał: „Faktycznie mało mam. Bardzo mało. Ani szmalu, ani pozycji, ani nawet korzystnych rokowań na przyszłość”.

– Po łufie i do domu! – Salan zmaterializował się przed nim ze szklankami w dłoniach.

Marek uśmiechnął się. Na szczęście był odurzony alkoholem. Mógł się odurzyć mocniej. No i niespodziewanie miał dom.

– Może być po łufie – zgodził się. – Może być do domu.

Widział Martę kręcącą się po pokoju, w którym samotny żyrandol wciąż nie dawał sobie rady z przestrzenią. Zbierała ze stołu naczynia po kolacji. Chwytał spojrzenia dziewczyny, jakby spłoszone, jakby smutne – i niepokoiło go to, bo wreszcie zaczynał rozumieć, że w transakcji zawartej z Salanem był jakiś brud, który mógł zdewaluować to, co zaczynało istnieć między nim a Martą.

– Pij! – powiedział Salan i podsunął mu szklankę z czystą whisky, i podsunął papierosa, i pstryknął zapalniczką.

Czysta whisky przypiekała język i dziąsła, papieros smakował tak, jakby miał być ostatnim w życiu. Marta, coraz wolniej krzątająca się po ciemnym pokoju, zaczynała rozmyślać w tle. Przypomniawszy sobie dziewczynę o szafirowych oczach i bez przekonania spróbował odpowiedzieć na pytanie: „Czy ja naprawdę nie mam nic do zaoferowania kobiecie?” Potem pociągnął czystą whisky. Czytał gdzieś, że starożytni Grecy za barbarzyństwo uważali picie nie rozcieńczonego wina. Spojrzył w zasnutą ciemnością okna. Większość obywateli tego miasta już spała. Kilka osób – być może – nękanym niepokojem nie mogło spać i zastanawiało się, po co on tutaj wrócił. Przypomniawszy sobie Alisa i jego strach. Tak, reszta paczki, jeśli wiedziała o jego powrocie, też musiała się bać. Płacili dzisiaj skromną – bardzo skromną – cenę za to, że on milcząc dziewięć lat temu umożliwił im normalne życie, bez cholernej skazy na początku drogi.

Być może bali się. Dzisiaj. A czy kiedykolwiek poczuli chociaż odrobinę wdzięczności? Pomyślał o Rudym. I zaśmiał się cicho, drwiąco.

Salan ocknął się z zadumy, spojrzął niezbyt przytomnie.

– Pięć tysięcy dolarów w ciągu godziny! – szepnął. – Przy tak małych stawkach to po prostu niewiarygodne! Ale przecież sam to wszystko widziałem! Kiedy Mokrzyckiemu nie udało się usadzić ciebie przy pierwszej rączce, to już byłem pewny, że wygrasz, bo grałeś jak w transie. Ale nie myślałem, że aż tyle. Pięć tysięcy dolarów w ciągu godziny. Kilka tygodni szczęścia w interesach.

Monolog Salana był tylko tłem. Zresztą już wszystko było tłem, bo Marta przestała się krzątać i przycupnęła na brzegu zaścienionej kanapy. Łóżko. Ciekawe, cholera, jak wygląda Rudy w łóżku!

– Zapytał, czy to cały twój szmal, i zaraz w pierwszej ręczce zaczął pompować stawkę. Myślał, że pęknie, bo pewnie miał z piąta przy sobie. A ty wyrównałeś przy tysiącu, ten z lewej nie przebił i Mokrzycki umoczył ze swoją parką naprzeciw twoich dwóch. Gdyby tam grał któryś z jutrzejszych partnerów, Dunin albo Wilson, to na pewno by przebił, Mokrzycki by to potroił – i do widzenia! Po drugiej takiej ręczce nie miałbyś ani centa przy duszy, zresztą po pierwszej nie liczyłbyś się jako gracz. Popełniłeś błąd pokazując całą forszę. Jutro nie wolno tego zrobić. No i najważniejsze – masz jego zaproszenie!

Jak się czuje kobieta sprzedająca swoje ciało, przyjmująca w swe wnętrze mężczyznę budzącego w niej wstręt fizyczny? Czy Rudy budzi w kobietach wstręt fizyczny? A może to nie jest takie straszne? Na pewno nawet ciągnięcie druta Rudemu można przeżyć, czego dowodem są jego siostry. Dwa i dwa to zawsze cztery, ale przeżyć i przeżyć – to nie zawsze to samo.

Czy w Marcie, która na rozkaz Salana będzie musiała się z nim przespać, obudzi się jakaś niechęć? Wstręt fizyczny?

Czy mężczyzna taki jak on musi coś ofiarować kobiecie? Czy nie wystarczy, że ofiaruje siebie?

– Śmiać mi się chciało z jego miny. Widać było, że wkurwia się coraz bardziej i że nic nie może zrobić. Ten telefon go uratował. Ale jeszcze nie dostał dobrze w skórę, bo zaprosił cię na jutro. Pomyśl, jaką minę będzie miał ten skurwiela, gdy jutro znów przegra, i to dużo–dużo więcej! Zagrasz, Koniu? Powiedz.

Zagrasz, Koniu? Pewnie, że zagram.

– Pewnie, że zagram. Też chcę zobaczyć minę tego skurwiela.

– A więc zagrasz! – powiedział Salan i odetchnął. Potem dłuższą chwilę oswajał się z powstałą sytuacją. Robił wrażenie, jakby przygotowywał okolicznościową mówkę.

– Masz we mnie przyjaciela! – rzekł krótko. – Jak będzie trzeba, też ci pomogę.

Nagle zachichotał.

– A teraz po łufie i spać. Kini tu zostanie.

– To nie jest konieczne, Salan – powiedział Marek po chwili wahania. – Ja i tak zagram.

– Kini tu zostanie! – powtórzył Salan z uporem. – Taka była umowa. Ja zawsze dotrzymuję umów.

Marek spojrział na dziewczynę. Siedziała ze spuszczoną głową, nieruchoma. Oczywiście słyszała wszystko. Nie chciał odgrywać szlachetnego przed nią ani przed Salanem, ani tym bardziej przed sobą.

– Wyjdź – powiedział cicho do Marty. – Proszę!

Zerwała się, błysnęła oczami pełnymi łez i wybiegła z pokoju.

Cholera!

Spojrział na Salana. Jak mu wytłumaczyć? Jakich argumentów użyć?

– Słuchaj, stary, znamy się nie od dziś, więc wiem, jak wy podchodzicie do tych spraw – powiedział chwytając się najprostszego sposobu. – Marta to twoja siostra...

– Kurwa, a nie siostra! – przerwał mu Salan gwałtownie, a w jego czarnych pijanych oczach załśniło szaleństwo. – Kurwa! – warknął, poderwał pięść, ale nie walnął o stół; pięść zawisła w powietrzu, rozwarła się powoli i zamierzone walnięcie rozplynęło się w geście rezygnacji. – Mówiłem jej, poczekaj trochę, niedługo, rok, dwa, chodź z nim, jeśli musisz, jeśli cię do niego ciągnie, ale trzymaj go od swojej dupy z daleka. To gnojek, ani tobie ani mnie do niczego nie potrzebny, ja mam dla ciebie kogoś takiego, że sama się zdziwisz. Będziesz panią, dziewczyno. No i co? No i gównu, rozkraczyła mu się od razu, jak tylko wpakował jej łapę w majtki.

– Dani?

Salan pokiwał smętnie głową.

– Pako ich nakrył. Przyleciał z tym do mnie. A ja... Interesy szły coraz lepiej, już nawet zacząłem nagrywać sprawę Kini, a tu masz, bracie, pasztet! Jak ich dopadłem, to bredzili coś o małżeństwie, a ja myślałem, że się krew poleje. Ale przeszło mi, chociaż wszystkie plany wzięty w łeb, przeszło mi, chociaż... Za miękki jestem. Przychodził tu potem jako narzeczony, do dziś. Żaden

porządny Rom nie weźmie dziewczyny po kimś, woli dziewicę, a dla gadziego Cyganka i tak jest gorszym rodzajem człowieka. Cholerna kurwa! Gdyby poczekała z rok, najwyżej półtora, to wydałbym ją za męża tak, że byłaby pierwszą panią w tym mieście. Nie chciała. Wolała nadstawić dupy. Więc teraz będzie spała z tobą. Bo ja tak chcę. Bo ja tak każę!

– Ale ja nie chcę.

Salan roześmiał się drwiąco. Pochylił się, złapał Marka za rękę. Z bliska jego oczy błyszczały jak czarne kryształy.

– Głupi jesteś! Zwyczajnie głupi. Noc z Kini to jeszcze jedna wygrana rączka pokera. Bo Dani i tak ożeni ci kosę, czy się z nią prześpisz, czy nie. Widział, jak leciała na ciebie i będzie się bał konkurencji. To mu wystarczy. Dzisiaj poszedł, bo mu zagroziłem, że nigdy Kini nie dostanie, a tak będzie mógł ją brać, jak się tobie znudzi. On na pewno ożeni ci kosę.

– Taki groźny?

– Skąd! – Salan machnął niedbale ręką i zachichotał. – Zwyczajny szczył. Rozłożysz go w minutę.

– To dlaczego interweniowałeś?

– Wolałem nie ryzykować! – Salan znów zachichotał. – Przecież musisz być cały przed jutrzejszą rozgrywką. A z kosą o wypadek nietrudno. Mógł ci skaleczyć w palec na przykład i znów wszystkie moje plany wzięłyby w łeb.

– Taki byłeś pewny, że zagram?

– Taki pewny to ja nie byłem. Ale wiedziałem, że nie masz się gdzie zaczepić i pomyślałem, że jak ci dam Kini i punkt oparcia, to skorzystasz. Widzisz, bracie, jaki jestem szczerzy? A poza tym, jak poszedłeś gadać z Ewką, przypomniałem sobie Zosię. Wiedziałem, że Ewka ci wszystko wyśpiewa i pomyślałem, że znieawidzisz Mokrzyckiego.

Na protestujący gest Marka Salan pojednawczo uniośł dłoń.

– Ja ciebie rozumiem, Koniu – powiedział smutno. – Nie tylko dlatego, że moja siostra też wyrosła na kurwę, ale dlatego, że od dnia, w którym pojąłem, po co istnieją kobiety, marzyłem, że kiedyś ożenię się z Zosią. Coś tam między nami było, ale ja zawsze traktowałem ją jak świętą, która niezrozumiałym zrzędzeniem niebios zstąpiła na ziemię i raczyła zwrócić na mnie uwagę. Kryliśmy się wtedy przed tobą, bo rasista wyłaził z ciebie na każdym kroku, chociaż sam żyłeś z Idą, chociaż chodziliśmy do jednej szkoły i byliśmy kumplami. Myślałem nawet, że będę musiał ciebie zabić, bo wydawało mi się, że jedynie ty stoisz na drodze do szczęścia. Ale później, gdy ciebie zabrakło... Gdy Rudemu wykitował stary i ten pełną garścią dorwał się do jego szmalu... – Salan urwał, gwałtownie podniósł butelkę i pociągnął dwa potężne łyki. Odstawił butelkę z rozmachem: whisky bryznęła na stół. Odetchnął głęboko. Po twarzy spływały mu dwie wielkie łzy. Otarł je szybko. – Cholerny bimber! – powiedział. – Pali jak sto diabłów!

Ano, mieli rację starożytni Grecy rozcieńczając wino wodą. Bo wino, nawet nie rozcieńczone, nie paliło, ale też umiało wyciskać z oczu łzy.

– Czas spać – powiedział Salan wstając. – Przyślę Kini.

– Nie przysyłaj. I tak ją wygonię.

Gdy drzwi zamknęły się za Salanem, Marek sięgnął po butelkę.

To moja gra, a Rudy to gnida i muszę go z tej gry wyeliminować – powiedziała Zosia do Mokrzyckiego nie przejmując się obecnością Alisa i Krystyny. – Wiem, jak to wszystko rozegrać, ale oni widzą we mnie tylko babę. Ty jesteś silny. Chcę, żebyś potwierdził każde moje słowo.

– Zaraz! – Mokrzycki uśmiechnął się i pojednawczo uniośł dłoń. – Powoli, nie wszystko naraz.

Przez uchylone drzwi zajrzał do pokoju, obejrzał zgromadzonych tam ludzi, potem przymknął drzwi, odwrócił się i uważnie spojrzął na Zosię.

– Co za Rudy? – spytał.

– Jurek Rudzki, twój wspólnik od ostatniego interesu. Mam zamiar wyeliminować go z gry i ty musisz to potwierdzić.

– Rozumiem. Potwierdzę.

Ta szybka i bezdyskusyjna zgoda Mokrzyckiego zaskoczyła Alisa. Znał trochę faceta i wiedział, że to drań pozbawiony wszelkich skrupułów, kierujący się jedynie własną korzyścią. Jaką korzyść mógł odnieść z drażnienia Rudego?

– Może mi powiesz, skarbie, co to za gra?
– Mój brat wrócił...
– Wiem! – przerwał jej.
– Wiesz? Skąd?
– Spotkałem go w kasynie.
Zosia nabrała tchu.
– Co on tam robił?
– Grał w pokera! – Mokrzycki zachichotał. – Nieźle grał. Oskubał mnie na trochę zielonych.
„Ładne trochę!” – pomyślał Alis z przekąsem.
– I co?
– I nic. Podaliśmy sobie ręce, jak to po grze.
– Podaliście sobie ręce? – powtórzyła Zosia zdumiona. Nagle chwyciła Mokrzyckiego za ramię.
– Słuchaj! To potwierdza, że on nie ma złych zamiarów. To potwierdza!
– Nie rozumiem.
– Jak tylko Marek wrócił, zaraz te wszystkie gnojki – tu Zosia brodą wskazała Alisa, co Krystyna przyjęła uniesieniem brwi, a Alis odwróceniem głowy – powpadały w panikę. Boją się tak, że ze strachu gotowi są Marka zabić. Nie mogę do tego dopuścić, przecież to mój brat. Wiem, jak to zrobić, tym bardziej że ty się już z nim widziałeś i że nic złego się nie stało.
– No, strata kilku tysięcy zielonych do przyjemności nie należy – wtrącił Mokrzycki z kwaśnym uśmiechem.
– Masz żal?
– Skąd! Graliśmy. Wygrał lepszy.
– Więc mi pomożesz?
– Oczywiście! – Mokrzycki znów się uśmiechnął.
„Czule!” – pomyślał Alis.
– No to chodźmy do nich – powiedziała Zosia biorąc go za rękę.
– Dlaczego jesteście gnojki? – szepnęła Krystyna do Alisa.
Ten spojrział na nią spod oka i wzruszył ramionami. Nie doczekała się odpowiedzi.
– Czy Marek to ten blondyn z kasyna? – zapytała, gdy wchodzili do pokoju.
Alis kiwnął głową.
– Dlaczego się go boicie? Co zrobiliście mu aż tak straszego? Dlaczego ze strachu gotowi jesteście go zabić?
Alis zatrzymał się gwałtownie, złapał ją za ramię i ścisnął mocno.
– Daj spokój, dziewczyno! – syknął. – Daj spokój!
Dała spokój, oczywiście. Pomyślała, że dzisiaj wiele dowie się o swoim narzeczonym. Oby nie nazbyt wiele.
Zatrzymała się tuż za drzwiami, bo pierwsze, co jej się rzuciło w oczy, to Rudy i jego pokiereszowana twarz. Potem dostrzegła Gebelsa i uśmiechnęła się niepewnie. Gebels zapraszającym gestem wskazał miejsce obok siebie, ale pokręciła odmownie głową i nie ruszyła się spod drzwi. Alis, który już wszedł w głąb pokoju, zawrócił i zatrzymał się obok niej.
Mokrzycki powitał wszystkich krótkim skinieniem głowy. Usiadł na kanapie obok Gebelsa. Potem rozejrzał się i pozwolił sobie na pobłażliwy uśmiech. Czuł się swobodnie, jak u siebie. Zresztą był u siebie.
Rudy pomyślał, że Zosia przeszarżowała sprowadzając tu Mokrzyckiego; facet tego pokroju nie ulegał uczuciom ani sentymentom. Liczyła się tylko korzyść, a każde zagrożenie mogło oznaczać stratę. Koń przede wszystkim zagrażał im, kochankom swoich siostr. To mogło ich zjednoczyć, mogło sprawić, że będą działać ramię w ramię dla wspólnego dobra. Zosia przeszarżowała. Zosia przegrała.
Gebels stwierdził, że zbyt wielu ludzi zaczyna poznawać ich tajemnicę; niedługo nawet bez udziału Konia sprawa nabierze niepożądanego rozgłosu. Jednak obecność Mokrzyckiego napawała go otuchą; Koń zagrażał mu jako kochankowi Zosi i facet musiał działać w samoobronie.
Alis wiedział, że nadchodzące wydarzenia mogą w bezwzględny sposób zaciążyć na jego przy-

szości. Chciał to odsunąć od siebie, chciał o tym nie myśleć i dlatego natrętnie powtarzał pytanie, które zadał sobie przed wejściem do tego pokoju: „Czy już teraz mam spisać Krystynę na straty?”

Wanda stwierdziła, że Mokrzycki, mimo sześćdziesiątki na karku, jest bardziej atrakcyjny od Rudego. A Zosia zaczyna się starzeć, ma już dwadzieścia cztery lata.

Anka myślała o sympatii, którą zaczynała czuć do Zosi. Miała do siebie żal, że nigdy jej nie doceniała, że traktowała ją jak głupawą prostytutkę. Myślała, że porozumienie z Koniem to jedyne rozsądne wyjście z sytuacji.

Krystyna z zaciekawieniem przenosiła wzrok z twarzy na twarz. Mniej więcej wiedziała kto jest kto, bo Adam jeszcze w samochodzie poinformował ją, kogo tu zastanie. Z grubsza wiedziała także, o co chodzi. Z grubsza. I trochę się bała wiedzy, którą jeszcze mogła zdobyć. W końcu dopiero zaczynała karierę, była na początku drogi, a Adam wiele mógł. Mógł pomóc i zaszkodzić. Jednocześnie w wyobraźni widziała twarz, z której patrzyły na nią jasnoniebieskie oczy. I wciąż słyszała te słowa: „Adam to płomyk świecy. Można go zdmuchnąć, można zdusić palcami”.

Zosia powędrowała do barku, z kryształowej karafki nałała do wysokiej szklanki sporą porcję czystej wyborowej i zaniósła Mokrzyckiemu. Pomyślała, że zawsze umiała postawić na właściwych mężczyzn. Nawet Rudy w swoim czasie wart był zainwestowania; przydał się jako odskocznia.

Mokrzycki kilkoma długimi łykami opróżnił szklankę. Odsapnął, wyciągnął z kieszeni papierosa, zapalił, spojrzął na Zosię i uśmiechnął się do niej czule.

– Zaczynaj, skarbie, tę swoją grę – powiedział.

„On ją kocha!” – pomyślał Alis. Anka pomyślała podobnie, dodała tylko słówko „chyba”, bo przypomniała sobie Figata i wątpliwości dotyczące ojcostwa Rafała. Ale to „chyba” było mało ważne; przy takim poparciu Mokrzyckiego Zosia w tym mieście mogła praktycznie wszystko.

Rudy zaniepokoił się; zachęta Mokrzyckiego zabrzmiała zbyt czule. Zerknął na Zosię, a ona jakby na to czekała.

– Zacznę od ciebie, Rudy – powiedziała.

– Na imię mam Jurek!

Mokrzycki pochylił się.

– Nie przerywaj jej – powiedział łagodnie.

– Panie Józku, przecież pan wie, że na imię mi Jurek.

– Nazywasz się Rudy, bo tak chce Zosia! – rzekł Mokrzycki znacznie mniej łagodnie. – Rozumiesz? I więcej jej nie przerywaj!

Zosia uśmiechnęła się do Mokrzyckiego. Potem – już bez uśmiechu – spojrzała na Rudego.

– Ty stanowisz dla Marka największe zagrożenie i dlatego jeszcze dzisiaj musisz wyjechać z miasta – powiedziała twardo. – Miałam trochę wątpliwości, ale sam je rozwiązałeś. Dlatego musisz zniknąć. Bo jeżeli Markowi coś się stanie... jeżeli będę miała choć cień podejrzenia, że maczałeś w tym palce, to...! – urwała groźnie.

Rudy tkwił w fotelu zgarbiony, z chusteczką przy twarzy. Był wśród ludzi, z którymi wypił niejedną butelkę wódki – i był sam. Nawet ta dziewczyna siedząca obok, z którą żył przez minione trzy lata, była mu całkowicie obca. Zawsze był sam. Nie przyjaźnił się, nie kochał. Ale zawsze miał pieniądze i układy, które dawały mu siłę, dlatego bywało, że chełpił się swoją samotnością, dającą niezależność i jeszcze jakby wzmacniającą poczucie siły. Teraz wszakże... Teraz samotność – jednym słowem Mokrzyckiego pozbawiona wsparcia pieniędzy i układów – stała się słabością. Teraz ta samotność przerażała. Ale przerażenie zawsze wyzwalało w nim agresję. „Skąd ta drobna dziwka ma na Mokrzyckiego taki wpływ?” – myślał wściekły. „Czyżby stary dureń nie wiedział, że dziecko jest Figata?”

– Słyszałeś, Rudy, co powiedziała Zosia? – Mokrzycki wychylił się w jego stronę. – Masz zniknąć z miasta i nie pokazywać się aż do wyjaśnienia sprawy. Słyszałeś?

Rudy wiedział, że musi przyjąć narzucone warunki. Czuł się tak, jakby wkładał głowę w strzykawkę.

– Słyszałem! – stęknął.

– Czy jest to dla ciebie jasne, czy też wymaga dodatkowych wyjaśnień?

– Tak.

– Co tak?
– Jest to dla mnie jasne.
Mokrzycki wyprostował się i z uśmiechem spojrzął na Zosię.
– Rudego masz z głowy, skarbie.
Dziewczyna odpowiedziała uśmiechem, potem rozejrzała się.
– Tłumaczyłam wam, że Marek nie wrócił się mścić, że gdyby kiedykolwiek miał taki zamiar, to wróciłby pięć lat temu, po odsiedzeniu wyroku. Ale to do was nie docierało... – zawahała się. – I chyba wciąż nie dociera. Nie dotrze, jeśli nie usłyszycie tego od Marka, jeśli on nie potwierdzi tego czynami. Ale na czyny musi mieć czas. Dlatego najpierw należy z nim porozmawiać. Ja to zrobię, bo widok was mógłby go... mógłby go wyprowadzić z równowagi. Zrobię to jutro, z rana, żeby nic złego nie zdążyło się stać...
– Chwileczkę! – wtrąciła Anka. – Niedawno mówiłaś, że Marek nie przebaczy tobie i Wandzie, a teraz chcesz z nim rozmawiać?
Zosia uśmiechnęła się.
– Sytuacja uległa zmianie – powiedziała. – Marek jest inny niż dziewięć lat temu. Spotkał Józka w kasynie. Grali w pokera. Potem podali sobie dłonie. I nic się nie stało. Rozumiesz?
– Jeśli nie liczyć tych paru zielonych, które przegrałem! – Mokrzycki roześmiał się.
Rudy drgnął, opuścił chusteczkę, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko wzruszył ramionami i znów skrył się za chusteczką.
Alis zauważył to. Zmarszczył brwi.
– Koń był kiedyś świetnym szulerem – bąknął tak cicho, że tylko Krystyna go usłyszała.
– Nic się nie stało... – powtórzyła Anka w zamyśleniu. – A jeśli jeszcze o was nie wiedział?
– Na pewno był u ojca. Musiał wiedzieć.
– A jeśli nie? – upierała się Anka. – Kto go wprowadził do kasyna? Wie pan? – zwróciła się do Mokrzyckiego.
– Młody Kierbałaj.
– Salan! – Zosia energicznie skinęła głową. – A więc Marek na pewno wiedział. I nic się nie stało. Więcej: podał Józkowi rękę. Rozumiesz?
Anka uśmiechnęła się niepewnie.
– No tak, to trochę zmienia...
– A co niby miało się stać? – zaciekawił się Mokrzycki. – Mówicie o tym tak, jakby ten cały Marek mógł mnie na przykład pobić, tam, w kasynie, wśród moich ludzi.
Alis nagle zachichotał nerwowo. A Gebels zwrócił ku Mokrzyckiemu głowę.
– Gdyby Koń chciał, pobiłby pana i pańskich ludzi – powiedział z przekonaniem. – To człowiek stworzony do walki.
„Był taki” – pomyślał Rudy. „Był rzeczywiście najlepszy. Ale czy jeszcze jest?”
– No? – Mokrzycki uniósł brwi.
Gebels roześmiał się nagle.
– Kiedyś razem z Alisem napuściliśmy Bronka na Konia – powiedział. – Znacie Bronka, tego zwierzaka, prawda? Był wtedy w dużo lepszej formie. Założyliśmy się z Alisem, po jakiej liczbie ciosów Bronka padnie. Alis stawiał na dwa. Ja na cztery. Wygrał Alis.
– No! – Mokrzycki pokręcił głową. Spojrzął na Zosię. – Wiesz, skarbie, może najpierw ja bym z nim porozmawiał, co?
– Przecież to mój brat! – Zosia spojrzała na niego zdumiona: już zdążyła zapomnieć, że kilka godzin temu uciekała przed tym bratem w popłochu. – Nie będzie mnie bił jak Bronka ani jak kogokolwiek innego!
Mokrzycki przyglądał się jej bardzo uważnie.
– Dobrze, jak chcesz – zgodził się. Potem wyciągnął szklanę. – Nalej mi jeszcze, co?
– Z chęcią! – Zosia odebrała szklanę i poszła w stronę barku. Uśmiechała się; cała jej gra polegała na wyeliminowaniu Rudego, co przy poparciu Mokrzyckiego okazało się śmiesznie łatwe.
Mokrzycki położył dłoń na kolanie Gebelsa.
– Słuchaj, chłopcze, ty pracujesz w policji, prawda? – spytał cicho.

– Tak – Gebels też odruchowo zniżył głos.
– Mam do ciebie małą sprawę. – Mokrzycki przechylił się w jego stronę. – Chciałbym, żebyś jutro z samego rana ściągnął na komendę tego Konia.

Gebels stropił się.

– Jutro sobota – wybąkał, – fabryka prawie nieczynna. No i... i oficer dyżurny, rozumie pan, zawiadomi szefa, jeśli zarządzą oficjalne doprowadzenie...

Mokrzycki przechylił się jeszcze bardziej.

– Czy ja mówiłem o oficjalnym doprowadzeniu? – zapytał z wyrzutem. – Czy nie masz jakiś własnych chodów? Czy musisz robić to z hukiem?

Gebels stropił się jeszcze bardziej; doskonale wiedział, że niektórym ludziom się nie odmawia, a z drugiej strony nie miał ochoty szarpać się w Konie w swojej firmie na oczach kolegów i podwładnych.

– O czym tak plotkujecie?

Gebels podskoczył, jakby smagnięty głosem Zosi. Mokrzycki powoli uniósł głowę.

– Taki mały interes, skarbie – powiedział odbierając szklankę.

– Aha, rozumiem. – Zosia uśmiechnęła się. Nigdy nie brała udziału w interesach Mokrzyckiego, ale – tak jak w swoim czasie o interesach Rudego – wiedziała o nich sporo i skrzętnie gromadziła dodatkową wiedzę. Postanowiła, że przy okazji dowie się, jakie to interesy może mieć Józek z Gebelsem. Odeszła.

– Widzisz, chłopcze, chciałbym porozmawiać z Konie, zanim Zosia się z nim spotka – rzekł Mokrzycki tak cicho, że Gebels musiał się ku niemu pochylić. – Chcę mieć absolutną pewność, że nic jej nie grozi. Widzisz, jej brat to były kryminalista, ma za sobą wyrok i na pewno czuje respekt przed waszym mundurem. Również wizyta na komendzie podziela zmiękczejaczo. Zapomni o swojej pięści, zapomni o swojej sile. Uzna, że to my mamy przewagę i przynajmniej wysłucha argumentów. Przemyśli je. Da odpowiedź. Dowiem się, czy Zosi nic nie grozi. No jak, chłopcze? Możesz to zorganizować?

Gebels przygryzł wargę.

– Zorganizować mógłbym – rzekł niepewnie. – Ale mój szef... Jak się dowie, że ściągnąłem Konia na komendę prywatnie...

– Kto to, ten twój szef?

– Podinspektor Kwiatkowski.

– W porządku! – Mokrzycki skinął głową. – Jakby co, biorę go na siebie.

Gebels doskonale znał takie zagrywki i wiedział, ile są warte takie zapewnienia, a przecież czuł, że się z tego nie wykręci.

– Nie wiem nawet, gdzie Koń się obraca. Żeby to ustalić, musiałbym zaangażować wielu ludzi. Musiałbym podać jakiś powód zainteresowania się Konie. Musiałbym działać oficjalnie.

– Rusz trochę głową, chłopcze! – rzekł Mokrzycki strofujaco. – Przecież mówiłem, kto go wprowadził do kasyna. Młody Kierbałaj, pamiętasz?

– Tak.

– No więc, jak myślisz, gdzie Koń będzie spał?

– U Kierbałaja.

– No właśnie. Podeślij tam kogoś z samego rana i zaproś kumpla na komendę. Będę ci wdzięczny, jeśli to zrobisz.

Gebels westchnął. Pomyślał o rywalizacji z podkomisarzem Kondratem i doszedł do wniosku, że na wdzięczności Mokrzyckiego nikt jeszcze nie stracił.

– Zrobisz to?

– Zrobię! – powiedział z determinacją.

Mokrzycki uśmiechnął się i poklepał go po plecach.

Anka zbliżyła się do Zosi.

– Pójdziemy razem na spotkanie z Markiem, dobrze? – poprosiła.

Zosia przyjrzała się jej z namysłem.

– Różnisz się od nich – powiedziała. – Jesteś odważniejsza. Ale też się boisz. Krzysztof ma ra-

cję: wszyscy się boicie, bo macie dużo do stracenia.

– Nie boję się. Już się go nie boję. Po twoim telefonie myślałam tylko o jednym: jak się go pozbyć raz na zawsze. Ale teraz nie!

– Możliwe. – Zosia skinęła głową. – Jednak na spotkanie z Markiem wolę pójść sama. Bo wiem, że to ty wymyśliłaś jego wpadkę. Obawiam się, że Marek też wie.

Anka przybladła. Uciekła ze wzrokiem.

– Nienawidzisz mnie, prawda? – zapytała szybko.

– Nie wiem – odpowiedziała Zosia szczerze. – Dużo się dzisiaj we mnie zmieniło. Muszę mieć czas na przemyślenie tego. No i muszę wiedzieć, co będzie z Markiem.

Wanda umiała działać i walczyć, była konsekwentna i nie pozbawiona zdecydowania, ale nigdy nie gardziła namysłem – w przeciwieństwie do swojego brata – dlatego najpierw postarała się ocenić sytuację. Dosyć szybko doszła do wniosku, że Rudy tego wieczora stracił dużo, że może już nigdy nie zdoła tych strat odrobić. Zresztą samo odrabianie strat to kolejna strata.

Spojrzała na niego. Siedział zgarbiony, odrętwiały, z chusteczką przy posiniaczonej twarzy. Bał się – i było to widać. Przed przyjściem Mokrzyckiego był agresywny, arogancki; wtedy liczył na to, co najpewniejsze w świecie: na szmal i układy. A teraz...

Przechyliła się w jego stronę.

– Bądź choć raz mężczyzną! – syknęła szyderczo. – Czy wszyscy muszą widzieć, jak się trzęsiesz ze strachu? Czy wszyscy muszą słyszeć, jak ci zęby dzwonią?

Rudy powoli odwrócił głowę i spojrzał na nią zdrowym okiem. Czekąca na wybuch, w ogóle na jakąś reakcję, bo Rudy nigdy nie potrafił znieść drwiny lub szyderstwa. Nie doczekała się. To z kolei ją podnieciło.

– Ty parszywy tchórz! – syknęła. – Gdybyś był mężczyzną, stanąłbyś przed Markiem i spróbował walczyć. A ty tylko potrafisz się bać!

Rudy nieznacznie wzruszył ramionami. Powoli odjął chusteczkę od twarzy. Przechylił się w jej stronę.

– Naprawdę? – spytał spokojnie. – A nie przyszło ci do głowy, że to raczej ty powinnaś się bać?

– Że ty się trzęsiesz ze strachu, to wcale nie znaczy... – zaczęła gwałtownie i nagle zamilkła. Po prostu dotarło do niej, że Rudy się nie boi. Przeciwnie, jest absolutnie spokojny, jakby mu zaświtała nadzieja, a nawet więcej: jakby już zdołał znaleźć wyjście z niewesołej sytuacji. Zaniepokojona, przygryzła wargi. Wiedziała, że Rudy dla ratowania skóry poświęci ją bez skrupułów.

– Co wymyśliłeś? – zapytała ostro.

Nieznaczny chytry uśmieszek wykrzywił jego usta.

– Coś wymyśliłem.

– Co? Gadaj!

Roześmiał się bezgłośnie.

– Nie znasz swojego brata, miałś tylko jedenaście lat, jak go wzięli – powiedział zastaniając chusteczką twarz, co tak stłumiło głos, że musiała przechylić się w jego stronę, żeby słyszeć. – Ale ja znam go bardzo dobrze. Wpakowałem go do więzienia nie dlatego, że ze mnie już taka świnia, ale dlatego, że go zbyt dobrze znałem. Ci tutaj, zastraszeni przez twoją siostrę, chcą się z nim cackać w białych rękawiczkach. Wniosek z tego prosty: Koń dogada się z nimi i zostanie w mieście. Taak, Zosia urobiła Mokrzyckiego. Stary dureń kocha ją za Rafała, którego najpewniej spłodził Figat, ale to nie jest ważne. Bo Mokrzycki tylko na oko wygląda na durnia. Mogę się założyć, że mimo wszystko spotka się jutro z Koniem, żeby osłonić Zosię, żeby dla siebie wytargować jak najlepsze warunki. Więcej: uważam, że on spróbuje Konia kupić. Mną. Po prostu mnie rzucą Koniowi na pożarcie. Mógłbym wziąć szmal i prysnąć, ale szmal w gotówce to nic w porównaniu z tym, co ulokowałem w interesach. No i zaczynać gdzieś od zera – to nie dla mnie. Tutaj mam dojścia, tutaj mam układy, tutaj jestem kimś, a właściwie byłem, dopóki nie zjawił się twój braciszek. I będę, jeśli on zniknie. Wyjedzie, na przykład, albo... wyparuje, ale bez mojego oficjalnego udziału. Jest również trzecie wyjście: ja także mogę spróbować Konia kupić! – Rudy zachichotał cicho. – Uda mi się, bo ja go dobrze znam. Muszę tylko stanąć przed nim i szczerze przyznać się do wszystkiego. Pokajać się. Prosić o danie mi szansy. Prosić o sprawiedliwość. I Koń to kupi. Bo zawsze był spr-

wiedliwy i wrażliwy na szczerość. A ja naprawdę będę szczerzy. Rozumiesz?

Patrzyła na pokiereszowaną twarz Rudego i w duchu widziała, jak ten w szczerzej pokorze wije się u stóp Marka, jak kaja się, płacze, prosi o danie mu szansy. I widziała, jak Marek to kupuje, jak przebacza.

– Powiem mu – podjął Rudy, – że chcę zacząć nowe życie, uczciwe życie, że na dobry początek rozstałem się z tobą. I będę mówił prawdę, bo w tej chwili się z tobą rozstaję. Rozumiesz?

Rozumiała, oczywiście.

Nagle zadrżała. Nie przestraszyła się nagłego odejścia Rudego, bo w końcu sama o tym od jakiegoś czasu myślała i była przygotowana pod każdym względem. Nie przestraszyła jej również perspektywa starcia z mało znanym bratem, którego się wszyscy panicznie bali, a który jawił się w jej wyobraźni jako półnagi heros z maczugą. Wiedziała, że Marek nie jest dla niej groźny, a gdyby zaczął być, to Zosia zrobi wszystko, żeby ją osłonić. Przestraszył ją beznamiętny spokój Rudego, przestraszyło szyderstwo wyzierające z każdego słowa; ten gad po prostu wiedział, że to ona straci najwięcej.

– Zosia mnie sporo nauczyła – podjął Rudy. – Ludzie gadają, że to Mokrzycki ja podkupił, ale to nieprawda, odeszła sama i w takiej chwili, w której była najlepiej przygotowana. Jesteś jej siostrą, wiedziałem więc, że też prędzej czy później odejdziesz. Ale tym razem chciałem być na to przygotowany. Pewnie pamiętasz kwietniowe wczasy w Grecji, co? Wspaniale było, prawda? Tym wspanialej, że beze mnie. Sprawilem ci frajdę tym, że nagle zachorowałem, co? Ty byłaś na wczasach beze mnie, ja byłem w domu bez ciebie. I przeszukałem dom dokładnie. Niczego nie trzymałaś w banku, więc musiałaś mieć skrytkę. Oczywiście znalazłem ją... – urwał, bo Wanda syknęła cicho. – Słabo ci? – zainteresował się.

Zacisnęła pięści i pochyliła się w fotelu, tak że włosy opadły zasłaniając twarz.

– Słabo ci? – powtórzył drwiąco. – Ejże! Czyżbym jako pierwszy dał ci poznać smak porażki?

Powstrzymała chęć krzyku, powstrzymała zbierające się pod powiekami łzy. Smak porażki? Jeszcze nie przegrała! O nie!

Wyprostowała się. Szybkim ruchem głowy odrzuciła włosy na plecy.

Zachichotał cicho.

– Wspaniale! – rzekł z pozorowanym uznaniem. – Oto co znaczy dobra krew Jasionowskich.

– Ty gnido! – syknęła.

Wzruszył ramionami.

– Nie będę ci opisywał, co znalazłem w skrytce – podjął, – sama to wiesz najlepiej. Muszę przyznać, że byłem zaskoczony jej zawartością, nie sądziłem, że potrafisz na własną rękę robić lewe interesy. Zrozumiałem, że dzień naszego rozstania jest bliski. Nie myślałem, że aż tak bliski. Nie myślałem nawet wtedy, kiedy obrywałem od Konia. W ostatniej chwili uświadomiłem sobie, że muszę się jakoś zabezpieczyć, że muszę przynajmniej ciebie mieć w garści. Tuż przed wyjazdem do Anki wróciłem do domu. Pamiętasz? Wyjąłem kasetę z przewodu wentylacyjnego, zostawiłem w niej tysiąc dolców i odłożyłem na miejsce, a całą resztę ukryłem w bezpiecznym miejscu. Masz więc teraz tysiąc zielonych i kupę ciuchów w szafach. Z tym ode mnie odejdziesz. Jeszcze dzisiaj. Rozumiesz?

– Pójdę na policję! – szepnęła z wściekłością. – Powiem, że mnie okradłeś, że...

Rudy zachichotał; zdrowe oko wesoło błysnęło nad chusteczką.

– Kradzież trzeba udowodnić, a złoto, dolce, biżuteria – to są wszystko rzeczy anonimowe. Mogą być moje, mogą być twoje. Są schowane w moim domu, więc są moje.

– Ty gnido!

– Niech i tak będzie. Nie zapominaj, że powrót Konia przyniesie mi straty w interesach. Muszę to jakoś wyrównać. Jasionowski spowoduje straty, Jasionowska za nie zapłaci. Czy to nie jest sprawiedliwe?

– Powiem Markowi! – syknęła olśniona nadzieją. – Zobaczysz, powiem Markowi, a on wydrze ci to wszystko z gardła!

Rudy pokręcił głową.

– Mówiłem, że nie znasz Konia. On nigdy nie zgodzi się, żebyś nowe życie rozpoczynała wypo-

sazona w dobra zdobyte... hm, prostytutką. Będzie zmartwiony, że ocaliłaś ciuchy i tysiąc dolców, będzie żałował, że nie zaczynasz od pokuty o chlebie i wodzie.

Wanda nie знаła jeszcze smaku porażki, ale była naprawdę niezłym graczem i dlatego szybko pojęła jej rozmiary. Znow musiała walczyć z łzami wypływającymi spod powiek; przecież nie płacze się przed tą gnidą!

– Czego ty chcesz? – szepnęła.

– Spokoju.

Przygryzła wargi. Chciał spokoju. Chciał tego, co miał do dzisiaj, do powrotu Marka.

Zosia zaniepokoiła się jej wyglądem.

– Co się stało, Wandziu? – zapytała.

– Nic – bąknęła. – Nic, naprawdę.

Musiała coś wymyślić. Zaraz. Teraz. Jak najszybciej!

Zosia poszła do sąsiedniego pokoju sprawdzić, jak śpią dzieci.

Mokrzycki roześmiał się głośno i poklepał Gebelsa po ramieniu.

Anka, głęboko zamyślona, leniwie sączyła Johnnie Walkera z wodą i lodem.

– Dlaczego przed grą nie ostrzegłeś Mokrzyckiego, że Marek jest szulerem? – spytała Krystyna Alisa.

Wanda nagle wstała z fotela i pochyliła się nad Rudym.

– Daj kluczyki! – zażądała.

– Po co ci wóz? Tamtych rzeczy i tak nie znajdziesz, dobrze je schowałem.

– Daj kluczyki! – powtórzyła niecierpliwie. – Wiem, jak wykończyć Marka, i to na amen. Daj kluczyki!

Zawahał się. Ale tylko na sekundę. Dał kluczyki.

– Nie chcę nic o tym wiedzieć! – zastrzegł się. – Nic a nic!

– Wykończę go! – syknęła. – Ale ty za to zapłacisz. I co do grosza oddasz mi mój szmal. Jeżeli spróbujesz mnie oszukać, to ciebie wykończę w ten sam sposób.

– Nie mogę być w to zamieszany...

– Nie będziesz! – przerwała mu. – Ale pamiętaj: oddajesz mój szmal i płacisz za robotę!

Rudy znów się zawahał. A potem szybko skinął głową. Nie wiedział, co Wanda zamierzała zrobić, ale była tak zdeterminowana, że mimo woli poczuł respekt. I strach, oczywiście. Był szcurem; strach należał do głównych motorów napędzających jego życie.

Wanda zacisnęła kluczyki w spoczonej dłoni i ruszyła przez pokój. Natknęła się na Zosię.

– Jadę do domu po trochę rzeczy, Jurek niech tutaj zaczeka – powiedziała. – Zdecydowaliśmy się wyjechać na parę dni na wieś.

Zosię ponownie zaniepokoił jej wygląd.

– Co ci jest?

– Co? Nic! – Wanda uśmiechnęła się niewesoło. – Przecież znasz Rudego i wiesz, że życie z nim nie należy do przyjemności.

Śniło mu się coś tak cholernie niedobrego, że kiedy otworzył oczy i zobaczył ciemność aż oślepiającą w swej gęstości, a obok siebie poczuł jakiś ciepły ruch, wziął to za dalszy ciąg koszmaru. Sekundę później zapomniał, co mu się śniło i uświadomił sobie, że ta ciemność i ten ciepły ruch istnieją naprawdę, na jawie. Wyciągnął rękę; miękkie ciało zakutane w kołdrę drgnęło pod jego palcami. Usłyszał stłumiony szloch. Kobieta. Chwilę później wiedział już, kim ona jest. Odchrząknął, bo w gardle miał ciastowatą kluchę.

– Dlaczego płaczesz? – spytał. – Co cię tak przeraża?

Nie odpowiedziała.

Musiał się czegoś napić. Nie było aż tak ciemno, jak mu się wydawało bezpośrednio po przebudzeniu: sny musiał mieć szczególnie jaskrawe i oślepiające.

W szybach otwartego okna odbijał się księżyc bujający się gdzieś na południowej stronie nieba. Ciemną plamą odcinała się od poduszki głowa Marty, mimo ciepłej nocy dziewczyna zaciągnęła kołdrę aż po szyję. Zdenerwowało go to. Ale uspokoił się, gdy spojrzał w stronę stołu i w świetle księżycy odbitym od szyb zobaczył butelkę, która wyglądem przypominała wzwiezionego fallusa

o groteskowych kształtach.

Przelazł przez Martę i począł do stołu, jasny i wielki, prawie nagi: miał na sobie tylko slipki. Odnalazł swoją szklanę, wlał do niej trochę whisky. Lód dawno się rozpuścił, ale w plastikowym naczyniu pozostało po nim nieco wody. Rozcieńczył whisky i wypił łąpczywie. Wsłuchał się w reakcję organizmu, z zadowoleniem skinął głową. Wrócił na kanapę. Butelkę i szklanę zabrał ze sobą. Postawił na podłodze. Przelazł przez Martę, ściągnął slipki i wetknął je pod poduszkę. Przez sekundę nie wiedział, jak rzecz zacząć, a potem powiedział po prostu:

– Przytul się do mnie.

Nie zareagowała.

Teraz, gdy chwilowo wyciszył pretensje skacowanego organizmu, gdy zaczął myśleć, przypomniał sobie, że odrzucił propozycję Salana; z tego powodu miał prawo potraktować obecność Marty w łóżku jako realizację jej własnego pragnienia, a więc czułość, jaka się w nim obudziła, nie była błędem, tylko odruchem.

Stłumił czułość, pomyślał z żalem, że jednak Salan okazał się tępym upartym osłem, pomyślał z jeszcze większym żalem, że przez upór tego osła stracił coś pięknego, niepowtarzalnego – i postanowił wejść w rolę, jaką mu narzucono.

Odchylił kołdrę. Dziewczyna chyba była naga, ale nie mógł stwierdzić tego z całą pewnością, bo leżała na boku, twarzą do niego, skulona jak embrion, ramionami obejmując podciągnięte do piersi kolana.

– I co? Chcesz walczyć? Bronić się? Czy przespanie się ze mną to aż taka katorga? – zapytał drwiąco.

Szybkim i ostrożnym ruchem wyciągnęła rękę i zagarnęła na siebie kołdrę. Odchyliła się przy tym, więc dostrzegł – albo wydawało mu się, że dostrzega – ciemniejsze od ciała plamki sutek. Majtek nie miała, tego był pewny.

Znów spróbował odchylić kołdrę, ale trzymała ją mocno.

– Proszę cię, Marek! – szepnęła.

Puścił kołdrę i wzruszył ramionami. Pięknie, wykonał minimum czynności należących do jego roli, teraz mógł spokojnie usnąć. Położył się wygodnie na plecach, ramiona wsunął pod głowę. Pomyślał z żalem – już jakby mniejszym, jakby gasnącym – że snuło mu się coś dzisiaj po głowie na temat Marty, że nawet próbował konstruować jakąś wizję przyszłości z nią związaną... Potem pomyślał o papierosie i łyku gorzały, i zadowolił się samym myśleniem, bo miał to w zasięgu ręki.

Potem zdrzemnął się. Obudził go cichy szloch dziewczyny. Westchnął.

– Dlaczego płaczesz?

Przestała szlochać, wstrzymała oddech, w ogóle przyczaiła się jak myszka pod miotłą, ale po kilku sekundach nie wytrzymała i znów siąknęła nosem.

– No? Dlaczego płaczesz? – powtórzył zniecierpliwiony. Nie chciała się z nim przespać, bo przysłał ją tutaj Salan. W porządku, dał jej spokój. Czego jeszcze chciała?

– Gdybyś wrócił rok temu...

W jej głosie była tęsknota, a nawet żal.

– Dlaczego akurat rok temu?

Właściwie nie spodziewał się odpowiedzi. Zresztą znał ją: od roku sypiała z Danim. Był tylko ciekaw, czy dziewczyna potrafi się do tego przyznać. Sądził, że nie. „Właściwie jest w tym jakaś czystość” – pomyślał. „W tym, że nie chce ze mną spać i w tym, że nie chce się przyznać do sypiania z Danim. Ona w ogóle jest czysta. Psychiczenie. Uczuciowo. Jeszcze czysta. Ta dzisiejsza noc spędzona w moim łóżku to chyba pierwszy brud, w jaki wdepnęła”.

Właściwie nie wdepnęła. Została wepchnięta. Jakiś udział w tym miała. Ale niewielki. I bierny. Była obiektem manipulacji. Sprzedaży. On miał dużo większy udział. I to denerwowało...

– Wszystko się tak strasznie skomplikowało – szepnęła.

– Nic się nie skomplikowało – powiedział. Był zły. – Wszystko jest cholernie proste. Salan kazał ci się ze mną przespać. Sprzedał cię. I dlatego jesteś w moim łóżku.

Nie chciał brudu, przecież odrzucił propozycję Salana. A że ten cholerny osioł uparł się...!

Miał ochotę na Martę i nawet roił coś na jej temat, i oczywiście dążyłby do spędzenia z nią nocy.

Ale inaczej. Tak, żeby rojenia mogły przybrać konkretny kształt. Ten brud, ta brudna transakcja, zaistniała na przekór jego woli. Niestety zaistniała.

– Nie jest mi potrzebne do szczęścia zaliczenie ciebie – powiedział. – Możesz się nie bać, nie zgwałcę cię. Ale żeby się Salan nie czepiał, musimy wspólnie przekimać do rana. Więc śpij spokojnie. Ja jeszcze rąbnę lufę i też się kładę.

Usiadł.

– Leż! – powiedziała szybko. – Podam ci.

Przekręciła się na drugi bok i sięgnęła pod kanapę. Odebrał od niej butelkę i szklankę.

– Napijesz się? – zapytał.

– Nie lubię wódki. Wolę wino.

– To nie wódka – rzekł. Uniósł szklankę pod siwy blask księżyca sączący się przez otwarte okno i nalał do niej sporą porcję ciemnego płynu. – Whisky to taki szkocki bimber.

– Brr... – wzdrygnęła się. – Jeszcze gorsze!

– W smaku lepsze – powiedział i ustawił butelkę między kolanami. – Tylko kac po tym większy, ale rano zawsze można załatwić klina klinem... – zawiesił głos, wstrzymał oddech i opróżnił szklankę jednym haustem. – No, dawka akurat na sen! – stwierdził z satysfakcją.

– Odstawić? – zapytała.

– Aha.

Butelkę nakryła szklanką i całość umieściła na podłodze obok kanapy.

Po krótkim namyśle doszedł do wniosku, że nie ma ochoty na papierosa, a tak naprawdę to nie miał ochoty wstawać. Prośenie Marty, wysyłanie jej nagiej do stołu, wyglądałoby na głupią szczeniacką zagrywkę.

– Gniewasz się na mnie? – zapytała niespokojnie.

„Czego ty chcesz, dziewczyno?” – pomyślał. A ponieważ wydawało mu się, że wie, czego ona chce, więc postanowił trochę poszarżować.

– Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? – westchnął. Spojrzał na Martę: znów zaciągnęła kołdrę pod szyję. – Czy prześpisz się ze mną, jeśli powiem, że się nie gniewam? – Ponieważ szarżował, potraktował pytanie jako retoryczne i sam dał odpowiedź: – Nie. Więc stan moich uczuć nie ma żadnego znaczenia.

– Ale ja chcę wiedzieć.

– Nie gniewam się – oświadczył poważnie.

– Ale jesteś zły.

– Nie na ciebie. Już mi przeszło zresztą.

Poruszyła się niespokojnie, westchnęła.

Czekał.

– Mogę o coś spytać?

– Pytaj.

Znów poruszyła się niespokojnie, westchnęła.

– Czy... – zaczęła, zawahała się, potem dokończyła z determinacją: – Czy chcesz się zemścić na Ance?

– Skąd ci to przyszło do głowy?

Zawahała się.

– Powiem, ale obiecaj, że nie zrobisz awantury.

– Komu?

– Ewce...

– Obiecuję. Nie robię awantur upośledzonym na umyśle. Zazwyczaj im współczuję.

– Ewka wcale nie jest głupia! – oburzyła się.

– Aha – przytaknął.

– Kiedy pojechaliście z Salanem do kasyna, trochę z nią porozmawiałam. Mówiła, że kiedyś bardzo kochałaś Ankę.

– Rzeczywiście nie jest głupia! – powiedział z przekąsem.

Milczała dłuższą chwilę.

– Dlaczego kłamiesz? Dlaczego udajesz? – spytała. – Przecież sama pamiętam...
– Co ty możesz pamiętać? Ile wtedy miałeś lat? Dziewięć?
– Osiem. Ale pamiętam wszystko. I wiem, że ją kochałeś. Widziałam to, bo... – zawahała się i dokończyła z pasją: – Bo byłam zazdrosna! Bo też ciebie kochałam!

– Ty?!

– Ja! Byłeś moja pierwszą miłością, jeszcze dziecinną, ale największą. Zresztą wtedy wszystkie dziewczyny na podwórku kochały się w tobie. I zazdrościły Ance, bo widać było, jak bardzo ją kochasz. Ida przyszła raz pogadać z tobą, chciała, żebyś do niej wrócił, ale jak zobaczyła ciebie z Anką, to nawet nie podeszła, od razu wiedziała, że nie ma żadnych szans.

Z tęsknotą pomyślał o papierosie, a także o dobrym łyku gorzałki. Spróbował zgadnąć, czy to możliwe, żeby przez dziewięć lat wspomnienia aż tak się zatarły, uległy aż takim przewartościowaniom. Czyżby naprawdę kochał kiedyś Ankę?

Do momentu wypadki, która całkowicie zmieniła jego życie i sposób patrzenia na świat, był pewny, że posiada miłość Anki. W areszcie śledczym zrozumiał, że wszystko, co posiadał, można określić prostym słowem: gówno. Teraz ta mała Cyganka autorytatywnie twierdziła, że to on kochał...

Marta nie dała mu myśleć, mówiła dalej:

– Kiedy ludzie zaczęli gadać, że zamknęli cię za skok na Kołchoz, zebraliśmy się i poszliśmy na komendę. Wszystkie dzieciaki z podwórka. Chcieliśmy cię odbić. Przegnali nas. Byłeś już wtedy w areszcie śledczym.

Poruszyła go wizja dzieci zgromadzonych pod komendą. Na chwilę zapomniał o Ance.

– Nie wiedziałem, że miałem takich sprzymierzeńców – rzekł cicho.

– Nie powiedzieli ci o tym?

– Nie.

Może napomknęli, nie pamiętał, zdaje się, że młoda prokuratorka pytała o jakieś dzieci, ale wtedy na takie duperele nie zwracał uwagi, wtedy wciąż jeszcze walczył z sobą, wciąż wybierał, szukał właściwej drogi – i coraz wyraźniej ją widział.

– Czy wróciłeś, żeby się mścić? – Marta nie dała mu zapomnieć o Ance.

– Nie wiem, po co wróciłem – odparł szczerze. Z rozpędu chciał dodać, że dzisiaj wydawało mu się momentami, że zaczyna dostrzegać cel i sens tego powrotu, że zaczyna go dostrzegać w jej osobie, ale powstrzymał się – i to obudziło w nim gniew.

– A będziesz się mścił? Na Ance i reszcie?

– Nie wiem... – bąknął; gniew narastał. – Nie miałem zamiaru, w ogóle o tym nie myślałem...

– Ewka twierdzi, że oddasz im co należy.

– Możliwe! – warknął. – Możliwe, że inni w tym mieście też tak twierdzą! Możliwe, że zmuszą mnie do wyrównania rachunków! Możliwe, że będę musiał ukrećić kilka łbów! Możliwe... – urwał. odsapnął. Ale gniew wciąż trzymał krzepko. – Daj butelkę! – rozkazał.

Szybkość, z jaką spełniła polecenie, skłoniła go do wydania następnego:

– Przynies papierosy, leżą na stole.

Poszła i przyniosła. Bez obłudnego zasłaniania się. To go trochę uspokoiło.

– Dlaczego rozebrałaś się do naga, jeśli wiedziałaś, że się ze mną nie prześpisz? – zapytał nalewając whisky do szklanki. – Mogłaś pozostać w bieliźnie.

Podąła mu papierosy i zapałki i wsunęła się pod kołdrę.

– Może spodziewałaś się, że będę bardziej wytrwały i że po długich targach będziesz mi mogła ulec ze spokojnym sumieniem, co?

– Byłeś pijany, mogłeś mnie zgwałcić – odpowiedziała spokojnie. – Po co na dokładkę miałeś mi drzeć majtki?

Ot, praktyczne podejście do sprawy! Spojrzał na szklankę, uśmiechnął się i opróżnił ją jednym haustem.

– Jak dobrze pójdzie, to niedługo znów będę pijany – rzekł.

– Wiem.

Zapalił papierosa. Odsunął płonąca zapałkę i spojrzął na dziewczynę zawiniętą w kołdrę.

– Właściwie dlaczego nie chcesz się ze mną przespać? – spytał. Zapałka zgasła, więc rzucił ją na

podłogę. – Mówiłaś, że mnie kochałaś. Żałujesz, że nie wróciłem rok temu. Więc?

Milczała.

– Czy to jakieś cygańskie tabu ci zabrania?

Milczała.

Zaciągnął się papierosem i pomyślał, że właściwie jest mu obojętne, co ona o nim pomyśli.

Rzekł więc:

– Przecież nie jesteś dziewicą. Wiem, że sypiałaś z Danim...

– Właśnie dlatego nie mogę spać z tobą – powiedziała łagodnie.

Zdumiał się.

– Nie rozumiem!

Poruszyła się, westchnęła. Potem zaczęła mówić, cicho, trochę się zacinając:

– Ty... nawet jeśli się ze mną prześpisz, i tak odejdziesz, a Dani zostanie i będzie moim mężem.

A mąż i żona to... to rodzina, bo potem są dzieci... I... To trudne, tak wytłumaczyć, ale ja postaram się... Bo dzieci, rozumiesz... Kobieta ma zawsze pewność, że dzieci są jej. A mężczyzna, żeby był tego pewny, musi być absolutnie pewny swojej kobiety. I dlatego kobieta nie może zawieść jego zaufania, dlatego musi mu być wierna. Absolutnie. Musi po prostu być wierna swojemu mężczyźnie.

– Jednemu mężczyźnie? – spytał z niedowierzaniem.

– Jeśli potrafi! – zaśmiała się przekornie, a potem powiedziała z naciskiem: – Swojemu mężczyźnie. Zanim go spotka, może robić co chce, to jej sprawa, ale jak już go spotka, to musi być mu wierna, żeby zawsze miał pewność, że nie chowa bękartów.

Marek zapatrzył się w widoczny za oknem skrawek wygwieżdzonego nieba.

– A więc Dani jest tym twoim mężczyzną – szepnął.

– Tak! – potwierdziła bez wahania. I po kilku sekundach dodała ciszej, mniej pewnie: – Bo ty odejdziesz...

Nawet bez szczególnego zdziwienia stwierdził, że zazdrości Daniemu. Wstał, zeskoczył z kanapy i ruszył w stronę okna. Skręcił, żeby zgasić papierosa w popielniczce stojącej na stole i podszedł do okna z boku, z cienia, zza odsuniętej firanki. Dlatego pierwszy dostrzegł Daniego i zatrzymał się w porę, nie będąc przez niego widziany.

Dani tkwił pod oknem pośrodku niewielkiego podwórka, nieruchomy, zapatrzone, a światło księżycy smugą czerni malowało jego długi cień na siwym asfalcie. Twarz miał uniesioną; po policzku zsuwała się świetlista, błyskająca srebrem plamka. Płakał.

Marek zagryzł usta. Brud! Znow ten parszywy brud!

Wtedy zwrócił jego uwagę jakiś ruch w kącie podwórka, przy bramie prowadzącej na ulicę. Dostrzegł tam niewielkiego człowieka i – choć światło księżycy bywa podobno zwodnicze – ani przez chwilę nie miał trudności z rozpoznaniem go. Pet. A gdzie Pet, tam Bronek.

– Hej, Cygan! – usłyszał cichy okrzyk Peta. – Daje tu! Bronek czeka!

Bronek i Dani. Taka komitywa rokowała niezbyt miłe spotkanie w nadchodzącym dniu, ale w tej chwili Marek był nawet zadowolony; okazywało się, że Dani również ubrudził ręce.

Odwrócił się.

– Wszystko, co mówiłaś, jest całkiem niegłupie – rzekł zbliżając się do kanapy. – Jednak źle oceniasz sytuację. Bo dla Daniego przestał istnieć problem: prześpisz się ze mną czy nie. On już wie, że się ze mną przespałaś. Jego zaufanie już straciłaś. Nigdy nie uwierzy, że nie byłaś tej noc moja. Rozumiesz, maleńka?

Pochylił się, odstawił butelkę, potem uchwycił brzeg kołdry i delikatnie zsunął ją z dziewczyny. Nie spodziewał się oporu, ale mimo to był trochę zaskoczony jego brakiem.

– A poza tym skąd tak dobrze wiesz, że ja odejdę? – zapytał cicho. – Może zostanę? Może od paru godzin chcę zostać, i to właśnie przez ciebie...

Uklęknął. Z bliska spojrział w oczy czarne jak noc.

Zatelefonowała z automatu przy poczcie (odebrał Grzegorz), a potem zaparkowała samochód dwieście metrów od jego domu i czekała, z niecierpliwości paląc papierosa za papierosem. Nie wybuchła, gdy wreszcie przyszedł, choć jeszcze przed minutą gotowa była rozerwać go na strzępy.

– Miałas nie dzwonić osobiście! – rzekł z wyrzutem, sadowiac się w samochodzie. – Przecież wiesz, że o tej porze Magda zawsze jest w domu.

– Cicho bądź! Wrócił mój brat, Koń – powiedziała zamiast wstępu, ale to nie wystarczyło, bo Grzegorz niewiele o Koniu słyszał.

Musiała opowiedzieć wszystko od początku. Grzegorz zapalił papierosa i słuchał kiwając co jakiś czas głową. Wyglądał na znudzonego i nieco sennego, przecknął się dopiero wtedy, gdy Wanda sprecyzowała żądania.

– Przecież to twój brat! – rzekł i spojrzał na nią zdumiony.

W odpowiedzi wzruszyła ramionami.

– Dlaczego ja? – spytał po chwili.

– Chwaliłeś się kiedyś, że znasz ludzi, którzy potrafią to zrobić. Szybko, solidnie, bez śladów. Że potem znikają z horyzontu i nigdy się już o nich nie słyszy. Za odpowiednią opłatą, oczywiście.

Kiwnął głową.

– Bo znam.

– No więc... dlatego ty.

Potrząsnął głową.

– Ten twój Rudy też ich zna. A poza tym ma o wiele większe możliwości finansowe...

– On nie może być w to zamieszany! – przerwała mu namiętnie. – To wykluczone!

Uśmiechnął się z przymusem.

– Ja też wolałby nie być w to zamieszany.

Powoli uniosła dłoń i nacisnęła klakson. Wysoki, zmienny, świdrujący w uszach dźwięk przeto-czył się opustoszałą uliczką. Gdy w uszach spowitych miękką watą oszołomienia znów z trudem zagościła cisza, Wanda powtórnie nacisnęła klakson.

Tu i ówdzie błysnęły w oknach światła, gdzieś w głębi uliczki pojawiło się kilku mężczyzn. Wanda włączyła silnik i odjechała. Po paru minutach kołowania wśród krętych przecznic Obrzeża zaparkowała w tym samym miejscu. Znów było tu cicho i spokojnie.

– Miałeś trzydzieści lat, maturę w kieszeni, byłeś urzędnikiem na poczcie, czyli byłeś nikim – powiedziała cicho. Cytowała jego własne słowa, gdyż popełnił piramidalną głupotę i przed kilkoma miesiącami podczas jednego z pierwszych spotkań, rozkrochmalony wspaniałą atmosferą, zwierzył się jej nieopatrznie. – Wtedy zjawiła się Magda, wdowa po zasobnym przedsiębiorcy, właścicielu wytwórni i farbiarni dzianin, a także plantacji kwiatów, i wzięła ciebie takim, jakim byłeś. Dała szmal, interes, z mizernego chłopczyzny nadużywającego pospolitej gorzałki zrobiła pana całą gębą. Postawiła jeden warunek: jesteś jej, tylko jej, pierwsza zdrada i won z domu! – mówiła zapatrzona gdzieś przed siebie, w daleki mrok uliczki. – Do dzisiaj powtarza to przy lada okazji. Dlatego nie chciała wziąć z tobą ślubu. Czy teraz rozumiesz, dlaczego ty musisz załatwić ludzi, którzy wykoń-czą mojego brata?

Doskonale rozumiał, bo Wanda nie pierwszy raz go szantażowała, ale pierwszy raz chciała go wrobić w aż tak śmierdzącą sprawę. A właśnie nie dalej jak wczoraj Magda napomknęła – niby to mimochodem – coś o małżeństwie.

O Boże! Jak często pluł sobie w brodę, że tamtej sylwestrowej nocy pił tak dużo, że Wanda po brzydkawej Magdzie wydawała mu tak się bardzo piękna i warta ryzyka!

– Musisz załatwić to jeszcze dziś! – Wanda jego milczenie odczytała prawidłowo, jako zgodę. – Najlepiej natychmiast. Chcę, żeby jutro było po wszystkim.

– Forsa – rzekł cicho. – Magda nie jest skąpa, ale aż tyle własnej forsy nie mam. Będę musiał skubnąć z jej zapasów...

– Nie martw się. Jeśli wszystko pójdzie jak trzeba, Rudy zwróci koszt. Z nawiązką!

„Rudy!” – powtórzył. Pomyślał, że złamie warunek Wandy i powie Buremu, kto jest faktycznym zleceniodawcą. Przy tak grubej i śmierdzącej robocie bezpieczniejszym występować tylko jako pośrednik.

– Niech będzie – zgodził się. – Muszę iść do domu po forszę. Bury mówił, że przy takiej... no, robocie, to najmniej z tysiąc zaliczki.

– Dolarów?

– A czego! – parsknął. Potem dodał: – Zaczekaj tutaj, podwiesz mnie. Nie będę brał wozu, żeby nie denerwować Magdy.

Wysiadając z samochodu uśmiechnął się mściwie. Na ulicy Pierwszej Poprzecznej jest wiele oczu otwartych szeroko o każdej porze dnia i nocy. Bardzo dobrze się stanie, że właśnie tego mercedesa z tą dziewczyną za kierownicą zobaczą przed domem Burego akurat tej nocy.

Krystyna patrzyła na ładną, bladą teraz i wymizerowaną twarz swojego narzeczonego, patrzyła na jego zapadniętą klatkę piersiową, na wątłe ramiona, na chude nogi. I próbowała wyobrazić sobie, jak wygląda rozebrany tamten mężczyzna o niebieskich oczach. Nie była zaskoczona wybrykami wyobraźni, chociaż nigdy do tej pory nie kierowała się walorami fizycznymi przy wyborze partnerów. Łóżko nie pociągało jej wcale, było dość przykrym obowiązkiem związanym z pojawieniem się mężczyzny w życiu. Miała – już, jak sądziła – dwadzieścia pięć lat i trzy nieudane kontakty seksualne. Adam był tym trzecim. Ale niezbyt realna perspektywa czwartego kontaktu wydawała się dziwnie pociągająca.

Przysiadła z drugiej strony łóżka. Miała na sobie bawełnianą piżamę. Nigdy nie spała nago. Przekonała się, że po pierwszym okresie współżycia nawet konieczność wyłuskania jej z piżamy może podziałać na mężczyznę zniechęcająco.

– Mam kilka pytań – powiedziała.

Alis z rezygnacją skinął głową.

– Słucham.

– Dlaczego mówią na ciebie Alis?

– To od nazwiska. Wiesz przecież, jak się nazywam. Nawrot vel Nawrocki. Kiedyś Figat stwierdził, że vel to samo co alias, a że alias brzmi trochę głupio, więc zostałem Alis.

– Myślałam, że od lisa.

Pokiwał głową.

– Tak, wiem, gardzisz chytrą, brzydzisz się konformizmem, czujesz wstręt do kompromisów.

Nie zdziwiła się, że on tak ją widzi, w końcu sporo napracowała się nad stworzeniem w jego oczach odpowiedniego obrazka. „Adasiu, mój mały, konformizmu uczą nas już w podstawówkach, w kompromisach ćwiczymy się od pierwszych chwil dorosłego życia, tak samo jak w chytrą. Adasiu, mój mały, myślałam, że o tym wiesz!”

– Powiedz mi, co było dziewięć lat temu. O tych skokach, o więzieniu...

Dużo już wiedziała, jeszcze więcej się domyślała, ale chciała usłyszeć to od Adama: chciała mieć jakiś kapitał na przyszłość. A poza tym chciała się dowiedzieć: dlaczego?

Usłyszała opowieść o strachu. A kiedy odrzuciła szczegóły, kiedy zapomniała o fabule, zrozumiała, że zna tę opowieść. Zna tak dobrze, jak samą siebie.

W pewnej chwili wstała, przeszła na drugą stronę łóżka i przytuliła Adama. Jak matka. Później zdjęła piżamę. Jak żona. Niewiele czuła. Raz tylko coś w niej drgnęło, gdy pomyślała o mężczyźnie, silnym mężczyźnie.

Koni! Wychodź! Przyszedłem z tobą walczyć! – ryknął mu ktoś prosto w ucho.

Marek poderwał się, stracił ręce usiłującej go zatrzymać Marty, na osłep dopadł krzesła i błyskawicznie założył spodnie, bo nagi mężczyzna nie może walczyć: nagi mężczyzna jest bezbronny i śmieszny.

– Koni! Wychodź! Przyszedłem z tobą walczyć!

Ryk był niesamowicie potężny, nabrzmiały rozpaczą, dobiegał z podwórka jak z dna studni, odbijał się od sufitu i dudnił basowo w pokoju, dudnił w uszach...

Gdzieś z bliska, jakby zza ściany, a trochę także z podwórka, doleciał głośny śmiech Salana.

Marek podszedł do okna. Noc skończyła się: niebo szarzało. I w tym szarym półmroku wczesnego świtu Marek dostrzegł na podwórku Figata, zgarbionego, ze smętnie zwieszoną głową, oburącz wspartego na ogromnej siekierze.

Ta siekiera wkurzyła go mocno, więc niewiele myśląc przesunął się nad parapetem; bosa stopy głośno klasnęły o asfalt, gdy wylądował przed Figatem w półprzysiadzie, gotów do natychmiasto-

wego skoku. Ale nie skoczył. Figat był ciężko pijany. Po prostu.

– Koniu! Wychodź! Przyszedłem z tobą walczyć! – ryknął Figat, a w jego głosie zabrzmiała rozpacz i smętna żalność.

Potem powoli podniósł głowę. Jego oczy wypełnione były gęstą mgłą pijackiego ośpienia. Gdy jednak spoczęły na Marku, zabłysło w nich coś na tyle silnego, że zdołało przebić się przez ową mgłę.

Figat poderwał siekierę i wywinął nią młyńca nad głowę. Siekiera pociągnęła go swoim ciężarem, więc zatoczył się, chybnął; ostrze przeleciało tuż obok jego głowy, a potem brzęknęło o asfalt. Figat całym ciałem wsparł się na stylisku. Chwilę dyszał.

– No! – mruknął. – Skąd się tu wzięłeś?

– Wołałeś mnie.

– Ja? – zdumiał się.

Po krótkim namyśle kiwnął jednak głową.

– Wołałem – zgodził się.

– Jestem – rzekł Marek z uśmiechem. Przystąpił z nogi na nogę, bo chłód pokrytego rosą asfaltu przenikał stopy. – Chciałeś walczyć – przypomniał.

– Chciałem. Przytargałem nawet pomocnika. – Figat czubkiem buta trącił ostrze siekiery. – Za ciężka cholera. Nie dam rady walczyć.

– A bez niej nie możesz?

– Nie. Nie jestem aż tak pijany.

– To odłóż ją i pogadajmy.

Figat spojrzał na niego podejrzliwie.

– Chcesz, żebym się przewrócił? – zapytał.

– Koniu! – Marek usłyszał cichy okrzyk Salana.

Salan, tkwiący w oknie sąsiadującym z oknem pokoju Marty, pokazał butelkę, roześmiał się i rzucił ją miękkim płynnym ruchem.

– Mogła się rozbić! – powiedział Figat z wyrzutem, gdy Marek odwrócił się z butelką w dłoniach; jednak natychmiast wyraźnie przetrzeźwiał, a w oczach miał blask radości. Wyprostował się i puścił niepotrzebną już siekierę, a stylisko miękko klapnęło o wilgotny asfalt.

Marek zdjął nakrętkę i podał butelkę Figatowi, a ten najpierw łyknął trunku, dopiero potem obejrzał nalepkę.

– White Horse! – mruknął z zazdrosnym podziwem. Podniósł głowę i spojrzał na Salana. – Żyjesz sobie, ty cholerny Cyganie! – ryknął.

– Szkoda whisky dla kogoś takiego! – odkrzyknął Salan. – Ale denaturat jest w kuchni. Zanim bym go przyniósł, ty pewnie byś kitę odwalił!

– Ja też jeszcze pożyję! – ryknął Figat. – Tylko wykończę ojca!

W oknie, na prawo od Salana, pojawiła się rozkudłacona głowa jakiegoś faceta.

– Hej, panowie! Może tak pozamykacie te pijackie ryje! – zaproponował facet, gniewnie mrugając zapuchniętymi od snu powiekami.

– Właśnie! Albo walczyć, albo chlać! Ale nie wrzeszczeć! Dzieci śpią! – Druga rozkudłacona głowa pojawiła się kilka okien w lewo od Salana.

– To co? Walczymy czy chlamy? – zapytał Marek. Zziębniętymi stopami pocierał o spodnie. Rosa chyba wciąż opadała, bo czuł drobniutkie ukłucia chłodnej wilgoci na odsłoniętych ramionach.

– Chlamy! – rzekł Figat stanowczo. Wyglądał już na tylko trochę wlanego; nieświadomie jego organizm robił miejsce na następną dawkę gorzały. – Nigdy nie walczę, gdy butelka jest pełna. – Spojrzał w górę i powiedział: – Chyba coś dla ciebie.

Wychyłona z okna Marta, ubrana w jasny szlafrok, trzymała Marka buty i koszulę.

Ubrał się szybko.

W kącie podwórka, pod płotem, stała ławka. Tam usiedli.

– Długo się namyślałeś, zanim wróciłeś – rzekł Figat. Pociągnął spory łyk, wręczył butelkę Markowi i przyjrzał mu się z ciekawością. – Wyglądasz kwitnąco – zauważył.

O nim, niestety, nie można było tego powiedzieć. Zawsze był szczupły, ale teraz wychudł tak bardzo, że zmiętoszona i poplamiona marynarka wisiała na nim jak na kijku, a zapadnięte policzki i sine worki pod oczami nadawały twarzy chorobliwy wygląd. Przypominał zapijaczonego dziada, i chyba nim był. Tylko po ciemnych brązowych oczach, w których pełna butelka zapaliła światło, można było chwilami rozpoznać dawnego Figata.

– Skąd się tu wziąłeś? – zapytał Marek. – Skąd wiedziałeś, gdzie jestem?

Figat strzepnął palcami.

– Ot, ludzie gadają, ludzie wiedzą wszystko – rzekł, potem wyrwał Markowi butelkę i napił się szybko. Obejrzał nalepkę, z dziecięcym zaciekawieniem spróbował naderwać ją paznokciem i spojrział na Marka. – Cholerne Cyganisko opija się łyskaczami, a ja muszę chlać zwykłą gorzałę. Może to prawda, że niedługo sięgnę po denaturat.

– Może i prawda.

– Ech! – Figat machnął ręką; alkohol chyba znów zaczynał uderzać mu do głowy. – Masz żal! Ja wiem, że masz żal!

– Nie mam żalu, Krzysiek... – zaczął Marek miękko, ale Figat nie dał mu skończyć.

– Wiem, że masz żal! – krzyknął i ponownie machnął ręką. – Możesz mieć żal. Powinieneś! – ryknął. – Ale... wiesz, ja długo nad tym myślałem, długo, bardzo długo...

– No i?

– No i? Co no i? No i nie można było inaczej! Po prostu nie można było inaczej...

– Tak?

Figat spojrział na niego i zaśmiał się.

– Wkurwiasz się, co? – zapytał. – Wkurwiał się, masz prawo. Masz prawo mieć żal. I w ogóle parszywie postąpiliśmy. Ale wtedy nie można było inaczej. Nie potrafię tego wytłumaczyć... Nie teraz, ululałem się trochę. Ale przyjdź do mnie. Wytrzeźwieję, to pogadamy. Sam się wtedy przekonasz...

– Ja się przekonam?! – zapytał Marek z niedowierzaniem. – Przekonam się, że nie mogliście inaczej postąpić, tylko musieliście na cztery lata wpakować mnie do pudła? Ja się przekonam?!

– Tak, przekonasz się! – powtórzył Figat uparcie. – Chyba że jesteś głupi buc i niczego nie zrozumiesz. Jesteś głupi buc?

Marek, w którym rzeczywiście zaczęła wzbierać złość, nagle roześmiał się.

– Nie jestem głupi buc – powiedział. – Ale nie wiem, czy zdołasz mnie przekonać, że nie mogliście inaczej postąpić. Jedno wiem na pewno: nie mam do was żalu. Nie wiedziałem tego jeszcze, kiedy decydowałem się wracać. Być może nie wiedziałem tego jeszcze kilka godzin temu. Ale teraz już wiem.

Figat siedział zgarbiony, wpatrzony w asfalt u swych stóp, ścisnął między udami butelkę, a zbyt długie włosy spadały mu na twarz, zasłaniały ucho i policzek. Teraz wolno pokiwał głową, wyprostował się, spróbował zagwizdać, po czym zanucił coś pod nosem. Nagle napił się whisky i – nie patrząc – wyciągnął ku Markowi butelkę.

– Wypij ze mną! – powiedział ostro.

Zaraz potem zachwiał się i Marek musiał go podtrzymać.

– No, trochę mnie ścina! – stęknął.

– Usiedzisz?

– Aha. Bez obaw.

Marek puścił go. Zważył butelkę w dłoni. Nie miał ochoty pić, ale wiedział, że to, czy napije się, czy nie, jest dla Figata bardzo ważne.

Napił się.

Figat westchnął. Wyjął butelkę z ręki Marka i pociągnął łyk.

– Ty nie masz żalu, ty szczerze nie masz żalu, ja wiem. Ale... nie pogadasz ze mną dzisiaj – rzekł i splunął. – Przyjdź do mnie jutro. Mieszkam niedaleko, na Przejeździe, pod dziewiętnastym, mieszkania dwanaście. A teraz idź... – Znów splunął. – Tam czeka na ciebie fajna dziewczyna... Zostaw butelkę i idź. Jutro pogadamy. Powiem ci wszystko, co będziesz chciał wiedzieć, całą prawdę, nagą prawdę, bo wiedzieć musisz... A teraz zostaw butelkę... Zostaw i idź. Ona czeka.

Nawet go lubię – powiedział Salan.

– Tak?

– Tak. Kiedyś był z niego za duży mędrak, ale życie dało mu mocno w dupę i zrobiło z niego porządnego człowieka. To już minęło, teraz to ostatni łach, ale i tak go lubię.

– Został tam... Może by go wziąć do domu?

– Po co? – Salan wzruszył ramionami. – Posiedzi kilka minut, chłapnie ze dwa łyki i pociągnie do chaty. Jeszcze minie trochę czasu, zanim zacznie spać pod płotem. Na razie jest na etapie robienia pod siebie. Nie chciałbym, żeby mi zaszczał fotel, jak miesiąc temu w „Polonii”, kiedy przepijał pieniądze wyciągnięte od Zosi. Już lepiej niech się zleje na ławce. Albo u siebie w domu.

– Pewnie lepiej.

– Ty, Koniu, a jak tam z Kini?

– Z Martą?

– No, z Martą! – Salan zaśmiał się.

– Jakby ci tu powiedzieć... Widzisz, myślę, że mimo wszystko w porządku.

– Mimo wszystko?

– Nieważne.

Rozmawiałem dzisiaj z trzema ludźmi, którzy mnie kiedyś wkopali, z Rudym, Alisem i Figatem – powiedział Marek. Krążył po pokoju powoli, ze spuszczoną głową, jakby czegoś szukał. Mówił cicho, niewyraźnie, do siebie. Marta, zakutana w szlafrok, siedziała na kanapie i wodziła za nim wzrokiem. – Z tego dwaj, Rudy i Alis, bali się mnie, każdy na swój sposób, ale obaj byli w strachu. I obaj dobrze wiedzieli, że zasłużyli na ten strach, że zasłużyli na moją zemstę. A Figat się mnie nie bał. Więcej: powiedział, że wkopanie mnie było dla nich jedynym możliwym wyjściem z sytuacji. Więcej: chwilami miałem wrażenie, że ze mnie drwi. A twój braciszek twierdzi, że to skończony łach, wrak ludzki. Rozumiesz coś z tego? – Zatrzymał się, spojrzął na Martę. – Bo ja nie. Figat rzeczywiście stoczył się cholernie, ale myślę, że jego człowieczeństwo jest wyższej próby niż człowieczeństwo Alisa czy Rudego – stwierdził. Nagle schylił się i podniósł z podłogi zapomniany nóż Daniego. Obejrzał go, złożył i schował do kieszeni. Potem uśmiechnął się do Marty. – Pójdziemy do niego jutro. Obiecał mi prawdę, całą prawdę. Ale to jutro będziemy się tym martwić. A dzisiaj, teraz... – urwał. I zaczął się rozbierać.

Dzień drugi

Rano, gdy się obudził... Nie, nie obudził się rano, przez chwilę tylko uległ złudzeniu, że to poranek, bo kiedy otworzył oczy i przekręcił głowę, został oślepiiony jaskrawym słonecznym promieniem, i pomyślał wtedy: „Słońce wschodzi”, ale kiedy olśnienie minęło, gdy już zaczął widzieć, zorientował się, że na poduszkę pada samotny promień odbity od szyby szeroko otwartego okna, a słońce buja gdzieś wysoko na południowej stronie nieba, jak księżyc nocą, gdy rozmawiali z Martą.

– Marta – szepnął. I przypomniał sobie pytanie, które wczoraj zadawał sobie w autobusie: „Po jaką cholere tutaj jadę?” Nie potrafił na nie odpowiedzieć nawet wtedy, gdy już opuścił autobus i zagłębił się w znajome uliczki rodzinnego Przyrzecza. A teraz?

Wstał. Był rześki, jakby obudził się o poranku. Czuł, że odpowiedź na pytanie jest w nim, że wystarczy tylko trochę pomyśleć, a sformułuje ją bez trudu, ale chwilowo nie chciało mu się myśleć, był pogodny, wyciszony, jakby odcięty od swojego pogmatwanego życia, od wszystkich nie wyjaśnionych spraw, które do wczoraj budziły męczący niepokój.

Odnalazł łazienkę, na półce pod lustrem zobaczył naszykowaną maszynkę do golenia, pędzel i krem, więc ogolił się, wykąpał, a kiedy już się wytarł, Marta zapukała do drzwi i podała mu obszerny brązowy szlafrok pasujący na niego jak ulał.

Zjadł w kuchni śniadanie. Marta kręciła się wokół niego cicha, spokojna, a jednocześnie jakby podekscytowana, ze światłem w czarnych oczach.

Chciał wyjść – nosiło go gdzieś – chciał poznać piękno ciepłego dnia. Chciał zobaczyć słońce. Uśmiechał się.

Wtedy przyszedł Pako i powiedział, że przed bramą w samochodzie siedzi dwóch tajniaków; jasne było, że czekają na niego. Przestał się uśmiechać, gdyż w oczach Marty zobaczył cień strachu. Pogłaskał ją po twarzy. Czuł trochę żalu, bo chciał, żeby dziewczyna razem z nim zobaczyła słońce, ale żal trwał krótko. Chociaż musieli wyjść osobno, wiedział, że i tak spotkają się niebawem gdzieś na uliczkach Przyrzecza.

Ewakuował się okienkiem prowadzącym z korytarza na sąsiednią posesję. Potem sforsował dwa płoty i dopiero kiedy znalazł się na ulicy – tak jakby forsował płoty z zamkniętymi oczami – poznał piękno tego dnia: zobaczył słońce. I zdziwił się; zrozumiał, jak dawno go nie oglądał.

Było mu lekko.

Bez żalu i nostalgii przypomniał sobie tamte odległe w czasie letnie poranki, gdy jako młody chłopak pędził tymi uliczkami nad rzekę, żeby spotkać się z kolegami lub z Anką, żeby opalać się lub kochać z Anką na przybrzeżnych łąkach gorącego piasku. Widział wtedy słońce codziennie, cały był wypełniony tym bezzasadnym szczeniackim oczekiwaniem wspaniałej przyszłości.

Usłyszał swoje imię wypowiedziane niegłośno, niepewnie. Zatrzymał się, spojrzął – i oto stała przed nim Anka, prawie identyczna jak ta ze wspomnień.

Prawie... Była blada, a z podkrążonych zielonych oczu wyczierała niepewność zacierająca wrodzoną im dumę. Musiała mieć ciężką noc.

– Ładnego mamy syna – powiedział, bo to było pierwsze i jedyne, co mu przyszło do głowy.

Potaknęła, uśmiechnęła się – dziwnie jak na nią nieśmiało – rozejrzała się i wskazała brodą pobliską kawiarenkę.

– Wejdziemy?

O tak, mogli wejść, oczywiście, jak dawniej, przecież kiedyś często tu przychodzili i siadywali pod wielkim oknem, żeby widzieć ulicę zbiegającą ku rzece, żeby być razem, żeby być na zewnątrz i jednocześnie w środku nurtu tej spokojnej uliczki. Weszli i usiedli pod wielkim oknem, ale już nie byli razem. Marek skinieniem głowy zaakceptował propozycje kelnerki, potem dziobał łyżeczką ciastko, małymi łykami popijał gorącą kawę i myślał, że czuje budzącego się kaca, że nieśmiałość pasuje do tej bladej twarzy i podkrążonych oczu, że nieśmiałość bywa wynikiem nadmiaru trosk i niewiary w ludzi. Nagle przestraszył się, że Anka zacznie coś wyjaśniać, że zacznie coś tłumaczyć, a on już nie chciał żadnych wyjaśnień, więc zapytał szybko:

– Jakie nazwisko nosi nasz syn?

A gdy już zapytał powodowany zwykłą ciekawością, gdy dostrzegł zmieszanie Anki, pojął, że mimowolnie popełnił błąd, i pospieszył go naprawić z gorliwością, która go zdumiała:

– Ja wiem, że nie moje, i rozumiem dlaczego, ale po prostu chciałbym znać jego nazwisko, tak z czystej ciekawości...

– Dunin. Marek Dunin. Miało być moje, ale...

– W porządku – powiedział. – Nieważne, dlaczego.

Teraz w zielonych oczach pojawiło się zdziwienie, ale takie ciepłe, wesołe, jak po dobrej niespodziance.

– Ja nie sądziłam, że ty tak... Bałam się, że...

– W porządku – powiedział.

Te wszystkie gadki o żalu, o strachu, o wyrzutach sumienia, które pewnie miała przygotowane, uważał za absolutnie niepotrzebne. Wyjaśnienia? Pomyślał o Figacie. Wiedział, że pójdzie dzisiaj do niego, i to niedługo, żeby Krzysiek nie zdążył się od nowa upić. I tam otrzyma wyjaśnienia. Na pewno szczere. Chyba prawdziwe. A to, co mogła mu powiedzieć Anka, naśladowująca w zachowaniu Alisa i Rudego, nie miało żadnego znaczenia.

Nie miało również znaczenia to, że Anka wkopała go będąc z nim w ciąży. Tak, to również przestało boleć. Zresztą chyba nigdy naprawdę nie bolało, było tylko policzkiem wymierzonym jego dumie; ot, jak to z policzkami bywa: zapiekło i przestało.

– Marek mieszka u twojej matki? – zapytał.

Zmieszła się, sploszyła, a potem szybko, z determinacją, zaczęła mówić o inklinacjach Dunina, o jego zboczeniu.

Pożałował, że mimowolnie trafił w coś, co ją bolało, spróbował zgadnąć, czy chodziło jej o skłonności męża, czy też o niemożność osobistego wychowania dziecka. Potem pomyślał, że jego spokój, jego obojętność, to nie tylko wynik zaistnienia Marty i nocnych odwiedzin Figata, a w znacznie większym stopniu skutek czasu, który od tamtych pamiętnych dni upłynął i że Rudego zdzieliłby i tak, choćby wrócił po dwudziestu, nie po dziewięciu latach. Marta swoją obecnością tylko wyzwoliła uczucia już w nim tkwiące, pozwoliła Markowi poznać je i wykorzystać.

Trochę przestraszył się, że tak często myśli o Marcie, a że Anka akurat zamilkła dla nabrania oddechu, więc skorzystał z okazji i wtrącił:

– Rzadko który pedał jest jednocześnie pedofilem, a jeśli tak, to woli trochę starszych chłopców.

Anka znów szybko zaczęła mówić, tym razem o psychice dziecka, o tym, że wszelkie nienormalne zdarzenia mogą pozostawić niezatarty ślad, że mogą mieć zgubny wpływ na jego rozwój, a Marek – niepomny niedawnego strachu – znów pomyślał o Marcie i z przyjemnością uświadomił sobie, że jest tej dziewczyny pewny, mocno pewny, tak na życie – i było to uczucie nowe, całkiem miłe i satysfakcjonujące.

Wiedział, że Marta krąży gdzieś w pobliżu czekając na niego, czekając bez zniecierpliwienia, bo też jest go pewna. Przypomnił sobie niedawną ucieczkę okienkiem i zrozumiał, że zdarzenie to – o ile sprawa między nim i Martą potrwa dłużej – stanie się anegdotą wspominaną w chwilach czułości z ciepłym rozbawieniem.

Spojrzał na Ankę, bezwiednie poszukał w pamięci podobnych zdarzeń, podobnych chwil, związanych z nimi miejsc, oczami wyobraźni zobaczył wąską piaszczystą łacę szczelnie zastoniętą krzakami, szeroki blat kredensu w zachodnim pokoju w domu ojca, wielki wygodny tapczan w pokoju jej matki... Każde wspomnienie kojarzyło się z seksem, z fizjologią, nie było to nieprzyjemne, ale jakieś dziwne, jakby łączące ich kiedyś uczucie sprowadzało się tylko do łóżka. Po chwili namysłu doszedł do wniosku, że Anka także nie może mieć innych wspomnień – o ile oczywiście ma jakiegokolwiek.

Anka zakończyła swoje wywody, zamilkła, zamyśliła się głęboko, jakby rozważała jakiś problem, a nawet więcej: jakby próbowała podjąć decyzję w bardzo ważnej sprawie.

Marek przywołał kelnerkę, zapłacił, potem rozsiadł się wygodnie, chociaż miał ochotę zakończyć to spotkanie, które i tak nie mogło do niczego doprowadzić. Chciał wyjść, odnaleźć Martę i razem z nią z bezpiecznej odległości obejrzeć zaparkowany przed domem samochód z tajniakami, pośmiać się z nich, pośmiać się ze zbawczego okienka na korytarzu, potem pójść do Śródmieścia, na plac Jedenastu Punktów, przyjrzeć się gładkiej szklanej ścianie Kołchozu i znaleźć w niej miejsce, które załatano dziewięć lat temu, wejść na pierwsze piętro i sprawdzić, czy stoisko z wyrobami futrzarskimi wciąż jest w tym samym miejscu...

Wtedy uświadomił sobie, że dzisiaj sobota, że Kołchoz może być nieczynny, że na pewno jest nieczynny, i po sekundzie żalu poczuł ulgę, bo zrozumiał, że jutro – w niedzielę – też tam nie pójdzie, a pojutrze już mu się nie będzie chciało – i ominą go te dziwne odwiedziny miejsca przestępstwa wymuszane na nim przez drugie złośliwe ja.

Anka poruszyła się. Spojrzał, natrafił na jej wzrok uważny, nawet natarczywy.

– Wiesz, nie sądziłam, że Marek aż tak cię zainteresuje, w ogóle zupełnie inaczej wyobrażałam sobie nasze spotkanie – wyznała.

„Miałaś dużo czasu na wyobrażanie” – pomyślał. Pamiętał przecież zmysłowość Anki, jej pragnienie pieśzcot: jak puste musiały być noce spędzane u boku Dunina! A w czasie pustych nocy zdolność do myślenia, do odczuwania, do rozumienia, staje się przekleństwem. Wiedział o tym dobrze, przeżył cztery lata takich nocy.

– Ja powiem Markowi, jak trochę podrośnie, jak będzie więcej rozumiał, kto jest jego ojcem.

Zaśmiał się, żeby ukryć zażenowanie i złość, zaśmiał się jak zawsze, kiedy ktoś usiłował go kupić, kiedy spoza ludzkiego czynu, spoza chęci, na oko ładnej, spontanicznej, szczerzej, wyłaził czytelny motyw, brudny premedytacją, splamiony handlowością.

– Daj spokój – powiedział. – Dla chłopaka lepiej będzie, jeśli wszystko pozostanie tak, jak jest. Niech się nazywa Dunin, co za różnica.

– Nie zależy ci? – spytała rozczerowana.

– Tu nie chodzi o mnie, tylko o dziecko – wyjaśnił powściągając zniecierpliwienie.

– Powiem mu, jak będzie starszy.

– Powiedz mu, jak zupełnie dorośnie – poradził.

– Wtedy już może być za późno, ludzie mnie uprzedzą – stwierdziła z goryczą. – Przecież wiesz, że życzliwych nie brakuje.

O tak, wiedział o tym.

– Zrobisz, jak będziesz chciała, jak uznasz za słuszne.

Anka westchnęła.

– Kiedyś bardzo chciałam, żeby odpowiedzialność za wychowanie Marka spoczywała tylko na mnie – powiedziała. W jej głosie pobrzmiwało rozgoryczenie. – W swoim czasie zrobiłam wszystko, żeby tak właśnie było. A teraz dziecko jest u mojej matki. A mnie po prostu żal. Czy rozumiesz to?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem – rzekł obojętnie.

– No tak! – westchnęła. Nie musiał spoglądać na zegarek ani stosować innych prymitywnych chwytów, żeby jej dać do zrozumienia, że ma już dość tego spotkania. Wstała. On także. Podali sobie dłonie poprzez stolik: ot, zgoda, zgoda i obojętność. Nawet dziecko nie mogło ich zbliżyć. Na szczęście oboje o tym wiedzieli.

Dopiero na ulicy przypomniała sobie, że nie zapytała go o wiele ważnych spraw, na przykład o stosunek do sióstr, a przecież wiedziała, że Zosia też go szuka. Zawahała się, ale nie wróciła; zadawanie takich pytań mogło tylko zaszkodzić sprawie, mogło Marka niepotrzebnie zdenerwować, lepiej niech Zosia sama z nim porozmawia. Ruszyła więc w kierunku Śródmieścia, trochę zadowolona ze spotkania, trochę nim rozczarowana, ale dziwnie podekscytowana.

Marek odczekał, aż Anka zniknie w głębi ulicy i dopiero wtedy wyszedł z kawiarni. Odetchnął z ulgą, jakby miał za sobą coś, co go od dawna męczyło, a przecież nic się nie wydarzyło, niczego nie miał za sobą, cała ta rozmowa z Anką była jakaś nijaka, nieważna, nic z niej nie zostało, jakby w ogóle się nie odbyła.

Pomyślał, że właściwie mógł się tego spodziewać, pomyślał, że odnajdzie Martę i pójdą do Figata, pomyślał pełnym zdaniem: „Moje intencje są szczerze”, ale zabrzmiało to trochę dziwnie, więc poprawił się: „Moje intencje są dobre. Ja jestem szczerzy”. Pomyślał, że dotyczy to nie tylko Marty czy Figata, ale wszystkich ludzi w tym mieście, obcych i znajomych, przyjaznych i wrogich.

Dostrzegł Martę. Nadchodziła od strony rzeki, widocznie szukając go zdążyła aż tam zawędrować, pomachała ręką, jednak dziewczyna zwolniła i zatrzymała się, chociaż musiała go widzieć, a już machanie ręką nie mogło ująć jej uwagę. Pomyślał zniecierpliwiony: „Co jest, do cholery!” – i usłyszał swoje imię wypowiedziane niegłośnie, niepewnie.

Odwrocił się gwałtownie i spojrział. Zosia. Zdumiał się, był pewny, że to Anka wróciła; gniew, który w nim wezbrał na tę okazję, natychmiast opadł.

– Marek... – powtórzyła Zosia bezradnie. Była blada, oczy miała podkrążone: musiała przeżyć ciężką noc.

Patrzyła błagalnie.

– Witaj, siostró – powiedział z uśmiechem. – Miałem rację, że cię wczoraj nie goniłem, dzisiaj sama mnie znalazłaś.

– Marek! – szepnęła. – W jej oczach zaśniły łzy.

Przytulił ją jak dawniej i powiedział cicho:

– Nie płacz, mała, nie bądź głuptas, przecież nic takiego się nie stało.

Przywarła do niego mocno i rzeczywiście przestała płakać, bo w jego ramionach poczuła się bezpieczna; tak jak dawniej uścisk wielkiego brata złagodził ból, odgonił smutki.

– Och, Marek, nareszcie wróciłeś! – szepnęła. – Tyle lat... Nawet listu nie przysłałeś, nic!

– Nie złożyło się jakoś.

– Nie złożyło się! – powtórzyła z wyrzutem. – Och, bracie!

Rozejrzał się ponad jej głową i dostrzegł Martę siedzącą na ławce, na skwerku, po drugiej stronie ulicy. Obejrzał się, spojrział na szyld kawiarni. „Jutrzenka”. Ot, jak poetycko.

Zosia wyczuła, że się wierci i odsunęła się.

– Wejdźmy na kawę – zaproponował.

Weszli.

Kelnerka uśmiechnęła się do niego jak do starego znajomego, obejrzała Zosię i aprobująco kiwnęła głową.

Usiedli przy stoliku pod wielkim oknem (Marek trochę się zmartwił, bo nie widział stąd Marty), kelnerka z własnej inicjatywy przyniosła dwie kawy i dwa ciastka, mruknęła pod nosem: „Ta lepsza” – i odeszła. Zosia odprowadziła ją zdziwionym spojrzeniem, a Marek zachichotał.

– Przed paroma minutami byłem tutaj z Anką – wyjaśnił. – Usłyszałaś werdykt: jesteś lepsza.

– Byłeś tu z Anką? – Zosia szeroko otworzyła oczy. – I co?

Wzruszył ramionami.

– I nic. Zjadłem ją. Nawet kosteczki nie zostały.
– Nie wygłupiaj się. Co było?
– Nic nie było. Co miało być. Pogadaliśmy trochę o naszym dziecku. Ale, ale, słyszałem, że ty też masz synka. Prawda to?
Zosia szybko spuściła głowę, sięgnęła po łyżeczkę i zaczęła mieszać kawę.
– Prawda – powiedziała po chwili.
– Jak mu na imię?
– Rafał – bąknęła. Wciąż mieszała kawę.
– Zosiu, siostrzo, spójrz na mnie! – zażądał. – Wstydzisz się tego syna czy jak?
Delikatnie odłożyła łyżeczkę na spodeczek i powoli podniosła głowę. Jej oczy silnie błyszczały.
– Nie wstydzę się mojego syna i nigdy się go nie wstydziłam! – wycedziła. – Ale czy to moja wina, że mam brata-wariata i nie potrafię odgadnąć, jak się ten brat-wariat zachowa?
Marek roześmiał się i poklepał ją po dłoni.
– Może i jestem wariatem, ale zawsze uważałem prywatne życie drugiego człowieka za święte. Każdy ma prawo wybrać to, co mu najbardziej odpowiada i nikomu nic do tego. A poza tym twój syn to przecież moja rodzina.
Zosia odetchnęła głęboko, odprężyła się.
– No widzisz, tym razem zachowałeś się jak brat, a nie jak wariat. Może to już tak na stałe, co? – zapytała z nadzieją.
Uśmiechnął się.
– Ile ma lat ten mój siostrzeniec? Kiedy są jego urodziny? Powinienem wpaść z jakimiś prezentami.
– Musisz poczekać rok, prawie rok, bo Rafał skończy dwa lata w maju, piątego.
– Dwa lata. No to mój jest starszy! – rzekł z dumą.
– O! Twój to już całkiem duże chłopisko – przyznała. – A bez okazji nie możesz do mnie wpaść?
– Mogę, czemu nie. Ale, widzisz, wolałbym wiedzieć, kogo zastanę...
Zmrużyła oczy i pochyliła się nad stolikiem.
– Mnie zastaniesz! – powiedziała dobitnie.
– Aha! – bąknął. – Jasne. Całkiem jasne.
– Więcej pytań nie masz?
– Mam. Jedno tylko.
– Słucham.
Zawahał się. Nie dlatego, żeby bał się reakcji Zosi. Po prostu zwątpił, czy chce wiedzieć.
– Słucham! – ponagliła.
Zdecydował się.
– Czy możesz mi powiedzieć, kto jest ojcem Rafała i dlaczego ludzie, z którymi rozmawiałem, mieli co do tego wątpliwości?
Zosia zaczerwieniła się, bezwiednie sięgnęła po łyżeczkę, ale opanowała się i nie zaczęła mieszać kawy. Wytrzymała spojrzenie Marka; rumieniec na jej twarzy powoli ustąpił miejsca bladeści. Zaciśnęła usta, zmrużyła oczy.
– To były dwa pytania. Na pierwsze odpowiem krótko: ojcem Rafała jest Krzysiek Mokrzycki. A na drugie... Nie wiem, z jakimi ludźmi rozmawiałeś.
– Z różnymi. Z naszym ojcem na przykład.
Pokiwała głową, nagle smutna: bladeść twarzy podkreśliła malujące się na niej zmęczenie.
– To wszystko jedno, z kim rozmawiałeś, wszyscy są siebie warci – powiedziała z rezygnacją. – Wyjaśniłabym ci całą sprawę, ale nie mam dzisiaj sił na taką rozmowę. Jak spotkasz Krzyśka, a pewnie spotkasz, to go zapytaj. Powinien ci wszystko powiedzieć.
Wypiła drobny łyżeczek kawy. Smutnym, zgaszonym wzrokiem wpatrzyła się w wielkie okno. Zrobiło mu się jej żal. Poczul na siebie złość, bo okazał się tępym natrętnym idiotą. Z nagłą nienawiścią pomyślał o ludziach, którzy ją krzywdzili.

– Przepraszam – szepnął.
Uśmiechnęła się blado.

– Nie ma sprawy... Takie życie, to był mój świadomy wybór, choć widzę, jak teraz spoglądam w przeszłość, że nie tylko, że jednak trochę zostałam do tego przymuszona. – Ponownie uśmiechnęła się. – Zdaniem większości mężczyzn jestem efektowną kobietą i potrzebuję luksusowej oprawy. Po prostu według nich muszę ją mieć. Kiedy natrętnie wtykają ci forszę za to tylko, że żyjesz, że istniejesz i raczysz się uśmiechać, po prostu kiedyś musisz ją przyjąć. I tak to się zaczyna. – Machnęła ręką. – No, ale dość o mnie. Teraz ty powiedz coś o sobie. Co się z tobą działo? Dlaczego przez tyle czasu nie dałeś nawet znaku życia?

Wzruszył ramionami.

– Nic się nie działo, normalna tępa harówka – powiedział. – Jeździłem z miejsca na miejsce, pracowałem tu i tam. O tym miałem pisać?

– Nie pomyślałeś, żeby wcześniej wrócić? Przecież twoje miejsce jest tu, tu masz korzenie.

Skrzywił się.

– Myślałem. Nieraz myślałem. Ale jak przypomniałem sobie, co mnie tu spotkało... Korzenie! Mnie wyrwano razem z korzeniami.

– W końcu jednak wróciłeś.

– Sam nie wiem, jak to się stało.

– Co zamierzasz?

Wzruszył ramionami.

Zawahała się.

– Zapewne już wiesz, że mogę ci skutecznie pomóc – powiedziała.

Kiwnął głową.

– Domyślam się, że w tym mieście możesz wszystko albo prawie wszystko – rzekł. – Ale na razie nie potrzebuję twojej pomocy. Chyba rzeczywiście tutaj jest moje miejsce. Wylądowałem tu zaledwie wczoraj wieczorem, a już otrzymałem kuszącą propozycję. Przyjąłem ją. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, szybko stanę mocno na obu nogach. A poza tym mam dziewczynę, kąć do spania...

Zmarszczyła brwi.

– Dziewczynę? Salan, zdaje się, ma siostrę...

Teraz on zmarszczył brwi.

– Dużo wiesz, Zosieńko – zauważył. – Bardzo dużo.

Roześmiała się.

– Zapomniałeś, że nasze miasto to dziura? Mężczyznę takiego jak ty trudno w nim nie zauważyć.

– Alis, ty, Rudy, ojciec, Salan, matka Anki, Mokrzycki – wyliczył.

Skinęła głową.

– No właśnie. Aż tyle osób widziało cię jednego wieczora. Widzieli cię także w kasynie z Salanem. Domyśliłam się, że będziesz u niego spał, dlatego tutaj ciebie szukałam.

Przymrużył oczy.

– Gliniarze też wiedzieli, gdzie mnie szukać.

– Gliniarze?

– Przed domem Salana stoi samochód z dwoma tajniakami.

Zmarszczyła brwi, szepnęła coś do siebie, potem niespokojnie spojrzała na Marka.

– Słuchaj, powiem ci coś, tylko nie zrozum tego opacznie...

– Wał.

– Wczoraj wieczorem, przed dworcem, Alis pobiegł za mną. Pogadałam z nim i zrozumiałam, że on się boi. Zrozumiałam też, że reszta twojej paczki zareaguje podobnie. Ze strachu mogli się zmówić i wykombinować coś niedobrego. Więc zaprosiłam ich wszystkich do siebie. Rzeczywiście byli przerażeni twoim powrotem. Krzysiek... Figat próbował przemówić im do rozumu, ale oni go lekceważą, bo pije. Wyszedł. Wtedy sprowadziłam Józka. Mokrzyckiego. On mi pomógł i... i...

– I co? – spytał. Beztraska towarzysząca pierwszym minutom tego spotkania znikła bez śladu.

Był skupiony i czujny.

– I przekonaliśmy ich, że nie masz złych zamiarów, że nie chcesz się mścić...

– Skąd wiedzieliście?

Uśmiechnęła się niepewnie.

– Trochę cię znam, Mareczku.

Milczał. Czekał.

– Najbardziej podskakiwał Rudy, bo dostał od ciebie wczoraj („Za mało!” – pomyślał), ale Mokrzycki osadził go jednym słowem. Ustaliliśmy, że ja z tobą porozmawiam, dowiem się, czego od nich chcesz...

– Niczego!

– No właśnie! Tak mówiłam wczoraj. Potem Józek rozmawiał z Gebelsem i wtedy musiał go namówić... On się o mnie boi, rozumiesz...

– Bandzior, kryminalista, wariat – wyliczył zimno. – Zabije, nie zapyta o racje.

– Marek!

Myślał o grze, która czekała go wieczorem, myślał o Zosi tak bardzo związanej z Mokrzyckim. Jakieś nieopatrne słowo mogło ją postawić w głupiej sytuacji, zmusić do wybierania...

– Marek! Przecież ty wiesz, że to nie tak!

Spojrzał na nią zimno.

– W tej chwili z poduszczenia twojego... Mokrzyckiego trwa polowanie na mnie. Czy wiesz, jak się czuje człowiek, na którego polują?

Świadomie przesadzał, ale czuł żal, że ten wspaniały nastrój, w którym trwał od przebudzenia, diabli wzięli.

– Ja zaraz to skończę! – Poderwała się. – Tak ich opieprzę, że odechce im się wszystkiego!

– Chwileczkę! – rzekł podnosząc głowę.

– Tak? – pochyliła się.

– Figat wczoraj próbował przemówić im do rozumu?

– Tak! – Uśmiechnęła się. – Jak nie chcieli go słuchać, to wyzwał ich i poszedł sobie.

– Rozumiem.

– Idę! – powiedziała stanowczo. – Już ja im dam popalić.

Uśmiechnął się.

– Nie przejmuj się aż tak bardzo – rzekł. – W końcu to nic strasznego. Jakoś przeżyję.

– Już ja im dam! – powtórzyła. Pochyliła się, pocałowała Marka w policzek i szybko odeszła.

„Zosieńko, siostrzyczko!” – pomyślał patrząc za nią.

Chcieli go ściągnąć na komendę, to jasne, a wizyta tam rzeczywiście nie była niczym strasznym. Machinalnie wypił zimną niesmaczną kawę. Pomyślał o tajniakach w samochodzie i szybko doszedł do wniosku, że nie ma żadnego polowania, bo Gebels miał swoje powody, żeby unikać rozgłosu.

„Najlepiej iść teraz do Figata i zamelinować się tam na jaką godzinę, żeby Zosia zdążyła wszystko odkręcić” – pomyślał. Ani przez chwilę nie wątpił w możliwości siostry; Mokrzycki rzeczywiście trząśł tą dziurą jak chciał. Nagle uśmiechnął się. Jutro, po wielkiej przegranej Mokrzyckiego, sporo się zmieni, a sprawi to on, Marek Jasionowski, Koń. Wtem pomyślał, że mógłby – wykorzystując pozycję Zosi – zawrzeć sojusz z Mokrzyckim. Że co? Że byłoby to nieuczciwe w stosunku do Salana? Och, synu, najwyższy czas zdobyć się na trochę nieuczciwości, bo ten świat jest pełen oszustów i złodziei.

Podniósł głowę, zobaczył Martę siedzącą na miejscu Zosi, zobaczył kelnerkę zbliżającą się z dwiema kawami, usłyszał jej mruknięcie: „Ta najlepsza!” – i pomyślał niewesoło, że chyba jest skazany na uczciwość.

– Jedz, pij, czuj się jak na randce – powiedział.

Dziewczyna była trochę speszona. Sięgnęła po filiżankę, podniosła ją do ust i zaraz odstawiła krzywiąc się, sparzona gorącym płynem.

– Chodźmy stąd! – szepnęła.

– Tak, zaraz pójdziemy – zapewnił. – Jeszcze chwila. Mam ochotę tak posiedzieć z tobą. Nie przeszkadzamy tutaj nikomu ani nikt nam nie przeszkadza. A na zewnątrz...

Pomyślał o radiowozie stojącym przed bramą, spróbował zgadnąć, czy jest jeszcze jeden radiowóz patrolujący ulice i doszedł do wniosku że tam, na zewnątrz, przeszkadza niektórym ludziom, jest dla nich niewiadomą, z więc zagrożeniem, które trzeba zlikwidować.

Wizyta na komendzie nie była niczym strasznym, ale nie należała do przyjemności i oczekiwanie na nią zapadało w duszę Marka, z wolna zaczynało drażnić. Żeby przestać o tym myśleć, żeby zagłuszyć niepokój, żeby odnaleźć ten beztroski nastrój, który władał nim po przebudzeniu, zaczął opowiadać Marcie przebieg spotkań z Anką i Zosią, chociaż dziewczyna wcale nie była tego ciekawa. W trakcie opowiadania wypił kawę, potem przywołał kelnerkę i zapłacił.

– Jak pan taki oblegany, to może ja też się zapiszę – powiedziała kelnerka chowając pieniądze.

– Wie pani, już tak jest na tym świecie, że ludzie ciągną do zbiegowiska – rzekł, na co kelnerka wzruszyła ramionami i odeszła.

Na ulicy obejrzał się, dostrzegł zaparkowany przed bramą samochód bez oznakowań; w środku nie było nikogo.

– To ten? – spytał Marty.

Kiwnęła głową. A więc gliniarze ruszyli się wreszcie, może poszli do Salana, a może zrobiło im się gorąco, bo samochód stał w pełnym słońcu.

– Idziemy do Figata – powiedział.

Ulica Przejazd była przecznicą zaczynającą się niedaleko, niemal tuż obok skwerku, na którym niedawno siedziała Marta. Coś na tym skwerku zwróciło uwagę Marka, ale dopiero gdy przeszli przez jezdnię dostrzegł, że od rosnących w głębi krzaków nadciąga Broniek w towarzystwie Peta i nieznanego mężczyzny ubranego w sfatygowaną marynarkę i jasną koszulę nieokreślonego koloru.

– Hej, Koniu! – usłyszał chrapliwy, nadwerężony nieustającą libacją głos Bronka.

Mógł pójść dalej, nie zagradzali mu drogi, nadchodzili z boku, i pewnie poszedłby, gdyby wciąż jeszcze był w porannym nastroju, ale nie był, słońce nie świeciło już tak pięknie jak przed godziną; prawdę mówiąc nie widział słońca, spokój został zburzony oczekiwaniem na wizytę na komendzie, czuł w sobie wrzenie, które powodowało świerzbiecie rąk. Zaczepka Bronka była niespodziewaną szansą na rozładowanie się, na odzyskanie spokoju.

– Zaczekaj tutaj – powiedział do Marty. – Gdybym oberwał, to biegnij do domu i powiedz Salanowi, gdzie mnie szukać.

– Marek, zostaw! – szepnęła dziewczyna i kurczowo chwyciła go za rękę.

Uwolnił się delikatnie, ale stanowczo. Spojrzał w wąską aleję prowadzącą w głąb skwerku. Stali kilka metrów od niego. Broniek wielki, prawie kwadratowy, o potężnych barach wypychających zniszczoną i brudną koszulę, z ciężką głową zwieszoną nieco na lewe ramię, z zarośniętą zwierzęcą twarzą kretyna. Pet nieduży, w zbyt luźnych spodniach, w butach Chaplina, w koszuli po starszym bracie, z grymasem niepewności na wąskich ustach, grymasem, który unieruchomił ruchliwą zazwyczaj twarz. No i ten trzeci, nijaki, trochę podobny do Bronka, trochę do Peta, po prostu łach.

Marek ruszył. Dopadł ich w kilku krokach, zaskoczył zdecydowaniem, szybkością. Otwartą dłoń chwycił Peta za twarz, ścisnął mocno i pchnął: Pet majtnął kozła. Nieznanego postraszył zwodem, tamten odskoczył kilka metrów. I tak oto został sam na sam z Bronkiem.

– Tylko trzech was? – zapytał, krzywiąc się pogardliwie. – Gdzie zgubiliście Cygana? Może w czterech by wam jakoś poszło.

Broniek właśnie pojął, że nie ma już pomocników i że powinien sam walczyć. Zamachnął się potężnie i w tej samej chwili otrzymał dwa kolejne ciosy, w szczękę i nasadę nosa, po których zwałił się jak kłoda.

– Nieźle! Całkiem nieźle. Myślę, że w czterech poszłoby im równie kiepsko – usłyszał.

Odwrocił się. Głos był znajomy, człowiek także, ale zwiódł Marka szary cywilny garnitur, bo

widział tego człowieka tylko dwa razy w życiu i zawsze w mundurze, więc dopiero po upływie kilku sekund skojarzył, kim on jest. Sierżant, tak, Wolski, tak, to jego znokautował przed dziewięciu laty pod ścianą Kołchozu, a potem rozmawiał z nim w celi na komendzie, dwa dni po zatrzymaniu. Wolski był trochę podobny do zwariowanego szeryfa z filmu „Konwój”, tyle że młodszy. Miał taką samą jasną twarz i zdrowe zęby, które lubił pokazywać w szerokim, nieco szyderczym uśmiechu.

Na długo przed aresztowaniem Marek nasłuchiwał się wielu opowieści o tym, jak to gliniarze przychodzą do celi wyrównywać rachunki, więc gdy zobaczył Wolskiego w drzwiach, z obandażowaną głową, bladego, wstał szybko z pryczy i zajął obronną pozycję pod ścianą. Wolski też pewnie znał podobne opowieści.

– Nie przyszedłbym sam, gdybym chciał cię bić. Przecież widzisz, że ledwo stoję na nogach – powiedział.

Potem poinformował go krótko, że wycofał z protokołu notatkę służbową dotyczącą starcia między nimi.

– Roczek mniej w twoim wyroku – powiedział wychodząc. – Nie wiem dlaczego, ale polubiłem cię, chłopcze.

Sierżant Wolski był jedynym bezinteresownie życzliwym człowiekiem, jakiego Marek spotkał w tamtych dniach. Dlatego go zapamiętał.

– Dowiedziałem się, że wróciłeś do miasta i że szuka cię podkomisarz Michalski. Nie wiem, czego on może chcieć, ale tak sobie pomyślałem, że nie zdążyłeś jeszcze przeskrobać niczego poważniejszego i lepiej będzie, jeśli to ja cię znajdę, a nie jego wywiadowcy – powiedział Wolski ujmując Marka pod ramię. Zaraz go zresztą puścił; był to po prostu gest sympatii. – Wywiadowcy mogliby mieć kłopoty, które szybko stałyby się twoimi kłopotami, chłopcze. A mnie... po starej znajomości... chyba nie odmówisz, co?

Marek uśmiechnął się.

– Nie odmówię – rzekł swobodnie. Odzyskał spokój; rozładował się w starciu z Bronkiem, a oczekiwanie na doprowadzenie na komendę było niespodziewanie krótkie.

– Jeśli przyjmiesz radę od starszego i bardziej doświadczonego człowieka... – Wolski zawiesił głos.

– Przyjmę.

– Bez względu na wszystko, zachowaj zimną krew.

– Dobrze. Widzi pan, ja znam Michalskiego i wiem, czego on ode mnie chce.

– Tym lepiej. Jedziemy, co? – Wolski wskazał zaparkowanego przy chodniku czerwonego malucha.

Marta stała w odległości kilkunastu metrów. Splecione dłonie mocno przyciskała do piersi. Wpatrywała się w Marka intensywnie. Kiwnął jej uspokajająco głową. Wolski dostrzegł to.

– Ją też mogę zabrać – powiedział. – Poczekaj przed komendą.

Marek przywołał dziewczynę.

– Myślę, że nieźle namieszałeś wracając. Miałeś współników od tamtych skoków. Nie sprzedałeś ich. Teraz mogą się poczuć zagrożeni. Ten typek wkurzył się na ciebie – rzekł Wolski wskazując Bronka odchodzącego w głąb skweru. – Możliwe, że go ktoś napuścił. Powinieneś uważać, bo takich jak on, a nawet gorszych, jest u nas kilku. To miasto to na oko spokojna dziura. Ale tylko na oko.

Krzesta ustawione wzdłuż ścian tego korytarza świadczyły, że służył on za poczekalnię. Drzwi po obu stronach było wiele. Wolski zniknął za oznaczonymi numerem sto dwa.

Marek przespacerował się korytarzem, wyjął paczkę papierosów, obejrzał ją z niesmakiem i schował do kieszeni. Usiadł.

Ten korytarz... Dziewięć lat temu właśnie tutaj, na pierwsze piętro, przyprowadzano go na przesłuchania. Nie pamiętał tylko, do którego pokoju, do tego czy do następnego. Przyglądał się drzwiom próbując znaleźć w nich jakiś szczegół, który uruchomiłby oporną pamięć i pozwolił na identyfikację, a jednocześnie próbował zgadnąć, czy Gebels świadomie wybrał to miejsce, czy też

stale tu urzęduje.

W otwartych drzwiach pojawił się Wolski i przywołał go ruchem dłoni. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko mrugnął porozumiewawczo. Nie mógł mówić; parę kroków za jego plecami widać było ostro zarysowaną na tle jasnego okna sylwetkę mężczyzny siedzącego przy biurku.

Okno... I ta sylwetka na jego tle... Marek wszedł. Mężczyzną siedzącym przy biurku był Gebels. Marek złowił jego niespokojne spojrzenie i dostrzegł krótki ruch dłoni markujący powitanie, ale nie odpowiedział na to, szybko okrążył biurko, podszedł do okna i dotknął dłonią czegoś, w co wpatrywał się godzinami dziewięć lat temu, gdy zaciął się w uporze i odmówił zeznań: kwadratowego występu w ścianie, szerokiego na dwie cegły, służącego przesłuchującym go policjantom za podstawkę do wielkiej, zawsze pełnej petów popielniczki. Dziś również popielniczka tam stała, tym razem pusta.

– Czy to jest także w sąsiednim pokoju? – zapytał o poklepując występ muru.

Odwrocił się, zobaczył Wolskiego wciąż stojącego w otwartych drzwiach.

– Nie, to jest tylko w tym pokoju – powiedział o Wolski. Cofnął się i zaczął zamykać drzwi.

– Fajne miejsce wybrałeś, Gebels – rzekł Marek głośno, bardzo głośno, na użytek Wolskiego. – Dziewięć lat temu właśnie tutaj mnie przesłuchiowano.

Gebels wstał, uczynił ruch, jakby chciał wyciągnąć rękę, potem przestąpił z nogi na nogę, spuścił głowę i powiedział:

– Nie denerwuj się, nie moja wina, nie wiedziałem o tym. Ja po prostu tutaj pracuję. Nie chciałem tego spotkania, a przynajmniej nie tu, na komendzie. W ogóle to dzwoniła Zosia i już miałem wszystko odwołać, ale akurat Wolski ciebie przywiózł...

– Rozumiem. Nie ma sprawy. Nie gniewam się i spadam – rzekł Marek i okrążając biurko ruszył w stronę drzwi.

– Poczekaj! – Gebels wyciągnął rękę, jakby chciał złapać Marka za ramię, zaklął pod nosem i cofnął się; musiały go męczyć te niedokończone gesty. – Jak już jesteś, to możemy pogadać.

Marek powoli wrócił do biurka. Gebels miał za plecami jasne okno, dlatego Marek dopiero z bliska wyraźniej zobaczył jego twarz, ale nawet w tej wyrazistości było jakieś skrzywienie, a Gebels na dokładkę garbił się – i Marek miał wrażenie, że stoi przed nim stary zmęczony człowiek.

– My mamy gadać? My? – zapytał drwiąco. – O czym? Może o tym, co wydarzyło się dziewięć lat temu, zanim pierwszy raz trafiłem do tego pokoju? Ale to chyba nieciekawy dla ciebie temat. więc może o tym, co jest dzisiaj? Ale to też nieciekawy temat. Dzwoniła przecież Zosia. Jeśli bałeś się o własną dupę, to już wiesz, że nie musisz się bać. Więc o czym mamy gadać?

Gebels bezradnie unióśł dłoni.

– Nie wszystko było tak jak myślisz – powiedział. Wtem skrzypnęły drzwi. Gebels spojrzał i odetchnął z ulgą. – Jest pan nareszcie!

Marek odwrócił się. W progu stał Mokrzycki. Z białymi włosami, z opaloną twarzą, ubrany w trzyczęściowy garnitur z jasnoszarej flaneli, wyglądał jak emerytowany dyplomata na wakacjach.

– Jestem – potwierdził. – Czy coś się stało?

– Nic – odparł Marek. Pomyślał o swojej wczorajszej wściekłości na tego eleganckiego dziadka i zachciało mu się śmiać.

Tymczasem Gebels okrążył biurko i Marka, aż znalazł się przy drzwiach.

– Dzwoniła Zosia – powiedział do Mokrzyckiego.

– Wiem. Do mnie też.

– No to idę.

– Chwileczkę, Gebels! – zawołał Marek. Gebels spojrzał przez ramię. – Rudego zdzieliłem, ale Rudy to gnida. Ty jesteś pierwszy, do którego zgłosiłem jakieś pretensje, na którego trochę wsiadłem – powiedział Marek podchodząc. Dodał, kciukiem wskazując za siebie: – Myślę, że to przez ten pokój.

Gebels znieruchomiał. Jak na możliwości Konia, były to wręcz formalne przeprosiny. I Gebels

odruchowo chciał wyciągnąć rękę, bo Marek zatrzymał się tak blisko, że wprost prowokował do tego gestu. Jednak Gebels w porę zrozumiał, że przeprosiny nie oznaczały zgody, ogólnej zgody.

– W porządku – mruknął.

Mokrzycki z aprobatą skinął głową.

– Myślę, że dalsza rozmowa jest niepotrzebna – powiedział. – Już wczoraj uważałem, że zbyt panikujecie. Kiedy spotkaliśmy się przy kartach, nie wyglądał pan na człowieka ogarniętego szaleńczym pragnieniem zemsty. A propos: ponawiam zaproszenie na dziś wieczór. Mam nadzieję, że dysponuje pan odpowiednią kwotą, żeby zagrać w prawdziwego pokera.

– Jaka kwota według pana jest odpowiednia?

Mokrzycki zawahał się.

– Powiedzmy... dwadzieścia tysięcy. Tyle wystarczy panu na kilka rozdań.

– A więc jest pan pewny, że przegram? – Marek uśmiechnął się.

– Och, to zależy od pana formy, od formy partnerów i od tego, co przyniesie karta – Mokrzycki mówił powoli, wyraźnie, z namaszczeniem, z pełną świadomością faktu, że wszystkie wypowiedziane przez niego słowa są ważne. Brzmiało to sztucznie i śmiesznie, szczególnie gdy się pamiętało, że człowiek ten na rzeczywistą władzę i jego słowa często bywają rozkazami. To, że musiał się podpierać godnością na pokaz, sugerowało istnienie jakiegoś kompleksu, jakiejś małej, ale jątrzącej się ranki. – Przeanalizowałem naszą wczorajszą grę i upieram się przy tym, co powiedziałem: miał pan wielkie niespotykane szczęście, które szybko nie może się powtórzyć. Z siedmiu rozdań wygrał pan pięć, z czego trzykrotnie był pan sprawdzany. Gdyby wszystkie sprawdzenia odbyły się podczas pana rozdań, mógłbym podejrzewać jakiś szwindel, ale to niemożliwe, bo tylko jedno rozdanie było pańskie, a dwa moje. Trudno, żebym rozdawał na pana korzyść. Jeszcze raz powtarzam: miał pan wielkie, niespotykane szczęście. Taka passa nie może się szybko powtórzyć.

Gebels, który stał w progu i trzymał rękę na klamce, jakby wciąż zamierzał wyjść, nagle szybko spojrzał na Mokrzyckiego, potem na Marka, potem znów na Mokrzyckiego. Zawahał się, przygryzł wargi.

Marek roześmiał się cicho. Gebels napotkał jego wzrok i zmieszał się.

– Mów, Gebels! – zachęcił go Marek. – Mów. Przecież i tak powiesz, kiedy wyjdę.

Mokrzycki przyjrzał się im z zainteresowaniem.

– O co chodzi? – spytał.

– Drobiazg! – Marek machnął ręką. – Mój koleżka właśnie przypomniał sobie, że ze mnie był kiedyś całkiem niezły szuler.

– Aha! – mruknął Mokrzycki.

Marek spojrzał na Gebelsa.

– Ty frajerze! – wycedził. – Chciałeś być lojalny na dwie strony. To zwykłe służalstwo. Jesteś frajerem!

Gebels podniósł głowę. Był czerwony, oczy miał błyszczące; napięta skóra na szerokich szczękach falowała szybko, jakby kłębiły się pod nią stada drobnych robaków.

– Pozwalasz sobie! – warknął. – Pozwalasz sobie tylko dlatego, że kiedyś zgodziłem się uczestniczyć we wkopaniu ciebie. A zrobiłem to, bo nie miałem innego wyjścia, bo chciałem dojść do czegoś bez niepotrzebnej edukacji w czterech ścianach celi. Ja dużo zniosę, Koniu, bardzo dużo, ale uważaj, żebyś nie przeholował, bo wtedy szybko pokażę ci, kto z nas jest kim i jaka jest między nami różnica.

Marek przyglądał mu się spokojnie, chociaż ten spokój służył mu tylko za maskę; czuł, że coś istotnego zaczyna mu wymykać się z rąk. Gebels powtórzył słowa Figata: „Nie miałem innego wyjścia”.

– Frajer jesteś i frajerem zostaniesz – powiedział. – Grozisz, a powinieneś być grzeczny. Zapominasz, że jednym słowem mogę wyrównać różnicę między nami. Frajer jesteś. Z frajerem nie ma rozmowy. Zejdź mi z drogi. I zadzwoń na dyżurkę, żeby mnie wypuścili. No!

Gebels nacisnął klamkę i powoli otworzył drzwi. Nie spuszczał oczu z Marka. Stada robaczek

wciąż kłębiły się pod skórą opinającą szczęki, ale rumieńce na policzkach ustępowały miejsca bladej. Myślał: „Rudy ma rację. Alis też. Konia trzeba załatwić radykalnie. Swobodny, wolny, ż y w y , pozostanie wiecznym zagrożeniem”.

– Panowie, jesteście jeszcze bardzo młodzi i w bardzo gorącej wodzie kąpani – powiedział Mokrzycki. – O byle co skaczecie sobie do oczu. W ten sposób nie można rozmawiać. Pojmuję, że bezwarunkowy pokój jest między wami niemożliwy, ale proponuję zawieszenie broni, bo każda wojna, jak zwykle, przyniesie tylko chaos i zniszczenie. Uznajmy, że wymiany zdań nie było, że nie będziecie sobie nic udowadniać. Czy moje propozycje są do przyjęcia?

Marek wzruszył ramionami.

– Ja mogę je przyjąć – rzekł.

– Ja też – mruknął Gebels.

– Wspaniale! – ucieszył się Mokrzycki. – Jeżeli obaj nie macie nic przeciwko temu, proponuję, żebyście podali sobie ręce. Mam nadzieję, że nie będzie to tylko pusty gest.

Marek spoważniał.

– Nie mam nic przeciw niemu – powiedział patrząc na Gebelsa; ten dosyć szybko ugiął się, spuścił wzrok i głowę. – Nie mam nic przeciw nim wszystkim. Są mi obojętni. W miarę obojętni. Ale to nie znaczy, że zaraz każdemu z nich muszę fundować grabę. Rozumie pan? – zapytał spoglądając na Mokrzyckiego.

Ten kiwnął głową.

– Rozumiem.

Gebels nagle ucieszył się, że przed kilkoma minutami nie wyciągnął do Konia ręki. Podniósł głowę.

– Ja też rozumiem – powiedział. Zaciśnął zęby, gdy Koń uśmiechnął się do niego prawie serdecznie.

– No i dobrze, Gebels. Bardzo lubię jasne sytuacje. Pamiętaj, że przed chwilą zawarliśmy rozejm.

– Będę pamiętał.

– Zosia wspomniała mi, że zamierza pan pozostać w mieście i urządzić się tu jakoś. – Mokrzycki wolał zmienić temat. – Niezależnie od wyników dzisiejszego pokera deklaruję swoją pomoc.

– Więc zagramy? – Marek zdziwił się szczerze. – Nie przestraszyła pana moja szulerka?

Mokrzycki uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Proszę pana, jeśli o to chodzi, ja także nie wypadłem sroce spod ogona. Rozumiem, że w kartach, gdy stawką są duże pieniądze, nie ma miejsca na dżentelmenerię, więc nie żądam od pana gry uczciwej, ale zawsze mogę się jakoś zabezpieczyć. Wynajmę na przykład krupiera. A poza tym nie bardzo wierzę w tę całą szulerkę. Grałem już z panem i jestem gotów się założyć, że grał pan uczciwie. Mam ochotę na rewanż. Jeszcze raz zapraszam pana do kasyna. Powiedzmy na dziesiątą. Zgoda?

Marek roześmiał się.

– Zgoda. Ten pomysł z krupierem jest całkiem niegłupi – powiedział. – Z panem chciałbym wygrać uczciwie. Ale szulerka to ciężki nałóg.

– Dziękuję za szczerść. Pomyślę o krupierze. O kimś, do kogo pan również miałby zaufanie.

– Dobrze. W takim razie do wieczora. Mogę iść? – Marek spojrzał na Gebelsa.

– Jasne! – Gebels odsunął się od drzwi. Otarł się przy tym o Marka i z trudem powstrzymał wzdrygnięcie. „Nienawidzę go!” – pomyślał. „Nienawidzę go, jak Rudy!” W sumie nie był tym zdziwiony. Zaczynał uświadamiać sobie, że nienawidzi Konia od dawna, od dnia, w którym uległ perswazjom Anki i zgodził się go wkopać. Co tę nienawiść wywołało? Krzywda, którą Koniowi wyrządził? Czy też przecucie zagrożenia, które musi powstać, gdy Koń wróci z więzienia?

Marek, który był już niemal na korytarzu, nagle zawrócił. Przeszedł szybko przez pokój i z dziwną zachłannością dotknął kwadratowego występu w ścianie. To go jakby otrzeźwiło. Dostrzegł zdziwione spojrzenia obu mężczyzn, zmieszał się i prawie biegiem wypadł z pokoju. Na korytarzu

zawahał się, jakby chciał wrócić, potem cicho zamknął drzwi i ruszył w stronę schodów. Nie wiedział, jak wydostał się z budynku. Na ulicy oślepiło go słońce, a gorące powietrze czerwcowego dnia na chwilę zatamowało oddech. Potem zobaczył Martę, poczuł jej dłoń na przedramieniu, i odczekał z ulgą, i zaczął się śmiać, głośno, bardzo głośno, i długo, tak długo, aż oczy zaszyły mu łzami, aż zmęczenie zaczęło dławić krtań, a gdy już był bardzo zmęczony i nie mógł się śmiać, przytulił Martę i powiedział cicho, wyszeptał:

– Chodźmy stąd, kochanie, chodźmy do Figata.

Bo ugruntowała się w nim pewność, że chce poznać prawdę, prawdę ludzi, którzy go kiedyś wkopali, a tylko Figat w swym pijanym człowieczeństwie mógł ją przedstawić całą i nagą, bez osłonek i upiększeń.

Mokrzycki wyjrzał na korytarz, jakby chciał sprawdzić, czy Marek rzeczywiście poszedł, po czym dokładnie zamknął drzwi i zaczął spacerować po pokoju, przyglądając się siedzącemu za biurkiem Gebelsowi, nachmurzonemu, ponuro wpatrzonemu w kwadratowy występ ściany. Trwało to kilkadziesiąt sekund, wreszcie Mokrzycki podszedł do występu, uderzył weń palcami i zapytał patrząc na Gebelsa ironicznie:

– Zahipnotyzował cię tym? Co to właściwie było?

Gebels zamrugał powiekami, spojrzał na Mokrzyckiego, znów zamrugał powiekami, przetarł dłonią oczy i uśmiechnął się niepewnie.

– Ja zapomniałem o tym, ale kiedyś, dawno, kiedy zaczynałem służbę, mój poprzednik na tym stanowisku, który wprowadzał mnie w pracę wydziału... – urwał się, zastanowił i przymknąwszy oczy kontynuował: – On opowiedział mi o pewnym chłopaku, a właściwie o sprawie, bo ten chłopak to właśnie była cała sprawa. Trudna sprawa. A wydawała się łatwa, bo chłopak wpadł na gorącym, nie musiał się nawet przyznawać do winy, ale trzeba było znaleźć jego współników. Chłopak zaciął się w milczeniu, nic go nie ruszało, nawet nadzieja, że gdy zacznie mówić, to wyjdzie mu to na korzyść, bo zdoła wykręcić się zawieszeniem, pierwsze przestępstwo, ojciec pijak, kryminogenne środowisko Przychodnia, ale ukończona dobra szkoła, rozumie pan... Chłopak jednak milczał i tylko wpatrywał się w ten „wieszak spojrzeń”, jak to nazywał mój poprzednik. Zasłaniano mu to na różne sposoby, ale on wciąż się wpatrywał w ten wieszak, wciąż go widział, nawet poprzez zasłony, nawet poprzez ludzi... – Gebels urwał, westchnął i jakby z pretensją spojrzał na występ.

– To był on? – Mokrzycki ruchem głowy wskazał drzwi.

– Tak. A ja o tym zapomniałem! Inaczej rozmawiałbym z nim w innym pokoju...

Mokrzycki nieznacznie wzruszył ramionami.

– Nie przejmuj się pierdołami – rzekł strofująco. – Lepiej mi powiedz, czy on naprawdę jest tak dobrym szulerem?

– Był – stwierdził Gebels krótko. Niewielki występ muru wciąż przyciągał jego wzrok. Próbował zgadnąć, czy ten „wieszak” – te kilka cegieł przykrytych tynkiem i farbą – rzeczywiście pomógł Koniowi zachować milczenie – i sam się w niego teraz bez przerwy wpatrywał. Jak zahipnotyzowany. Kiedy to sobie uświadomił, zaczął patrzeć na Mokrzyckiego, ale i tak co kilkanaście sekund wracał spojrzeniem do „wieszaka”.

– Był? – powtórzył Mokrzycki.

– Nie wiem, jaki jest teraz. Kiedyś tasując potrafił układać wspaniałe spotkania pokerowe dla dwóch, a nawet trzech osób.

– Sądzisz, że wciąż to potrafi?

– Kto wie, może nawet lepiej niż kiedyś.

– No tak... A forsa? Może mieć tyle forsy, żeby ze mną zagrać?

– Nie mam pojęcia, gdzie obracał się przez pięć lat i co robił. Lubił forszę. Przecież w końcu dla forsy robiliśmy te wszystkie skoki. Jeśli kradł... Albo grał... Nie wiem.

Mokrzycki pomyślał o młodym Kierbałaju, który po rodzicach odziedziczył niezłą sumkę i dosyć skutecznie ją pomnażał. A przecież to on wprowadził Konia do kasyna.

– Zostawmy to! – rzekł niecierpliwie, a nawet karcąco, jakby obawiał się, że Gebels zacznie coś

mówić. – Ma czy nie ma forsy, to nieważne, o tym dowiem się dziś wieczorem. Teraz chciałbym zadzwonić do Zosi. Prosiła, żebym ją poinformował, jak nam z nim poszło.

– A właściwie to jak nam poszło? – zapytał Gebels ironicznie.

Mokrzycki spojrział na niego mrużąc powieki, a potem bez słowa sięgnął po słuchawkę.

W mieszkaniu Zosi dwa dzwonki rozległy się jednocześnie, telefoniczny i przy drzwiach. Na szczęście była Anka, więc podzieliły się zadaniami: Anka odebrała telefon, a Zosia poszła otworzyć drzwi.

Zosia była trochę zaskoczona widokiem Wandy.

– Nie wyjechaliście? Gdzie Rudy? – zapytała podejrziwie.

– U matki – odpowiedziała Wanda. Była blada, podobnie jak Zosia i Anka, miała podkrążone oczy i wyglądała na zmęczoną. Ale było coś szczególnego w wyrazie jej bladej twarzy, co zdziwiło i zaniepokoiło Zosię. Wanda dostrzegła to zaniepokojenie i odczytała je po swojemu. Zapewniła pospiesznie:

– Bądź spokojna, zamelinował się dokładnie, nawet nosa od rana nie wyściubił.

– Co ci jest?

– Co ma być? – spytała Wanda zaczepnie. – Nic. Jestem skonana. Wpuścisz mnie?

– Oczywiście. Wejść, proszę.

Anka tymczasem odłożyła słuchawkę.

– Józek? – Zosia spojrziała pytająco.

– Tak.

– I co?

Anka zatarła ręce i roześmiała się.

– Wszystko dobrze! – powiedziała szybko. Od spotkania z Koniem wciąż czuła dziwne podniecenie. – Rozmowy prawie nie było. Trochę się wściekł na Gebelsa, ale wszystko jest w porządku. Potwierdził, że do nikogo nie ma pretensji.

– Marek? – spytała Wanda. Jej wielkie niebieskie oczy zajaśniały gorączkowo.

– Marek – potwierdziła Zosia. – Widziałam się z nim może godzinę temu. Anka też, jeszcze przede mną. Do nikogo nie ma pretensji, a nasze życie, siostró, nic go nie obchodzi.

– A Rudy?

– Rudy też.

– Więc... – Wandzie zabrakło tchu. Odchrząknęła. – Więc dlaczego go pobił?

– Nie pobił go, tylko raz dał mu w twarz – sprostowała Anka. – Za to, jak sama wczoraj twierdziłaś, że Rudy jest Rudy. I że mu wczoraj podskakiwał.

– Więc my... Więc można już wyjść? Nie chować się?

– Można! – potwierdziła Zosia stanowczo. – Niepotrzebnie wczoraj tak panikowaliśmy. Marek jest zupełnie inny niż kiedyś. Teraz można z nim żyć.

– Ja...! – Wanda zająknęła się. Znowu zabrakło jej tchu. Zbladła jeszcze bardziej i wyglądała dość upiornie z wielkimi, błyszczącymi gorączką oczami. – Ja muszę do Rudego! Zaraz! Już!

– Co ci jest, Wandziu? Poczekaj, posłuchaj...

Ale Wanda nie słuchała. Odwróciła się i wybiegła z mieszkania trzasnąwszy drzwiami. Zosia ruszyła się, jakby chciała za nią pobiec, jednak zrezygnowała i tylko pokręciła głową.

– Nie podoba mi się to – powiedziała, fraszobliwie marszcząc czoło.

– Zwariowana mała! – Anka pobłażliwie machnęła ręką. – Nie wiedziałam, że tak bardzo przejmuję się Rudym. Poleciała przekazać mu radosną nowinę. Wiesz co, zróbmy jej kawał i zadzwońmy do niego, że może już wyjść z nory. Może spotkają się gdzieś po drodze.

– Zadzwon, jeśli chcesz. Ale mnie się Wanda nie podoba.

Anka zadzwoniła.

Rudy rzeczywiście natychmiast wyszedł ze swojej nory, bo choć w zasadzie był domatorem i lubił przebywać w czterech ścianach, to jednak przymus działał na niego przygnębiająco. Ucieszył

się słońcem i swobodą, i ruszył Willową w kierunku centrum, i rzeczywiście spotkał, ale nie Wandę, tylko Marka z Martą. Na ich widok cofnął się odruchowo i trafił plecami na ciężkie żelazo furtki prowadzącej do jego własnej willi.

Marek łagodnie odsunął Martę i powoli zbliżył się do Rudego. Ten czuł, jak coś trzepotliwego, drżącego, kuli się w nim ze strachu, ale – wsparty mocno plecami o nagrzane pręty furtki – pozostał wyprostowany, a nawet hardy.

– Popatrz, człowieku, spotkaliśmy się dokładnie w tym samym miejscu co wczoraj – powiedział Marek.

Rudy bezradnie zamrugnął powiekami, a potem szybko kiwnął głową. Chciał odetchnąć z ulgą, bo głos Konia brzmiał prawie przyjaźnie, ale bał się zapeszyć, i jednocześnie czuł, jak zaczyna w nim krzepnąć to coś trzepotliwego, drżącego, jak przestaje się kulić, jak tężeje.

A Marek... Marek patrzył na obrzękłą, zsiniałą twarz Rudego, na nos spuchnięty do wielkości porządnego kartofla i myślał, że ten człowieczek miałki, gumowy, nadmuchiwany, też ma prawo do spokojnego życia, do takiego życia, jakie sam wybierze. I chciał... chciał się zdobyć na jakiś gest, na jakieś słowa, które mogłyby chociaż w części wynagrodzić Rudemu wczorajsze, ale żadne słowa nie chciały przejść przez gardło, a ręce... ręce odruchowo zaczęły zwijać się w pięści. Po prostu nie cierpiał tej gnidy, nie cierpiał do bólu, do fizycznej udręki, i gdy teraz patrzył na niego, widział swoje siostry, widział je chodzące nago i ciągnące mu druta na każde zawołanie.

– No, bywaj, stary! – powiedział pospiesznie i ruszył Willową, żeby uciec od ogarniającej go wściekłości, żeby nie dopuścić do rękoczynów, bo wiedział, że teraz nie poprzestałby na jednym ciosie, że teraz biłby tak długo, aż...!

Marta dogoniła go po kilkunastu krokach.

Wanda spotkała Rudego przy dworcu autobusowym.

– Marek... – zaczęła, ale po raz kolejny zabrakło jej tchu.

– Tak, wiem. Spotkałem go przed chwilą na Willowej – oznajmił Rudy spokojnie. – Był z siostrą Salana.

– I co?

– Nic. Prawie podał mi rękę – rzekł Rudy i splunął. – Zdaje się, że w tym mieście będzie dosyć miejsca dla nas dwu. Na razie.

– Ale... Przecież... – Wanda walczyła z oddechem. Za każdym razem, kiedy brakowało jej tchu, czuła piekący ból w okolicach mostka, a potem jakiś niemiły chłód spływający po wewnętrznej stronie żeber. – Przecież ci ludzie...! Oni na niego polują! Trzeba ich natychmiast odwołać, i bo może się stać wielkie nieszczęście!

Rudy zmierzył ją powolnym, zimnym, taksującym spojrzeniem.

– Co mnie to obchodzi? – spytał krzywiąc się złośliwie. – Ty ich załatwiałaś, ty ich odwołuj.

– Ty świnię – syknęła, na co Rudy wzruszył ramionami i odszedł, zostawiając ją wściekłą, przerażoną i bezradną. Samotną.

Musiała coś zrobić! Musiała natychmiast odwołać tych ludzi!

Rozejrzała się odruchowo, jakby gdzieś tutaj, na ulicy, mogła znaleźć rozwiązanie sytuacji. I znalazła. Kilka metrów dalej, na ścianie domu, dostrzegła automat telefoniczny. Uśmiechnęła się i odetchnęła głęboko, miło zaskoczona faktem, że płuca znów bez trudu przyjęły większą ilość powietrza. Telefon! O tak, telefon do Grzegorza, a on niech działa, niech odwołuje tych ludzi.

Dopadła automatu. Na szczęście Grzegorz był w domu. Zrozumiał ją natychmiast, choć mówiła dosyć chaotycznie: widocznie mocno ciążyła mu ta sprawa.

– Dobrze! – zgodził się. – Zaraz jadę do Burego. Powiniennem go jeszcze złapać, takiej roboty chyba nie zaczyna się w biały dzień. Jak się z tobą skontaktować?

Wanda dostrzegła po drugiej stronie ulicy znaną im obojgu zaciszną kawiarenkę.

– Będę w „Magnolii” – powiedziała.

– Słuchaj... – Grzegorz zawahał się. – Nie wiem, jak będzie z zaliczką. Może przepaść.

– Niech przepada! – Wanda bez żalu pomyślała o tysiącu dolarów. Jeszcze w nocy zaciągnęła

Rudego do domu i ten – drżącymi z chciwości rękami – wypłacił jej dwa.

– Ale to moja forsa! – zaprotestował Grzegorz ze złością.

– Mam tę forszę! Rudy dał! – krzyknęła zniecierpliwiona. Że też zawsze musi trafić na skapca. – Odwołaj tych ludzi i przyjeżdżaj do „Magnolii”. O resztę się nie martw. Rozumiesz?

– Rozumiem.

Gdy wyszli na Ku Słońcu, Markowi odechciało się iść do Figata. Przynajmniej chwilowo. Bo obejmował ramieniem Martę, a oczami wyobraźni widział szeroką wygodną kanapę i wszystko to, co się na niej w nocy zdarzyło.

Przed bramą nie było policyjnego wozu. Marek przytulił Martę i nie musiał wcale tłumaczyć, o co mu chodzi.

– Sprawdzę, może nikogo nie ma – szepnęła.

Pobiegła z radością. Wróciła po minucie, zgaszona: niestety w domu było pełno ludzi.

– Jest obiad – powiedziała i spojrzała na Marka pytająco. – Pójdziemy?

– Wolę iść do Figata.

Gdy przechodzili obok skwerku, przypomniał sobie nagle, że przed dziewięciu laty skwerek ten łączył się z parkiem, starym i zaniedbanym, mocno zdziczałym, a park ciągnął się aż do zakrętu rzeki i obfitował w ustronne miejsca. Również na brzegu rzeki nie brakowało piaszczystych łąch szczególnie zasłoniętych krzakami. Miłość na łonie natury. Czy jest coś piękniejszego?

Figat był ogolony, miał umyte włosy, nawet założył czystą koszulę i świeżo uprane dżinsy. Wyglądał tak, jakby przygotował się na odwiedzin y kochanki. Teraz, gdy spod zarostu i brudu ukazała się prawdziwa jego twarz, bardzo przypominał dawnego Figata, bardziej niż się Marek spodziewał. Była w jego twarzy nie zatarta młodzieńcza świeżość, wyraźnie widoczna mimo worków pod oczami, niezdrowych rumieńców, spieczonych ust – tych wszystkich objawów kaca.

Na widok Marty Figat lekko unióśł brwi. Potem kiwnął głową i uśmiecnał się z uznaniem. Ale zaraz skrzywił się i obejrzał Marka dokładnie. Nie wytrzymał, dotknął jego spodni na wysokości pasa, tam gdzie mógł się spodziewać jakiejś butelki.

– Nic nie masz? – spytał rozczarowany. Wpuścił ich do mieszkania i dodał: – Tamtego łyskacza strąbiłem do końca. Suszy mnie jak cholera.

– Nie mam. Nie pomyślałem.

Odrapane ściany, stół, cztery krzesła, umywalka przy drzwiach, okno szare od brudu, tapczan przykryty kocem, wąska kanapa, zniszczony regał pełen książek, stary magnetofon szpulowy, zeschłe kwiaty w zielonym wazonie, skrzypiące deski podłogi pokryte liszajami orzechowej farby. Ten specyficzny chłód mieszkania traktowanego jak pokój hotelowy. Nieprzytulność. Ale w ułożeniu książek na regale i we względnej czystości podłogi znać było ślady niedawnych porządków. Może Figat rzeczywiście czekał na kochankę. Na Zosię?

– A forszę masz? – spytał Figat z nadzieją.

Marek sięgnął do kieszeni.

– Ja nie piję – zastrzegł się. – No, może jednego. Ile potrzebujesz?

Figat zawahał się.

– Daj na całego. Albo... na półtora.

Marek wręczył mu pieniądze.

– A nie lepiej... – Teraz on się zawahał. – No, mieliśmy pogadać.

Figat spojrzał na niego spod oka.

– Gdyby tak Salan zaproponował ci rozmowę przy butelce, też miałbyś obiekcje? – zapytał.

Marek wzruszył ramionami. Nie odpowiedział.

– No właśnie, nie miałbyś – rzekł Figat. – Ale ja jestem alkoholikiem, ze mną przy gorzale nie pogadasz. Zaraz się urżnę, co?

Marek uśmiecnał się.

– Nie wiem. Zobacze. Zasuwasz po butelkę.

– Tak, zasuwasz. A to... – Figat złapał Marka za ramię i podprowadził do magnetofonu. – A to

poznajesz?

Marek jakoś od razu zrozumiał, o co Figatowi chodzi. Zauważył założoną na magnetofon szpulę, niewielki krążek z zieloną nalepką ozdobioną dwoma wyraźnymi napisami: białym „Scotch” i czerwonym „Koń”.

– Na tej taśmie nic się nie zmieniło – powiedział Figat. – Te same nagrania od początku do końca.

– Te same?

– Tak. Posłuchaj sobie. A ja tymczasem skoczę do sklepu.

Marek przyglądał się taśmie. Pomyślał, że muzyka ma w sobie coś pierwotnego, że odzwierciedla rudymenarne instynkty, że po prostu jest mową serca. Pamiętał przecież, jak aż do bólu tęsknił za nagraniami z tej taśmy, jak w niepojęty sposób odzywały w nim wspomnienia, gdy gdzieś kiedyś usłyszał jeden z tych utworów.

Godzina muzyki, która w jego pamięci stanowiła integralną część młodości, okresu życia dawno już zamkniętego, brutalnie i nieodwołalnie.

Taśma, mały matecznik hard rocka. „Sympathy” zespołu Rare Birds, potem „Child in Time” Deep Purple. „Stairway to Heaven” Led Zeppelin. „Parents” Budgie. „Gipsy Queen” Uriah Heep. „Talk to the wind” i „Epitaph” King Crimson. A na początku... Tak, na początku „Riders of the Storm” The Doors.

Zawahał się, przez chwilę tylko, ale jednak, a potem włączył magnetofon. Odwrócił się, gdy rozległy się dźwięki burzy rozpoczynające „Riders of the Storm”. Figata już nie było. Marta stała w rogu, obok drzwi. Podszedł do niej. Odruchowo przekręcił gałkę zamka yalowskiego. Gdy obejmował dziewczynę, nagle pożałował, że nie poprosił Figata, żeby ten poszedł po wódkę na drugi koniec miasta.

– Chodź – powiedział i poprowadził Martę w stronę tapczanu. Wiedział, że nieobecność Figata nie potrwa dłużej niż dwa, trzy, może cztery pocałunki. Ale w powietrzu drgały klarowne, czyste dźwięki pianina elektrycznego, ale w powietrzu falował spokojny, niemal obojętny głos Jima Morrisona i Marek zapragnął tych dwóch, trzech, może czterech pocałunków.

Nie czekała długo w „Magnolii”, nawet nie zdążyła wypić zamówionej kawy: Grzegorz zjawiał się po niespełna dwudziestu minutach. Próbował się uśmiechać, gdy szedł do stolika i właśnie to, że próbował, zaniepokoiło Wandę. Znowu poczuła, że traci oddech.

Usiadł ciężko, jakby był zmęczony, choć zazwyczaj tryskał energią i poruszał się żwawo. Westchnął. Może nagle uświadomił sobie, że dobiega czterdziestki, że mechanizmy jego ciała coraz częściej zaczynają szwankować.

– Burego już nie ma w domu – powiedział. Brzmienie głosu, smutek wypisany w oczach, opuszczone kąciaki ust: wszystko to świadczyło o rezygnacji. – Już wyszedł na robotę.

Nagła złość pomogła jej odzyskać oddech.

– Jak to wyszedł? Teraz? W biały dzień? Przecież mówiłeś, że takiej roboty nie zaczyna się przed zmrokiem!

– Mówiłem – zgodził się. – Ja mówiłem. Ale ja nie jestem Bury, nie ja decyduję, tylko on.

– Może po prostu wyszedł na spacer?

– Jego dziewczyna powiedziała, że poszedł na robotę – rzekł cicho. – Mówiła, że taka robota i taki zarobek to rarytas, a ostatnio kiepsko u nich z forszą, jak u wszystkich...

– Trzeba coś zrobić! – Wanda pochyliła się nad stolikiem. Serce zaprotestowało bolesnym ukłuciem, więc wyprostowała się szybko i przygryzła wargi powstrzymując jęk. Te fizyczne sensacje i dolegliwości były dla niej absolutną nowością i dlatego potęgowały zdolności do intensywnego przeżywania chwili. Zbyt intensywnego. – Trzeba go jakoś powstrzymać!

– Może wyszedł tylko na rozpoznanie... Nie wziął broni, ale dziewczyna mówiła, że nie powinienem się tym pocieszać, bo Bury chciał sprawę załatwić po cichu, nożem...

– Jezus Maria! Musimy go zatrzymać!

– Ale jak?

– Trzeba pójść na miasto, rozglądać się, patrzeć... Może go gdzieś zobaczymy.
Wzruszył ramionami.
– Już łatwiej odszukać twojego brata i chodzić za nim krok w krok. W ten sposób, prędzej czy później, trafimy na Burego.
– To jest myśl! – Wanda ucieszyła się, prawie klasnęła w dłonie. – To naprawdę świetna myśl!
Grzegorz znów wzruszył ramionami.
– Może i niezła – zgodził się. – Ale najpierw musimy znaleźć twojego brata. Wiesz, gdzie on jest?
Pokręciła głową.
– Nie. Ale Rudy widział go w towarzystwie siostry Salana. Był też dzisiaj na komendzie.
– Kto? Twój brat? – przestraszył się.
– Tak. Ale to nie ma nic wspólnego z nami.
– Gliny mają na niego oko! – powiedział, a głos mu zadrżał. – To cholernie zaczyna śmierdzieć. Już pomyślałem, że nie ma się o co szarpać, niech Bury robi swoje, by będziesz miała Konia z głowy, ale tak to co innego...
– Przecież to mój brat! – zaprotestowała gorąco.
– Dopiero teraz o tym pomyślałaś? – spytał krzywiąc się.
Zamknęła oczy, pozwoliła opaść fali złości, która nagle zdławiła gardło.
– Jesteś głupi – powiedziała cicho. Nagle spojrzała na niego z pogardliwym zainteresowaniem. – Co ta Magda w tobie widzi? Jesteś mały, brak ci polotu, a na dokładkę zaczynasz łysieć. Czyżby uważała, że jesteś ostatnim mężczyzną w tym mieście?
Milczał przez kilka sekund; on także musiał opanować złość.
– Pieniądze masz? – spytał.
– Jakie pieniądze? – zdumiała się.
O właśnie: wiedział, że tym trafi ją w słabiznę.
– Tego tauzena, którego dałem Buremu na zaliczkę.
Odruchowo zdjęła torebkę ze stolika i przycisnęła ją do ciała. Zmrużyła oczy.
– Mam – powiedziała. – Ale dam ci dopiero wtedy, kiedy znajdziesz Burego.
Pokiwał głową.
– To jasne. Musimy znaleźć Burego albo Konia i nie dopuścić do wykonania roboty. Wtedy będzie cię to kosztować tylko tysiąc. Jak nie znajdziemy żadnego z nich... Wtedy stracisz brata. I będziesz musiała dopłacić cztery tysiące.
– A jak nie dopłacę?
– Powiem Buremu, kto naprawdę zlecił robotę – zagroził. „Nie musi idiotka wiedzieć, że już powiedziałem” pomyślał. – A Bury ma swoje sposoby by wyegzekwować każdy dług. Niezbyt przyjemne sposoby.

Leżeli na tapczanie objęci, przytuleni, a czas, ukołysany muzyką płynącą z magnetofonu, zwolnił znacznie swój bieg, prawie się zatrzymał. I Marek, chociaż naprawdę chciał tylko dwóch, trzech, może czterech pocałunków, sięgnął pod bluzkę dziewczyny, a gdy i tego było mu mało, sięgnął pod spódnicę. Wtedy Marta przymknęła oczy i zaczęła coś szeptać w swoim dziwnym języku. Ten szept namiętny, prawie rozpaczliwy, oszołomił Marka, pozbawił hamulców, pozwolił zapomnieć o Figacie. I właśnie wtedy Figat szarpnął za klamkę.

Marta zerwała się, coś cicho trzasnęło, dziewczyna zachwiała się, zrobiła w stronę okna dwa niepewne kroki, zawróciła i zobaczyła w dłoni Marka biały strzęp: swoje majteczki. Wyciągnęła rękę.

Marek wstał, łagodnie pchnął dziewczynę w stronę kanapy.

– Usiądź – powiedział.

– Usiądź – powtórzył, bo Marta zawahała się wpatrzona w majteczki. Zwinął je, wcisnął do kieszeni, podszedł do drzwi, otwierając zamek usłyszał charakterystyczną kakofonię dźwięków kończąca „Child in Time” Deep Purple i pomyślał, że od wyjścia Figata upłynęło niespełna dwadzieścia minut.

– Widzisz? – zapytał Figat i z triumfem podetknął mu pod nos trzy butelki wódki. Zauważył mi-
nę Marka, spojrzał w głąb pokoju, na Martę siedzącą na kanapie i nerwowo przyglądającą spódni-
cę, westchnął: – No tak, ale ciebie to nie interesuje. Mogłeś powiedzieć, bracie, to ja bym...

– Mogłem – przyznał Marek. – Zapomniałem.

– To pójdę. – Figat cofnął się.

Marek złapał go za ramię.

– Właż, nie świruj, teraz to już i tak musztarda po obiedzie.

– Przecież byliście razem w nocy! – burknął Figat wchodząc. – Myślałem, że wam wystarczy,
naprawdę nie miałem pojęcia...

– Zamknij się, człowieku, przestań o tym gadać.

– O kay! O kay! – Figat przemaszerował przez pokój i ułożył butelki na stole. – Łykniemy,
co? – spytał, gdy Marek zamykał drzwi. Znów przemaszerował przez pokój, z suszarki umieszczo-
nej nad zlewem wyjął trzy szklanki, zawrócił.

– Ja nie piję, Marta też.

– W porządku! Nigdy nikogo nie namawiam, zawsze więcej dla mnie. – Figat już rozstawił
szklanki na stole, już mocował się z oporną zakrętką na butelce, już lał wódkę do szklanki, już
krzywił się jak przed wypiciem obrzydliwego lekarstwa, już pił szybko, drobnymi łykami, już od-
stawiał szklankę i wstrząsał się.

Potem zamarł w bezruchu na kilkadziesiąt sekund, zasłuchał się w reakcję organizmu, a może w
muzykę odtwarzaną przez magnetofon.

– Stairway to Heaven – powiedział i potrząsnął głową. Odwrócił się i splunął przez pół pokoju,
trafiając do zlewu. Znów potrząsnął głową. – Tak, można sobie kupić prawdziwe schody do nieba,
tanio, bardzo tanio...

Zadreptał w miejscu, spojrzał na Martę, potem na Marka, wziął butelkę oraz szklankę i usiadł
przy stole. Nalał alkoholu do szklanki, zważył ją w dłoni.

– Upijesz się – powiedział Marek ruszając od drzwi.

Figat skrzywił się, potrząsnął głową i – wciąż skrzywiony – opróżnił szklankę drobnymi łykami.

– Schody do nieba – rzekł cicho i niewyraźnie. Wzdrygnął się, spojrzał na Martę, uśmiechnął się.

– Dla każdego inne schody, dla każdego inne niebo...

– Upijesz się – powtórzył Marek siadając obok Marty. – A wtedy nici z naszej rozmowy.

– Nie bój się. – Figat podniósł szklankę i spojrzał na nią pod światło. Potrząsnął głową, jakby
zdziwiony, że jest pusta i szybko nalał do niej wódki. – Mam kaca. Ten kac mnie przeraża – wy-
znał. – Wypijam litr i wciąż mam kaca. Rozumiesz? To jest tragiczne.

Marek roześmiał się.

– Licho z tobą, Krzysiu.

– Ano, nie jest zbyt dobrze. – Figat pokiwał głową. Przyjrzał się szklance pod światło, uśmiech-
nął się; był to uśmiech skrzywiony grymasem obrzydzenia. A potem opróżnił szklankę drobnymi
łykami. Splunął przez pół pokoju znów dokładnie trafiając do zlewu. Spojrzał na Marka. – Ale ja
zawsze byłem prawdziwym sceptykiem i w tym znajduję pewne pocieszenie, bo tylko prawdziwy
sceptyk potrafi zachować nadzieję do końca.

– Tak?

– Właśnie tak. W przeciwieństwie do entuzjasty nie zostanie zaskoczony coraz gorszym rozwo-
jem wydarzeń: on to po prostu przewidział. Oczywiście, po każdym kolejnym ciosie będzie przy-
pominał: „A nie mówiłem”, ale wciąż będzie czekał na uśmiech losu, bo jako prawdziwy sceptyk
zwątpi również we własne przewidywania.

– Coś w tym jest...

– W tym jest najszczęśliwsza prawda. Możesz ich tutaj usłyszeć więcej, bo nigdzie się tyle nie na-
zbiera, co u samotnego alkoholika, skazanego na niewesołe rozmyślanie przy opróżnianiu kolej-
nych butelek, zdającego sobie sprawę z bezpowrotnego przemijania czasu.

Mówił spokojnie, nawet obojętnie, ale Marek wyczuł przebijającą w jego głosie nutę gorczy.

„Właśnie! Czas bezpowrotnie mija! Mieliśmy mówić o mnie, a mówimy o tobie!” pomyślał jednocześnie, więc zapytał z zamierzoną brutalnością:

– Czy to boli, taka wiedza?

– Czy boli? – Figat przyjrzał mu się z zastanowieniem. – Boli, a jakże, bardzo boli – odpowiedział. Pomyślał, że każda wiedza jest lepsza od niewiedzy, od złudnego przekonania o własnej nieomyślności. I nagle ulitował się nad Koniem jak nad niesfornym dzieckiem, które jednorazowo ma otrzymać cięgi za cały rok. – Nikt nie lubi cierpienia, zazwyczaj tylko masochista wybiera je świadomie. Czasy twardych kręgosłupów dawno się skończyły. Podobno nic tak nie rozmiękcza ludzi jak dobrobyt. Ale nas zdemoralizował kryzys i związane z nim trudności. Zresztą, czy ja wiem... Zawsze, żeby coś móc na tym świecie, trzeba było dojść pieniędzy albo zrobić karierę, a tu z kolei trzeba było nieustannie godzić się na kompromisy. Kompromis – to warunek postępu w negocjacjach, ale kompromis zawarty z samym sobą – to fałszerstwo, to przewartościowanie światopoglądu pod presją. Już negocjacje prowadzone z sobą są cholernym rozmiękczaniem kręgosłupa. Demoralizacja zawsze najbardziej przeraża wtedy, gdy dosięga ludzi najbardziej wartościowych. Chociaż to prawda, że właśnie oni opierają się najdłużej. Jestem żywym tego przykładem. Wciąż czekam. Wciąż jeszcze się nie ugiąłem. Ale na jak długo wystarczy mi sił? Żeby nie zwariować, sięgnąłem po wódkę. Obawiam się, że dno już blisko. Jeśli moje czekanie potrwa jeszcze rok albo dwa, to... – urwał i wzruszył ramionami.

– Na co ty właściwie czekasz?

Figat zaśmiał się nieprzyjemnie.

– Na śmierć ojca! – oznajmił z szyderczą wyzywającą dumą. Wypadło to raczej teatralnie, więc powtórzył ciszej: – Czekam na śmierć ojca. Czekam na swoją szansę: na walkę o władzę, która rozgorzeje po jego śmierci. Pretendentów będzie czterech, tylko czterech: moi stryjowie i braciszek przyrodni. No i ja, oczywiście.

– Będziesz walczył?

– Muszę. To moja jedyna szansa. Innej nigdy nie miałem.

– Wygrasz?

Figat wzruszył ramionami.

– Tego nie sposób przewidzieć. Jeżeli czekanie potrwa zbyt długo, mogę już nie mieć sił do walki, ale jeśli wystarczy mi sił, by do tej walki stanąć, muszę wygrać. Zbyt wiele postawiłem na tę kartę, żeby pozwolić sobie na luksus przegranej. Zresztą nie czekałem z założonymi rękami. Stryjowie to figury w naszym mieście. Muszę mieć na nich odpowiednią broń. Mam tę broń. Wciąż zbieram informacje, wciąż szukam materiałów. Jestem coraz silniejszy, z dnia na dzień powiększam przewagę. No i słabnę. Przez to – rzekł i puknął butelkę. Nagle porwał ją i przechylił nad szklanką. – Dość! – rozkazał sobie, gdy szklanka wypełniła się w jednej trzeciej. Opróżnił ją, tym razem bez grymasu obrzydzenia. Odsapnął, otarł usta i splunął do zlewu. Spojrzał na Marka. – Coś tu nie gra. Gadamy o mnie, a mieliśmy mówić o tobie. Przecież po to tutaj przyszedłeś, co, Koniu?

Marek przytaknął, chociaż nie przyszedł tutaj wysłuchiwać pijackich monologów o sobie. Przyszedł, bo Figat wczoraj obiecywał mu prawdę. Ale przytaknął, bo żal mu się zrobiło Figata. Z autopsji wiedział, czym jest sen na jawie karmiony nadzieją na nieistniejącą szansę i systematycznie pojony wódką. Po wyjściu z więzienia przez rok żył takim snem. Własnym skłonnościami do stąpania po gruncie twardym i pewnym zawdzięczał wyrwanie się z niespełnialnych nadziei alkoholowego transu.

Spojrzał na Figata. Biedny moczymorda, uwikłany w problemy niemożliwe do rozwiązania, bo istniejące tylko w jego wyobraźni.

Spojrzał na Martę. I wtedy usłyszał nostalgicznie brzmiący szum fal i krzyk mew kończący utwór „Parents” zespołu Budgie i przez sekundę dał się porwać nastrojowi tamtych odległych w czasie chwil, gdy słuchał tej muzyki codziennie. Było to nawet przyjemne uczucie, bo tamte chwile należały do przyjemnych, ale zaraz otrzeźwiły go ostre dźwięki gitary rozpoczynające „Gipsy Queen” Uriah Heep, otrzeźwiły, chociaż i tej muzyki słuchał kiedyś codziennie, chociaż solista zaczął

śpiewać o tym, jak miał tylko siedemnaście lat i zakochał się w cygańskiej królownie. Marek dotknął ręki Marty, upewnił się, że jego cygańska królowna istnieje, a potem spojrzął na Figata i rzekł głośno, wyraźnie: – Miałeś mnie przekonać, że wtedy musieliście wyciąć mi ten świński numer.

Figat drgnął, wyrwany z zamyślenia. Spojrzął na Marka i zachichotał.

– Określenie całkiem słuszne i adekwatne nawet. Świński numer! Tak to trzeba nazwać! Hi–hi–hi! Ale... – spoważniał, zmrużył oczy. – Jako kto przyszedłeś? Jako sędzia czy poszkodowany?

Marek wzruszył ramionami.

– Przestań pieprzyć, co?

– Jako kto? – powtórzył Figat. – Ty chcesz być sędzią i poszkodowanym, a tych ról nie można pogodzić. Sędzia musi wziąć pod uwagę wszystkie okoliczności, nawet te, które...

Marek przymknął oczy. Cholera! Figat w swoim pijanym człowieczeństwie okazywał się zwykłym krętaczem, wprawionym w unikach i zonglerce słowem, wprawionym w okłamywaniu, bo od lat okłamywał siebie, deliryczny zwid utożsamiał z nadzieją. I ten krętacz w kolejnym delirycznym zwidzie obiecał mu prawdę, a on – jak pierwszy lepszy idiota – dał się na to nabrać!

Dlaczego, synu? Dlaczego byłeś aż tak naiwny? Przecież od dawna wiesz, że każda zdrada jest brudną ekonomiczną transakcją. dopiero później zdrajcy dorabiają mitologię. Dopiero później, gdy zostaną schwytani, mówią: „Nie mogliśmy inaczej!”

Otworzył oczy. Odrapane ściany, falująca między nimi niespokojna drażniąca muzyka. To wciąż jeszcze „Gipsy Queen”. Cygańska królowa. Spojrzął na Martę i uśmiechnął się. Oddała uśmiech. Czy ona zdradzi? Czy potrafi zdradzić? Daniego porzuciła. Ale czy go zdradziła?

Figat skończył mówić i znów trwał w zamyśleniu. Marek pochylił się, wziął butelkę i zaczął ją obracać w palcach.

Trzeba stąd iść, synu. Do parku. Albo nad rzekę. Marta to – jak na razie – jedyna dla ciebie prawda.

Zauważył, że Figat ocknął się z zamyślenia i obserwuje jego zabawę z butelką, więc postawił ją na stole.

– Spadam, Krzysiek – powiedział. – Duszno tu u ciebie.

Figat spojrzął na niego szybko.

– Zaraz, Koniu, przecież mieliśmy pogadać!

Marek wzruszył ramionami.

– Właśnie. A ty zacząłeś pieprzyć głodne kawałki. Tobie jednemu dałem szansę, z tobą jednym chciałem o tamtym pogadać, a trujesz mi o sędziach i poszkodowanych. Wypchaj się, stary – powiedział. Znowu zaczął bawić się butelką i znowu na niej skupiła się uwaga Figata. – Czy tylko gorzała cię interesuje? Czy tylko o niej umiesz myśleć? – spytał i z traskiem odstawił butelkę.

– Interesuje! – Figat przytaknął gorliwie. – I często o niej myślę. Ale nie tylko. Potrafię ci udowodnić, że my wtedy nie mogliśmy inaczej postąpić.

Marek skrzywił się.

– Każdy zawsze znajdzie usprawiedliwienie dla własnego kurestwa – powiedział. – „Nie mogliśmy inaczej postąpić”. „Musieliśmy wykonać rozkaz”. „Robiliśmy tylko tak jak wszyscy”. Nic nowego, stary, ten świat obraca się w jakimś cholernym kręgu.

Figat potrząsnął głową.

– Nie szukam wykrętów – powiedział. – Nie muszę. My naprawdę nie mogliśmy inaczej postąpić. Musieliśmy się od ciebie uwolnić. Byliśmy w twoich rękach lalkami, dla których układałeś sensacyjną bajkę o złodziejach i policjantach. Tyle że nie była to bajka, lecz życie. Nasze życie. Bawiłeś się naszym życiem.

Marek zmarszczył brwi.

– Coś nowego. Zaraz się okaże, że was do wszystkiego zmuszałem.

Figat kiwnął głową.

– Właśnie tak. Pamiętasz jeszcze budę? Musisz pamiętać to najlepsze liceum w mieście – rzekł ironicznie. – Jak w każdej budzie, i w naszej były różne paczki. Ale najlepszą była paczka Konia.

Uczyć się w takiej budzie i być w paczce Konia, to znaczyło, że jesteś kimś. Zresztą ciebie wszyscy wtedy słuchali, byłeś niekwestionowanym wodzem całej szkoły i połowy Przyrzecza. Byłeś na tyle ważny, że nawet mój stary zwrócił na ciebie uwagę. Raz w życiu pochwalił mnie, kiedy dowiedział się, że jestem w twojej paczce. Tak, tak, Koniu, byłeś figurą. Miałeś autorytet. Dlatego nie potrafiłem odmówić, kiedy zażądałeś, żebym opracował plan pierwszego skoku. Dlatego nikt z paczki się nie wykręcał, kiedy powiedziałeś, że robimy skok. Ale po skoku przyszedł strach, że złapią nas lada dzień. Wtedy ty zaproponowałeś drugi skok. Poszliśmy, nikt się nie wykręcał, ale później strach był jeszcze większy. Myśleliśmy, że też zaczniesz się bać i że na tym drugim skoku będzie koniec, a wtedy ty zaproponowałeś trzeci. Właśnie w tym czasie zaczęliśmy ze sobą rozmawiać. Myśleliśmy, że forsa uderzyła ci do głowy, że stałeś się chciwy, ale kiedy po trzecim skoku nie znaleźliśmy pasera, kiedy cały towar musieliśmy utopić w rzece i wyglądało, że wreszcie dasz spokój, bo rzecz jest mało opłacalna, a bardzo niebezpieczna, a ty wysunąłeś propozycję obrobienia Kołchozu, zrozumieliśmy, że coś jest nie tak. Anka na wszystko wyjaśniła. Bawiłeś się w wielkiego wodza, musiałeś siebie i swoją gwardię sprawdzić w walce, w niebezpieczeństwie, dlatego wymyśliłeś te skoki. Pojęliśmy, że musimy się ciebie pozbyć, jeśli chcemy wrócić do normalnego życia, jeśli nie chcemy rozpocząć tego życia od wyroku... – Figat urwał, przyjrzał się Markowi, potem przejechał językiem po zeschniętych wargach, sięgnął po butelkę i nalał wódki do dwóch szklanek. Podsunął jedną Markowi, a gdy ten odmownie pokręcił głową, opróżnił swoją szybko.

Marek wpatrzył się w szklankę, w chybotałą, zwierciadlaną powierzchnię wódki. Pomyślał, że w słowach Figata jest zawarta jakaś prawda o tamtych czasach. Pomyślał, że nie nadawał się na wodza, jeśli nie potrafił zauważyć, że jego ludzie się łamią. Usłyszał wokalistę zespołu King Crimson śpiewającego: „Yes, I feel tomorrow I'll be crying”... Pomyślał, że utwór „Epitaph” przed dziewięciu laty przynosił mu pecha.

– Mogliście ze mną pogadać – powiedział cicho. Ale pamiętał wczorajszą ucieczkę Zosi, jej dzisiejszy strach i łzy. Jeśli własna siostra... Zaczynał rozumieć, że nie mogli.

Figat potwierdził to.

– Coś się w tobie zmieniło po pierwszych skokach. Na byle słowo protestu reagowałeś jak furia. Nie zdajesz sobie sprawy z tego, jaki wtedy byłeś. Zresztą w czasie śledztwa badali cię psychiatrzy, pamiętasz?

Marek kiwnął głową. Rzeczywiście blisko miesiąc przebywał na obserwacji w szpitalu.

– Gebels pogrzebał kiedyś w twoich aktach i pokazał mi opinię biegłych psychiatrów. Było w niej coś takiego: „Niezwykła drażliwość, nadmierna koncentracja na własnej osobie, skłonność do wygórowanej emocji, wyolbrzymianie pretensji”. I wniosek, że z uwagi na młody wiek trudno uznać cię za osobnika o cechach zdecydowanie psychopatycznych, ale jeżeli ukierunkowanie twojego rozwoju nie ulegnie zmianie, możesz wyrosnąć na człowieka niesamowicie konfliktowego, w reakcjach niebezpiecznego dla otoczenia. Dlatego nie mogliśmy z tobą pogadać.

– Dlatego musieliście mnie wkopać?

– Tak.

– Anka to wymyśliła?

– Tak.

– Nie baliście się, że was sypnę?

– Anka twierdziła, że nie sypniesz. Jak się okazało, miała rację.

Marek sięgnął po szklankę.

– Zacytuj jeszcze raz tamto, tę opinię – poprosił, zaciskając palce na śliskim szkle.

– Niezwykła drażliwość, nadmierna koncentracja na własnej osobie, skłonność do wygórowanych emocji, wyolbrzymianie pretensji.

Marek opróżnił szklankę jednym haustem. Wódka ciepłą i nieco piekącą strugą przemknęła przez gardło. Wiedział, że ten irracjonalny żal, który ołowiem osiadł na wnętrznościach, rozplynie się w wódce bez śladu. „Młodość jest rozbuchana jak żrebak i ślepa jak Malaj w amoku” – pomyślał, „Ale młodość jest piękna, jedyna i można ją cholernie łatwo stracić”.

Zapatrzył się na zniszczoną politurę stołu, na której stare i świeże ślady po mokrych denkach nakładały się na siebie.

W mieszkaniu panowała cisza, nieznacznie tylko zakłócana trzepotem taśmy luźno wirującej na przewiniętej do końca magnetofonowej szpuli.

– Chciałeś niebezpieczeństwa, chciałeś przygody, ale brakowało ci idei – powiedział Figat. – Urodziłeś się za późno. Gdybyś żył podczas wojny, zostałbyś bohaterem, a tak...

– A tak zostałem kryminalistą.

Figat puścił to mimo uszu.

– Dlaczego nie wróciłeś pięć lat temu?

Marek powoli, jakby od niechcenia, oderwał wzrok od wirującej taśmy i spojrzał na Figata. Wzruszył ramionami.

– Nie chciało mi się.

Figat pokiwał głową.

– A może nie wiedziałeś, co ze sobą zrobić?

– Może.

– Trzeba było wrócić pięć lat temu i wystawić rachunek. Dzisiaj byłbyś w tym mieście kimś. A tak wciąż się szarpiesz, wciąż nie wiesz, czego chcesz.

– Rachunek?

– Oczywiście! Tylko forsa. Rozumiesz? – Figat pochylił się nad stołem. Niezdrowy rumieniec na jego policzkach ustąpił miejsca jeszcze bardziej niezdrowym pląmom. – W tym mieście tylko forsa się liczy. W życiu zresztą też.

Marek skrzywił się. Potem odwrócił głowę i splunął poprzez pokój do umywalki. Trafił dokładnie.

Figat zachichotał.

– W tym mieście forsa, gruba forsa, to władza – powiedział. – A władza jest ideą, jest czymś, o co warto walczyć. Posiadasz sporo talentów, Koni. Użyj ich dla zdobycia forsy i zdeponuj mojego starego. Jeżeli tobie się to uda, nie będę zazdrosny. Pomyśl o tym, Koni.

I Marek mimo woli pomyślał o swojej umowie z Salanem, pomyślał o czekającej go grze z Mokrzyckim, pomyślał o szansie, jaką ta gra przed Salanem otwiera. Przed Salanem, nie przed nim.

Uczciwość. To balast, jeśli chce się zdobyć pieniądze w tym świecie pełnym złodziei i oszustów.

Rozum. Jedną ze służebnych funkcji rozumu wobec człowieka jest chronienie go przed dźwigniem niepotrzebnego balastu.

Gdy wyszli z bramy na ulicę, uderzyło w nich gorące powietrze. Słońce zawędrowało już na zachodnią ćwiartkę nieba, ale wisiało jeszcze dość wysoko i grzało intensywnie.

Zmęczyła go rozmowa z Figatem, zmęczyło go zamknięcie w dusznym pokoju, z czego zdał sobie sprawę dopiero teraz, gdy znalazł się na otwartej przestrzeni, gdy zobaczył błękitne niebo, gdy pomyślał o przyjemności, jaką może dać kąpiel w rzece.

Pochylił się nad Martą.

– Wiesz co, moja cygańska księżniczko, pójdziemy nad rzekę – powiedział. – Wykąpiemy się, a potem... potem wrócimy do domu na obiad, dobrze?

Dziewczyna uśmiechała się i patrzyła mu w oczy. Na wzmiankę o kąpielu zarumieniła się i spuściła głowę.

– Ja... – zająknęła się. – Ja przecież nie mam...

Podniósł jej głowę, spojrzał w spłoszone oczy, pogładził zarumienione policzki.

– To wspaniale, że nie masz! – szepnął. Pochylił się i musnął ustami jej usta. – Chodź.

Kiedy skręcał na skwerek, miał wrażenie, że o czymś zapomniał, o czymś istotnym. I rzeczywiście, po kilku sekundach przypomniał sobie, że zapomniał zapytać Figata, jak to jest z tym ojcostwem dziecka Zosi. Jednak nie miał ochoty wracać, mało go zresztą ta sprawa obchodziła. Ale wrażenie zapomnienia o czymś ważnym nie ustąpiło, trochę tylko zmieniło zabarwienie. I wtedy pomyślał, że daje o sobie znać załóżek niepewności, jakby obawy, a nawet strachu, załóżek, który

dosyć mocno usadowił się już w jego duszy.

Strach? Rezultat rozmowy z Figatem?

Pomyślał, że trochę dowiedział się o sobie, chociaż w gruncie rzeczy...

Nawet tak bardzo cię to nie rąbnęło, co, synu? Spodziewałeś się czegoś takiego, w końcu widziałeś ich strach, wczoraj i dzisiaj, przy pierwszych spotkaniach. Po dziewięciu latach. A wtedy, przed dziewięciu laty, ten strach musiał być jeszcze większy. I był. Sam go zresztą wywołałeś. Chciałeś, żeby się wszyscy ciebie bali, żeby cię wszyscy znali, żeby cię wszyscy podziwiali. Pragnąłeś chodzić w glorii sławy. A jedyne, co bezbłędnie umiałeś robić, to wzbudzać strach. Wiedziałeś, że jesteś silny i potrafisz walczyć, więc myślałeś, że zdołasz sobie coś wywalczyć; wydawało ci się, że tak niewiele masz do stracenia. Ale to było kłamstwo, bo straciłeś cholernie dużo. Sam sobie jesteś winien, że dorosłe życie rozpoczęłeś od przymusowej edukacji w czterech ścianach celi.

Edukacja w czterech ścianach celi. To Gebels. Figat także powiedział coś podobnego. Czy podobieństwo sformułowań oznacza podobieństwo myśli? Co, tak naprawdę, każdy z nich myśli o tobie? Jak cię ocenia? Kim dla nich jesteś? Łobuzem? Tylko łobuzem?

Czy strach jest w nich równie silny jak kiedyś? Jeśli tak, to znów mogą się okazać niebezpieczni.

Rudy. Ten ze swoim szczerzym kąśliwym strachem i podszytą kompleksami nienawiścią zdecydowanie wybijał się na pierwszy plan. Teraz, gdy trochę ochłonął, gdy poczuł się bezpieczniejszy, zacznie ruszać tą swoją główką nastawioną na wymyślanie szmatławych intryg i na pewno coś wymyśli. Jest bombą zegarową o nieznanym czasie zapłonu; eksploduje na pewno, tylko kiedy?

Kto drugi? Alis czy Gebels? Z Alisem właściwie nawet nie porozmawiał, pamiętał tylko jego drżący strach, a potem nagłą łaszącą się radość, gdy zapewnił go, że nie ma żalu. Alis jest miękki jak guma, ale i jak guma sprężysty. Zaakceptuje status quo. Tak długo, jak długo Marek będzie silniejszy. Słabszego Alis zaatakuję i zniszczy bez skrupułów. Identycznie postąpi Gebels. Bo Gebels rzeczywiście trochę przypominał Alisa i można było ustawić ich obok siebie. Był równie jak Alis śliski, tyle że bardziej odważny, a przez to mniej niebezpieczny. Długie wyczekiwanie, łaszenie się, pokora, a potem nagły zdradziecki atak – to zupełnie nie w jego stylu. Zresztą Gebels zawaha się przed jawną zdradą. Ale każdą sprzyjającą okazję wykorzysta natychmiast.

Figat. Czy mógł mu w stu procentach zaufać? Chyba tak... Bo Figat był szczerzy, bo czekał na swoją jedyną szansę i dlatego w innych przypadkach nie kierował się kunktatorstwem, potrafił zdobyć się na odwagę. Ale miał swój słaby punkt. Dotychczas gorzałką można go było obłaskawić. Niedługo za gorzałkę można go będzie kupić. Jedno było pocieszające i pewne: Figat się go nie bał. Podobnie Anka. I dlatego mógł zawierzyć ich szczerości, szczerości bez motywów. Właśnie od Figata dowiedział się, że strach powinien budzić jego nieufność.

Szli powoli. Szeroka wygodna aleja zmieniała się w wąską dróżkę wydeptaną między krzakami, a dosyć starannie utrzymane trawniki skwerku niepostrzeżenie ustąpiły miejsca bujnej gęstwinie zdziczałego parku. Drzewa rosły tu rzadko, ale były wielkie i stare, miały olbrzymie korony i dawały dużo cienia. Ten cień, ten chłód panujący w cieniu, początkowo był bardzo przyjemny po upale atakującym pod otwartym niebem, ale szybko sięgnął zimnymi mackami pod cienkie ubrania, dotknął rozgrzanych ciał i zmarszczył skórę seriami nieprzyjemnych dreszczy. Promienie słońca, przenikające tu i ówdzie przez bujne listowie, zagrały na poszyciu, ożywiły tajemnicze i jakby groźne cienie.

Marta westchnęła, mocniej przytuliła się do Marka. Marek potknął się, zamrugnął powiekami – i dopiero teraz zobaczył, dokąd go nogi niosą.

Park zdziczał zupełnie i przypominał las, trochę dziwny, bo nawet pośród zdziczenia znać było rękę człowieka. Symetria i porządek, rzadko spotykane w naturze, świadczyły, że to ludzkie dzieło. Dróżka co prawda biegła krętą linią, omijając skupiska czarnej jagody zasiane tu przez wiatr, ale stare wielkie drzewa, splecione koronami, stały w dwóch równych prostych rzędach i wytyczały zatarty przez czas szlak dawnej alei. Trochę dalej i nieco w bok, na przestrzeni wolnej od drzew, zdziczałe i bujne krzewy wciąż zachowały swój kolisty kształt; kiedyś musiał tam być klomb.

– Ładnie tutaj, prawda? – Marek pochylił się nad Martą.

– Trochę straszno.

– Ale za to pusto. Wreszcie nie ma ludzi.

Pocałował dziewczynę.

Zapach lasu. Zapach wilgotnej ziemi i ziemi suchej, sparzonej dotykiem słońca. Ciepły, słodkawym zapachem butwiejących liści i napływający gdzieś z boku ostry zapach świeżo skoszonej trawy. Zapach lasu i łąk.

– Chodźmy – powiedział.

Musieli opuścić ścieżkę ocienioną starymi drzewami i skręcić w prawo. Ścieżka również doprowadziłaby ich do rzeki, ale musieliby iść nią jeszcze około kilometra i znaleźliby się w pobliżu miejsca traktowanego przez mieszkańców Przyrzecza jak plaża. Natomiast skręcając mieli do rzeki nie dalej niż dwieście metrów i wychodzili na miejsca ustronne, rzadko odwiedzane przez ludzi.

Skręcili więc.

Ten mężczyzna po prostu stał za drzewem. Miał refleks, więc nawet zrobił dłonią ruch w stronę rozporka, żeby zamarkować załatwienie potrzeby fizjologicznej, ale Marek nie dał się zwieść: ten mężczyzna nie sikał, tylko po prostu stał za drzewem. Po prostu stał? Ten mężczyzna obserwował ich. Śledził.

Ubrany był w szare sztruksowe spodnie – chyba szare sztruksowe spodnie – i luźną koszulkę, a może sweterek, o barwie wtapiającej się w mrok panujący pod drzewami. Był dosyć wysoki, raczej szczupły, twarz miał nijaką, trudną do zapamiętania, zresztą głowę trzymał nieco spuszczoną, przez co rysy dolnej partii twarzy zacierają się. Ten mężczyzna był cały nijaki. Szary.

– Bury! – szepnęła Marta i mocno wtuliła się w Marka. Widziała kiedyś tego mężczyznę i choć był on nijaki, zapamiętała go dokładnie, bo przypadkowo podsłuchiwała fragment jego rozmowy z Salanem. Potem Bury wielokrotnie prześladował ją w sennych koszmarach.

Bury usłyszał szept dziewczyny. Myślał bardzo sprawnie, dlatego natychmiast określił wszystkie konsekwencje, jakie wynikną z rozpoznania go przez Martę. Nie chciał atakować Konia przy świadkach, dlatego tylko towarzyszył mu w romantycznym spacerze starannie kryjąc się za drzewami i wyczekując dogodnej okazji. Ale teraz...

Ruszył. Przy każdym kroku podrywał się nieznacznie, jakby w jego łydkach siedziały sprężyny napięte do ostatnich granic.

Marek nie znał Burego, ale odczytał przerażenie w szepcie Marty, a po sposobie poruszania się Burego poznał, że za chwilę zostanie zaatakowany. Odsunął więc dziewczynę, i to dość brutalnie, bo nie chciała go puścić. „Tylko jeden” – pomyślał patrząc na Burego uważnie. Zastanowiła go pozycja prawego ramienia, niby to luźno zwieszonoego wzdłuż ciała, a przecież napiętego. Zobaczył coś czarnego w zaciśniętej dłoni i natychmiast zrozumiał, że to czubek zamkniętego sprężynowego noża. Sprawa wyglądała na bardzo poważną. Chciał krzyknąć do Marty: „Uciekaj!”, ale wtedy usłyszał za plecami trzask. „Dwóch” – pomyślał, ale mogło być ich równie dobrze trzech albo czterech, więc nie krzyknął; Marta była bezpieczniejsza tu, przy nim. Nie obejrzał się, tamten trzask doleciał z pewnej odległości, a Bury był bardzo blisko. Jednocześnie zrozumiał, że to śmiertelnie poważna sprawa, że to zorganizowany – kupiony – napad, chociaż sprowokowany czystym przypadkiem, tym, że skręcili ze ścieżki i zobaczyli Burego, że Marta go rozpoznała... Zrozumiał również, że ten przypadek ocalił go – przynajmniej chwilowo – bo Bury wyglądał na fachowca w swej robocie (w końcu jeśli się kupuje usługi, to fachowe) i gdyby napadł Marka z nienacką, ten nie miałby żadnych szans. Tak. Bury to nie Bronek, a ten napad to nie tamta łobuzerska zaczepka. Tym razem chodziło o życie. Jego życie. I życie Marty.

Marek skoczył i uderzył. Nie trafił prawą ręką, jednocześnie cudem uniknął ciosu przeciwnika. Jego lewa ręka zawadziła jednak o przedramię Burego: nóż, właśnie otwierający się z cichym trzaskiem, wyładował w trawie. Ale Marek nie miał czasu schylić się po niego. Wykonał karkołomny piruet wymierzając kolejne dwa ciosy i kolejno pudłując, zobaczył przelatującą tuż obok twarzy stopę Burego obutą w wysoki koszykarski trampak, znów uderzył, znów nie trafił – i odskoczył. Wciąż pamiętał o trzasku za plecami, więc skoczył w kierunku rzeki, obejrzał się i w bezpośredniej

bliskości zobaczył drugiego napastnika, niewyraźną sylwetkę na tle zieleni przykrytej całunem cienia, dostrzegł pręt we wzniesionej od ciosu dłoni, odwinął się i uderzył, poczuł opór, uchylił się przed nadlatującą pięścią Burego – i znów odskoczył. Znów świadomie w kierunku rzeki. Bo gdy teraz tyłem zrobił trzy kroki w tę samą stronę, a napastnicy poszli za nim, Marta znalazła się poza ich kręgiem.

„Dwóch!” – pomyślał. „Wciąż tylko dwóch”.

Chciał krzyknąć do Marty, żeby uciekała, ale zrezygnował z obawy, że krzykiem tym sprowokuje któregoś do pościgu.

Znów poszedł kilka kroków w stronę rzeki, a oni ostrożnie poszli za nim. Zatrzymał się. Zyskał chwilę czasu. Bury stał w odległości trzech metrów, spokojny, nieruchomy, tylko jego prawa dłoń ściskająca otwarty teraz nóż kołysała się nieznacznie. Trochę z boku, trzy kroki od Burego, zbierał się z ziemi tamten drugi, chudy blondynek ubrany w jakieś szare ciuchy doskonale wtapiające się w tło. Cios Marka najwyraźniej nie wyrządził mu żadnej szkody, bo ani na chwilę nie wypuścił z ręki długiego na trzydzieści centymetrów pręta. Marta tkwiła tam, gdzie ją zostawił, teraz już dobre kilka metrów za plecami Burego.

„Dwóch” – powtórzył. „Wciąż tylko dwóch”. Bury był świetny, więc na Marka – szczególnie gdyby udał im się atak z zaskoczenia – wystarczyliby w zupełności, ale teraz... teraz on mógł się obronić i jednocześnie otworzyć szansę przed Martą. Pomyślał: „Jeśli trafię tego z prętem jeszcze raz i nie pojawi się trzeci, to...!”

Ruszyli jednocześnie. Marek wymierzył kilka ciosów w próżnię, bo Bury cudownie schodził z linii, sparował pchnięcie nożem i znów trafił tego z prętem. Potem odskoczył ku rzece.

Walczyli pod wielkimi kasztanowcami, w głębokim cieniu rzucanym przez rozłożyste korony. Szare sylwetki napastników chwilami niemal całkowicie znikwały w tle. Może dlatego nie mógł trafić Burego. Wiedział, że na kierunku jego odskoków jest niewielka polanka, plama światła, która powinna dać mu szansę.

Bury czekał, aż ten z prętem pozbiera się z ziemi.

Marta tkwiła tam, gdzie ją zostawił.

„Dwóch” – pomyślał. „Wciąż tylko dwóch”. Gdyby trzeci czaił się gdzieś w pobliżu, to teraz, po kolejnym trafieniu tego z prętem, raczej powinien włączyć się do akcji. Miał wystarczająco dużo czasu, żeby rozpoznać bojową wartość Marka.

– Uciekaj! – zawołał do Marty. – Na ulicę! Do ludzi!

I machnął ręką wskazując kierunek, a jednocześnie skoczył na Burego. Ale Bury był zaprawiony w tego typu bojach, nie obejrzał się, przeciwnie: skoczył na spotkanie. Zwarli się, jednak obaj byli zbyt szybcy, żeby takie zwarcie mogło przynieść efekty. Marek uderzył pięścią, Bury nożem. Nie trafili. A ten z prętem napatoczył się akurat wtedy, gdy Marek karkołomnym zwodem unikał kopnięcia Burego. Napatoczył się akurat na cios. Potężny, precyzyjnie wymierzony w szczękę. Takie ciosy rzadko wychodzą w kłębowskiu bójki, ale gdy już wyjdą, sieją spustoszenie. Ten z prętem runął jak kłoda.

Marek odskoczył w kierunku rzeki.

Bury zgarbił się, przygiął ramię i wysunął nóż. Przywarował w obronie, wiedział, że chwilowo został sam. Marek też o tym wiedział. Wiedział również, że wywalczył sobie szansę: pojedynczo Bury był do ogrania, nawet z nożem. Wtedy zobaczył Martę. Tkwiła wciąż w tym samym miejscu!

– Uciekaj! – wrzasnął rozpaczliwie. – Do ludzi! Szybko!

Ten z prętem – niestety wciąż z prętem! – dźwignął się z ziemi i chwiejnie ruszył gdzieś w bok. Wyglądał na oszołomionego, ale Marek wiedział, że facet postępuje nadzwyczaj trzeźwo; musiał zdać sobie sprawę ze swej zmniejszonej wartości bojowej i postanowił zająć Marka od tyłu. Jednak na nogach trzymał się niezbyt pewnie i Marek musiał to wykorzystać. Skoczył na Burego. Chciał go trafić. Chociaż raz. Jeden jedyny raz. Ten jeden celny cios zdecydował o wszystkim. Mógł osłabić Burego, uszczknąć mu odrobinę precyzji i szybkości.

Trafił. W rękę trzymającą nóż. I nóż znalazł się w trawie. Ale Bury wywinął się od morderczego

ciosu zadanego w szczękę i sam zaatakował nogą. Marek zszedł z linii uderzenia, zatrzymał się na chwilę i wtedy przed jego oczami – a jednocześnie gdzieś głęboko w czaszce – eksplodowała z hukiem kula oślepiająco białego ognia. Zaraz potem otoczyła go gęsta, lepka jak smoła ciemność. Wiedział, że oberwał prętem. Nie był zdolny do myślenia, ale wiedział. Po prostu wiedział. Nie wiedział natomiast, czy jeszcze stoi, czy już leży. Nagle zobaczył tuż przed sobą skrzywioną wątlym uśmiechem twarz Burego. Uderzył instynktownie, prawą ręką. A lewą uderzył niżej, bo przecież twarz nie mogła istnieć bez reszty ciała. Miał wrażenie, że oba ciosy wyprowadzone są w zwolnionym tempie. Jednak trafił. Przez jego ramiona przeszły wstrząsy, szarpnęły barkami i bolesnym echem odezwały się w głębi czaszki. Zgiął się, znów pogrążony w smolistej lepkiej ciemności, wykonał pół obrotu i walnął do tyłu, na oślep. Trafił: kolejny wstrząs kolejnym bolesnym echem odezwał się w czaszce.

Skulony, wsparty o pień kasztanowca, wymiotował kwaśno gorzkim płynem. Musiało tego płynu być w nim niesamowicie dużo, bo wciąż i wciąż napływał falami z żołądka.

Wreszcie podniósł głowę. Kilka metrów dalej zobaczył Burego przytulonego do trawy, powoli wspierającego się na szeroko rozstawionych ramionach i spluwającego czerwoną śliną.

Jeden cios, który mógł rozstrzygnąć wszystko! Zadał ten cios. Ale sam otrzymał stokroć potężniejszy. Gdyby zdołał teraz kopnąć w tę pochyloną głowę...!

Oderwał się od drzewa i ruszył w stronę Burego. Miał do przejścia tylko pięć, może sześć kroków, ale już po dwóch smolista czerń zalała oczy, a kolana ugięły się miękko. Nie upadł. Gdy odpłynęła od niego ta nieznana do tej pory, przedziwna, paraliżująca ciało słabość, gdy smolista czerń opadła z oczu, zobaczył Burego – już na nogach.

Tylko trzy kroki. Odległość tak mała. Odległość tak wielka. Nawet gdyby zdołał ją przebyć, to wiedział, że nie wytrzyma starcia z Burym. Na dokładkę tamten znowu miał w dłoni nóż.

Po raz pierwszy w czasie tej walki poczuł złość; skoncentrowała się na osobie Burego, ale wywołana była świadomością własnej słabości.

Gdzieś z lewej strony i nieco z tyłu usłyszał westchnienie i szelest trawy. Zaczął się cofać, aż wciąż jeszcze leżący na ziemi osobnik z prętem znalazł się w polu widzenia. Bury tkwił na swoim miejscu jak przyrośnięty, widocznie on także nie czuł się zbyt dobrze. I Markowi zaświtała myśl o ucieczce...

Wtedy kilkanaście metrów za plecami Burego zobaczył Martę: oglądając się co chwila, powoli wchodziła na ścieżkę wytyczoną w szpalerze sędziwych drzew. Dopiero...! Dopiero wchodziła na tę ścieżkę! A już dawno powinna była nią biec, biec w kierunku skweru, w kierunku ulicy pełnej ludzi!

Zaklął pod nosem, a gdy dziewczyna obejrzała się kolejny raz, nie wytrzymał i pogroził jej pięścią. Wtedy ruszyła biegiem. Ale wciąż była blisko, bardzo blisko, wciąż te dwa typki mogły ją dopaść bez trudu. Nie mógł więc uciekać, przynajmniej jeszcze nie teraz.

Bury obejrzał się. Marek napiął mięśnie, gotów do natychmiastowego pościgu, gdyby tamten ruszył za dziewczyną, ale Bury obojętnie odwrócił głowę, jakby nie dostrzegł migającej między drzewami białej bluzki. A przecież musiał widzieć! Dlaczego jej nie gonił? W końcu wypuszczenie Marty było niemal jednoznaczne z poniechaniem Marka: nie zostawia się naocznych świadków mokrej roboty. Jeśli Marta знаła Burego, on też musiał wiedzieć, kim ona jest i kto za kilka minut przybędzie z odsieczą.

Koniec walki? Naprawdę?

Nadzieja, którą powitał westchnieniem ulgi, uświadomiła mu wreszcie własny strach: nagle zrozumiał, że się boi. Po raz pierwszy bał się wyniku walki wręcz! Zresztą on ten wynik znał: tej walki nie mógł już wygrać!

Czyżby?

To wściekłość, czerwona, obłąkańcza wściekłość desperata pchnęła go do przodu. Na szczęście działał jego instynkt wojownika i on wskazał mu cel ataku: faceta z prętem. Gość akurat dźwigał się z ziemi i praktycznie był bezbronny. Praktycznie, bo Bury natychmiast skoczył, by go osłonić, ale

spóźnił się ułamek sekundy: but Marka dosięgnął twarzy faceta. Chwilę później, mimo uniku, czubek noża przerysował ramię Marka. Marek uderzył, zobaczył twarz Burego szybko schodzącą z linii powolnego ciosu, uderzył więc drugą ręką, spróbował zwodem ominąć nadlatujący nóż, poczuł jego parzące dotknięcie gdzieś na brzuchu, cofnął się, uderzył i zawadził Burego w bark, ale to nie powstrzymało kolejnego ciosu nożem, osłabiło tylko, tak że ostrze delikatnie przemknęło po ramieniu zostawiając na nim długą krwawą rysę. Wtedy zaatakował trzeci wróg, zmęczenie, które czernią zasłoniło oczy. Marek uderzył na oślep, rozpaczliwie, trafił mocno – i to dało mu czas na odzyskanie sił.

Stał pod kasztanowcem i dyszał ciężko, z trudem powstrzymując mdłości. Czerń już opadła z oczu, widział więc Burego tkwiącego nad powalonym towarzyszem, zgarbionego, przyczajonego, ale bez poprzedniego obojętnego bezruchu; Bury raz po raz podnosił rękę i ocierał kapiącą z nosa krew.

Marek oddychał coraz wolniej, coraz głębiej, z każdą chwilą czuł się lepiej, ale znał możliwości swojego ciała i wiedział, że nie odzyskuje sił w normalnym tempie. Wiedział również, że nie odzyska sił całkowicie i że kolejne starcie z Burem osłabi go ostatecznie.

„Dość!” – pomyślał. Jeszcze minuta, najwyżej dwie, i Marta dotrze do ulicy, znajdzie się wśród ludzi, będzie bezpieczna. Właściwie już teraz była bezpieczna; żaden z tej dwójki nie mógł jej dogonić. „Dość!” – powtórzył. Za dziesięć minut zjawi się tu Salan z odsieczą, ale Marek wiedział, że nie wytrzyma tych dziesięciu minut.

Zaczął się cofać. Później ruszył bokiem. Wkrótce dotarł do krzaków i ciężko było mu tak iść, bo co krok się potykał, ale na odwrócenie się plecami do Burego zdobył się dopiero wtedy, gdy dzieliła ich odległość kilkunastu metrów.

Zobaczył polankę, tę plamę światła, która miała być jego szansą. Za polanką gęsto rosły drzewa, panował pod nimi mrok – i teraz ten mrok stawał się szansą. Na wypadek, gdyby Bury i jego towarzysze chcieli go ścigać.

Wiedział, że za drzewami jest rzeka. Do rzeki? Nie! Powinien tylko wejść między drzewa, zanurzyć się w mroku i korzystając z jego przyjaznej osłony ciągnąć ile sił w nogach w stronę miasta, do ludzi. Bo jeśli Bury nie zrezygnował mimo ucieczki Marty... Marek znał już jego taktykę: facet poczeka, aż kumpel odzyska siły, a potem razem ruszą w pościg.

Na skraju polanki przystanął i obejrzał się. Trochę oślepiiony słońcem, a trochę dziwną mgiełką, która wypełniła mu wzrok, nie zdołał wypatrzeć Burego w gęstym cieniu panującym pod rozłożystymi kasztanowcami.

Wszedł między drzewa, zagłębił się w mroku. Skręcił w prawo. Po kilku krokach zorientował się, że w tym kierunku ma do miasta znacznie dalej, że prędzej znajdzie się wśród ludzi, jeśli pójdzie w drugą stronę, bo już po kilkuset krokach wydostanie się na skraj wielkiej łąchy piasku uznawanej przez tubylców za plażę publiczną. Zawrócił.

Ta słabość nie opanowała go nagle, sygnalizowała swe nadejście gęstnieniem w oczach owej mgiełki, która przeszkodziła mu niedawno w wypatrzeniu Burego, a także narastaniem dziwnego, świergotliwego cykania w uszach. Cykanie w pewnej chwili stało się tak głośne, jakby przywiązano mu do głowy kilkadziesiąt budzików, a mgła nabrała nieprzejrzystości waty i pojawiły się w niej małe pulsujące iskry.

Upadł. Miał jeszcze tyle sił, że przeczołgał się kilkanaście metrów; przypadkowo, a może instynktownie, trafił pod zwisające nisko gałęzie jakiegoś krzewu, które zasłoniły go całkowicie. Później zemdlął. Po raz pierwszy w życiu.

Ocknął się – i było to jak przebudzenie z ciężkiego snu, który zamiast ukojenia i wypoczynku przyniósł jeszcze większe zmęczenie.

Uniósł głowę. Leżał na brzuchu, z ramionami zgiętymi w łokciach i wsuniętymi pod klatkę piersiową. Przed oczami miał kilka źdźbeł trawy falujących w rytmie jego płytkiego oddechu. Źdźbła były poplamione brunatnymi sopolkami. Czuł w tyle głowy tępy migrenowy ból, który chwilami rozszerzał się pulsując i obejmował wtedy spory fragment czaszki, to znów malał, by zamknąć się

na powierzchni nie większej niż paznokieć. Ramiona wciśnięte pod klatkę piersiową zupełnie zdrętwiały. Wiedział, że należy je rozprostować, żeby krew mogła swobodnie krążyć, ale potworne zmęczenie obezwładniło go tak dalece, że nawet tego nie miał siły zrobić.

„Krew” – pomyślał. Potarł językiem o podniebienie. No tak, ten dziwny i drażniący smak w ustach, to przecież smak krwi.

„Krew!” – powtórzył. I uświadomił sobie, że owe brunatne kropelki zawieszane na żdźbłach trawy to przecież krople krwi. Jego krwi.

Co się stało, synu? Skąd ta krew? I co ty tutaj robisz?

Uniósł jeszcze trochę głowę, chociaż ruch ten kosztował go wiele wysiłku, i rozejrzał się. Leżał na skraju niewielkiej polanki, a raczej trawiastej kępy, pod zwisającymi do ziemi gałęziami jakiegoś rozłożystego krzewu. Co tutaj robił? Pamiętał, że byli z Martą u Figata, a potem weszli w stary zdziczały park, żeby dotrzeć nim do rzeki. Z Martą... Gdzie jest Marta? Coś się musiało stać. Co?

Nagle uświadomił sobie, że leży nieruchomo nie tylko z powodu zmęczenia paraliżującego mięśnie. Gdyby chciał, mógłby się poruszyć, mógłby nawet wstać. Leżał dlatego, że **n i e c h c i a ł** się poruszyć. I niechęć ta tkwiła w ł nim głęboko, prawie tak głęboko, jak hipnotyczne uwarunkowanie.

Dlaczego **n i e c h c i a ł** się poruszyć?

Powoli, bezszelestnie wyciągnął przed siebie ramiona. Musiał odzyskać w nich władzę, bo jeśli nie chciał się poruszyć, instynktownie nie chciał się poruszyć, to dlatego, że bał się zdradzić swoją obecność. Ukrywał się. Więc groziło mu niebezpieczeństwo. Więc musiał odzyskać władzę w ramionach.

Wtedy usłyszał szmer, dziwny, rytmiczny szmer, który po kilku sekundach zmienił się w odgłos lekkich cichych kroków. Ktoś się skradał. Marek ani drgnął, chociaż odruchowo chciał spuścić głowę i wtulić twarz w ramiona. Czekał.

Odgłos kroków stopniowo stawał się coraz głośniejszy. Początkowo dobiegał z tyłu, teraz coraz bardziej przesuwał się w prawo: ktoś ostrożnie obchodził krzew, pod którym on leżał.

I nagle zrozumiał, że ta instynktowna niechęć do ruchu jest po prostu strachem, zwykłym strachem przed biciem, przed bólem, przed męką; przed śmiercią. Strach nie był mu uczuciem obcym, ale jeszcze nigdy nie bał się tak mocno: był na to zbyt sprawną machiną bojową.

Kilkadziesiąt centymetrów od twarzy zobaczył wysokie koszykarskie trampki i natychmiast przypomniał sobie wszystko. Bury! I nagle zrobiło mu się wstyd za ten strach, który przeżył przed chwilą. Przecież to tylko Bury! Ten sam, którego trafił kilkakrotnie, mimo że tamten miał nóż w garści i był wspierany przez faceta z zabójczym prętem w dłoni. Chciał roześmiać się, wyskoczyć spod krzaka i znów powalić Burego celnym ciosem, ale strach, który nie ustąpił nawet pod naciskiem wstydu, nie pozwolił mu na wykonanie najmniejszego ruchu. Nie pozwolił mu również na śmiech: w ogóle na wydobywanie głosu z gardła. I ten strach go ocalił, bo w tym samym momencie na polance pojawiły się jeszcze dwie pary nóg, obute w bliźniaczo podobne i zbliżone rozmiarami trampki.

„Jednak sztruksy. Szare sztruksy” – pomyślał patrząc na nogawki spodni. Dopiero potem z całą jasnością uświadomił sobie, że polowanie na niego wciąż trwa. Mimo ucieczki Marty. Mimo jej ucieczki? A gdzie Salan z odsieczą? Przecież to niemożliwe, żeby go zostawił własnemu losowi! Musiał ratować człowieka, od którego zależała realizacja jego życiowych planów.

– Gdzie on wsiąkł, do kurwy nędzy! – usłyszał ściszony, drżący od hamowanej pasji głos jednego z mężczyzn.

– Sam mówiłeś, że gdzieś tutaj zginął ci z oczu – powiedział drugi mężczyzna.

– Mówiłem! Miał cholernie twardy łeb, że przetrzymał taki cios, ale w końcu się przewrócił. I to gdzieś tutaj. Za dużo czasu straciliśmy przy tamtym! – wysyczał z wściekłością pierwszy mężczyzna. – Trzeba było przyjść tu od razu!

– A może... może go zostawić i spadać... – odezwał się niepewnie drugi. – Tylko patrzeć, jak ktoś zawiadomi gliny. On po takim ciosie długo nie pociągnie. Może go zostawić i spadać, co Bu-

ry?

– Nie! – uciął pierwszy krótko. – Wieczorem mam dostać resztę szmalu. Muszę być pewny, że on odwalił kite.

– No... – bąknął drugi.

– On jest słaby po twoim ciosie – powiedział trzeci mężczyzna. – Rozejdźmy się, to prędzej go znajdziemy.

Trzeci... Trzeci mężczyzna! Więc jednak było ich trzech! O Boże! Marta!

M A R T A !

Paniczny strach o dziewczynę eksplodował mu dławiającą kulą bólu w piersiach. Ból był tak silny i dotkliwy, że Marek ledwie zdołał powstrzymać jęk. Ogłuchł, oślepl, przestał czuć cokolwiek prócz bólu. Nie wiedział nawet, że ryje palcami ziemię, że zwija te palce w twarde pięści.

To niemożliwe! To po prostu niemożliwe, żeby Marcie cokolwiek się stało. Ten świat jest potworny, zamieszkują go oszuści, złodzieje i bandyci, a losy poszczególnych ludzi przypominają scenariusze pisane przez bandę wariatów. Ale to niemożliwe, żeby Marcie cokolwiek się stało. Nie ma ludzi aż tak okrutnych... Nie ma bandytów aż tak nieludzkich!

Tymczasem ból, żywym ogniem palący płuca i serce, obudził w Marku wściekłość czerwoną i szaloną, równą w natężeniu bólowi.

Dosyć często reagował odruchowo, dosyć często ulegał porywom chwili, a w gniewie bywał nieobliczalny. Teraz też wściekłość pchała go do desperackiego ataku na tę zbójcką trójkę. Jednak strach wciąż okazywał się silniejszy od wściekłości i przygniatał go do ziemi.

Widział Martę. Jej delikatną szczupłą twarz z czarnymi jak noc oczami, jej...

To niemożliwe, żeby jej się coś stało! To niemożliwe! Nieprawdopodobne! A jeżeli... jeżeli jednak coś...!

Nagle wiedział. Wiedział już, że nie ruszy się teraz z ziemi, że zrobi wszystko by uciec, by zachować życie. Jeżeli Marcie coś się stało... Jego życie było tak niewiele warte, że mógł je spokojnie poświęcić za życie tych trzech ludzi. I tego czwartego, oczywiście, który im zlecił robotę, od którego wieczorem Bury miał odebrać szmal.

Jeżeli Marcie coś się stało...

Dopadniesz ich, synu. To miasto jest zbyt małe, żeby mogli się schować. Dopadniesz ich. A kiedy staniesz na ich drodze, zobaczą swoją śmierć.

Szumiało mu w uszach, a ten pulsujący ból w czaszce objął swym zasięgiem powierzchnię wielkości dłoni. To chyba krew tak szumiała... Poprzez jej natrętny szum usłyszał charakterystyczny szmer prowadzonej półgłosem rozmowy. Wciąż gadali. Marek skupił się, natężył, próbował zrozumieć coś, jakieś słowa, zdania, bo przecież w ich rozmowie mogło paść imię tego najważniejszego, czwartego, tego, który zapłacił za robotę.

Szum w uszach trochę przycichł, ale wraz z nim przycichł również ten charakterystyczny szmer.

Powoli podniósł głowę i spojrział. Na polance nie było nikogo. Odruchowo chciał zerwać się na nogi, ale przywarował; oni byli gdzieś w pobliżu, wciąż polowali na niego, musieli polować, bo jeśli rzeczywiście zrobili coś Marcie... jeśli... to teraz musieli zrobić jemu, tak, musieli go dopaść, musieli zlikwidować świadka, a także musieli dokończyć robotę, żeby dostać resztę pieniędzy.

Ostrożnie poczołgał się pod gałęziami do skraju polanki. Tam delikatnie, bezszelestnie wysunął się spod gałęzi i dwoma rzutami ciała zanurzył w cień panujący między drzewami, przyjazny cień. Przytulił twarz do szerokiego pnia; kora była chłodna, miejscami gładka, miejscami pokryta liszajami pęknięć.

Wstał trzymając się pnia i używając go jako osłony. Rozejrzał się szybko, uważnie. Nic, cisza i spokój, zbawczy cień drzew. Mógł iść, musiał iść, musiał wydostać się z tego przekłętą parku, w którym z niesłabnącą intensywnością trwało polowanie na niego.

Dokąd? Do Salana? A jeżeli Marcie...

No cóż, musiał iść do Salana, po prostu nie miał wyboru, nawet jeżeli Marcie coś się stało. Musiał stanąć przed Salanem, bo tylko on jeden mógł mu pomóc, bo przecież tylko Salan był pewny,

bo przecież oprócz tych trzech polujących na niego w parku istniał jeszcze ten czwarty i był nim ktoś z jego dawnej paczki, ktoś na tyle dziany, żeby kupić usługi Burego, ktoś na tyle przerażony, żeby się na to zdobyć. Kto?

A więc do Salana. Jeszcze raz rozejrzył się. Gdyby ruszył prosto, wyszedłby na ścieżkę biegnącą w szpalerze sędziwych kasztanowców i w ten sposób najszybciej dotarłby na Ku Słońcu, ale właśnie na tej drodze groziło mu największe niebezpieczeństwo.

Z tyłu była rzeka. Nie miał sił do pływania, długiego pływania, a zresztą na gładkiej powierzchni wody wypatrzyłby go nawet ślepiec, a Bury do ślepców nie należał. W lewo? W lewo miał do miasta przynajmniej kilometr, no i później musiałby przejść przez pół Śródmieścia i całe Przyrzecze. Cholernie długa droga. A ci tutaj, jeśli zrobili coś Marcie, mogli przestać się cackać i załatwić go nawet pośród ludzi. A więc musiał iść w prawo. Tam park kończył się plażą z jednej strony, a z drugiej oddzielał go od prywatnych posesji położonych przy ulicy Dwóch Mieczów wysoki, wykruszony miejscami mur, od niepamiętnych czasów nazywany przez mieszkańców Przyrzecza „chińskim”. Marek musiał do niego dotrzeć, potem przez jakąś wyrwę przedostać się na teren którejś posesji, z niej na ulicę, a Dwóch Mieczów prowadziła prościutko do Ku Słońcu. I w ten sposób dotrze do Salana najszybciej i najbezpieczniej.

Ruszył w prawo. Natychmiast zawrócił i przylgnął do drzewa. Bury powiedział, że stracił go z oczu gdzieś tutaj. Więc Bury widział go, widział nawet w zbawczym cieniu pod drzewami! Dlaczego? Spojrzył na siebie. Oczywiście koszulka! Jasna koszulka. Zdjął ją szybko. Przy okazji obejrzał długą krechę pokrytą zakrzepłą krwią, przecinającą ukośnie brzuch. Skóra, na szczęście przecięta tylko skóra. A wystarczyło centymetr głębiej i...

Nagle zaklął: jego ciało było prawie tak samo jasne jak koszulka. Zaklął powtórnie. Czy Bury musi go dopaść? Czy nigdy nie wydostanie się z tego przeklętego parku?

Przykucnął. Potarł koszulką o rachityczną trawę rosnącą u stóp drzewa. Seledynowe smugi na koszulce były równie rachityczne jak trawa. Tym razem kłął przez kilkanaście sekund. Potem rozejrzył się i w odległości dwóch metrów zobaczył kretowisko. Świeża czarna ziemia wabiła błotnistym połyskiem. Jak się wkrótce okazało, wspaniale brudziła jasną bawełnę.

Koszulka po tym zabiegu była mokra, chłodna i nieprzyjemnie kleiła się do ciała, ale przede wszystkim była prawie czarna i to gwarantowało, że nie przyciągnie bystrych oczu Burego.

Ruszył w prawo, w stronę plaży i chińskiego muru. Wreszcie. Ale nie uszedł daleko. Na faceta z prętem natknął się po kilkudziesięciu metrach. Facet nie miał pręta w dłoni, na pewno jednak trzymał go gdzieś na podorędziu, w rękawie albo za pasem. W skupieniu i z ostrożnością przeczesywał właśnie wielką kępę krzaków, czyniąc przy tym szelest. Właśnie ten szelest zwrócił uwagę Marka.

No tak, mieli się rozdzielić, żeby go łatwiej znaleźć, tymczasem on znalazł jednego z nich.

Mógł nie atakować, w końcu nie czuł się najlepiej. Mógł – osłonięty przyjaznym cieniem drzew – obejść faceta i podążyć swoją drogą. Ale ten facet był sam, stanowił więc dogodny cel ataku, a przede wszystkim był kimś, kto na pewno wiedział, co się stało z Martą, wiedział, kim jest ten czwarty, który kupił jego usługi.

Poczekał, aż facet wyjdzie z krzaków. Czas wykorzystał na obserwację otoczenia: upewnił się, że w pobliżu nie ma nikogo. Potem, gdy facet wyszedł, wystarczyły dwa szybkie skoki i trzy mordercze ciosy w przepone.

Odciągnął bezwładne ciało w cień drzew. Zmęczenie, które go po tej operacji ogarnęło, przypominało mu, że jest jeszcze bardzo słaby. A narastający w tyle czaszki pulsujący ból upewnił go, że z głową jest coś nie w porządku. Zresztą bez przerwy szumiało mu w uszach, a kilkadziesiąt kroków uczynionych bez odpoczynku i ta walka, która praktycznie nie miała historii i normalnie nic by go nie kosztowała, teraz wypełniła oczy białą mgiełką, w której pulsowały małe iskierki.

– Co zrobiliście z dziewczyną – zapytał, kiedy ułożony na plecach facet powoli otworzył oczy. Marek klęczał nad nim. Lewą dłoń, lekko zaciśniętą, trzymał na jego gardle. Prawą, zwiniętą w pięść, wznosił do ciosu.

Powtórzył pytanie, bo gość mrugał bezradnie powiekami i zdawał się nie rozumieć słów. Wtedy

właśnie, powtarzając pytanie, pojął, że za chwilę uderzy i że będzie to cios wyprowadzony z morderczą siłą.

Musiało być w głosie Marka coś szczególnego, co błyskawicznie otrzeźwiło faceta.

– Nie wiem... – charknął. – Z jaką dziewczyną?

– Z tą Cyganką, co była ze mną.

– Przecież uciekła!

– Uciekła? A gdzie był wtedy ten trzeci?

– Jaki trzeci...

Marek zacisnął lewą dłoń i głos uwiązał facetowi w gardle. Ten nie poruszył się, chociaż miał obie ręce wolne i mógł spróbować walczyć.

Marek powolutku rozwarł dłoń i pochylił się nad facetem nie zważając na to, że pulsujący ból rozprzestrzenia się na całą czaszkę.

– Zabiję, jeśli nie powiesz mi trzech rzeczy! – wyszeptał gorączkowo. – Muszę wiedzieć, co zrobiliście z dziewczyną. Muszę wiedzieć, gdzie był podczas walki ten trzeci. Muszę wiedzieć, kto wynajął was do napadu. Muszę wiedzieć. Rozumiesz, gnoju? – zapytał unosząc się lekko i zaciskając dłoń na gardle faceta. – Jeżeli mi tego nie powiesz, zabiję...! A tak masz szansę przeżyć. Rozumiesz? Dociera to do ciebie?

Facet poruszył się niespokojnie, ale gdy dłoń Marka jeszcze mocniej zacisnęła się na jego gardle, szybko kiwnął głową. Twarz, mimo kilku zainkasowanych podczas walki ciosów, miał nienaruszoną. Teraz ta jego nienaruszona twarz pokryła się kredową bladością, nawet wykrzywione brzydkim grymasem usta nabrały dziwnej szarej barwy. Marek poluzował zaciśnięte palce. Facet zachłysnął się powietrzem raz, drugi, trzeci i zaraz zaczął mówić, chaotycznie, ale żarliwie:

– Dziewczyna... nic jej nie zrobiliśmy, nic, nie zdążyliśmy, ona uciekła, tak jak jej kazałeś... A Janek... spóźnił się trochę, parę minut, my nie chcieliśmy na ciebie napadać, jakoś tak samo wyszło...

Marek znów zacisnął dłoń i głos uwiązał facetowi w gardle.

– Kto was wynajął? – spytał pochylając się. – Tylko nie kłam, idioto! Nie kłam, jeśli chcesz żyć! No? Kto was wynajął?

Facet zachłysnął się powietrzem i wychrypiał:

– Rudy...!

Marek jeszcze bardziej poluzował chwyt.

– Rudy – powtórzył cicho.

– Tak! – zapewnił facet gorączkowo. – Tak mówił ten, co przyniósł zaliczkę.

– A dziewczyna uciekła? Nic jej nie zrobiliście? Tak?

– Tak!

Wtedy uderzył, precyzyjnie i mocno, w przepoń. Puścił gardło faceta i poprawił z drugiej ręki. Facet stracił oddech, przewrócił oczami, z ust pociekła mu spieniona ślina. Marek uderzył trzeci raz, ale zawahał się przed czwartym ciosem. Jeśli Marta rzeczywiście im uciekła, jeśli nic jej się nie stało? Zabić teraz tego dumnia i założyć sobie na szyję stryczek? Albo zafundować długi, cholernie długi wyrok?

Wstał. Do muru miał jeszcze przynajmniej z dwieście metrów. Właściwie powinien się pospieszyć, bo nie był zbyt silny, a kompani tego zbója kręcili się w pobliżu.

Spojrzał na bezwładne ciało rozciągnięte u jego stóp. Ten trzeci, ten Janek, faktycznie mógł się spóźnić. Marta mogła naprawdę uciec. A że Salan nie zjawił się z odsieczą? Cóż, mogło go po prostu nie być w domu.

W porządku, ty fachowcu od krótkiego pręta, wyjdiesz z tego spotkania z życiem.

Przeciął polankę. Musiał zwalczyć instynktowną chęć pójścia dookoła, wzdłuż drzew, wzdłuż granicy cienia, gdzie byłby mniej widoczny. Instynkt ściganego. Jak szybko go sobie przyswoił!

– Rudy! – szepnął z nienawiścią. I powtórzył w rytm kroków: – Rudy! Rudy! Rudy!

Potem zacisnął zęby, a mroczki wirujące przed oczami były w równej części wynikiem zmęcze-

nia, co szalejącej w mózgu wściekłości. Popęłnił w życiu kilka błędów, za które musiał później słono płacić. Właściwie los nigdy nie obszedł się z nim pobłażliwie, nigdy nie zapomniał wystawić rachunku.

Błędy.

Kiedyś nie docenił pragnienia wolności, które gorzało w sercach pięciorga ludzi. Myślał, że włada tymi ludźmi absolutnie. Był jeszcze zbyt młody i niedoświadczony, żeby wiedzieć, że w każdym człowieku, nawet w największym sługusie, tkwi podświadome złudzenie dotyczące istnienia tak zwanej wolnej woli. Zapłacił za tę niewiedzę. Czterema latami więzienia.

Dzisiaj Figat uświadomił mu, że popełnił błąd nie wracając do miasta bezpośrednio po odbyciu kary. Zapłacił za to pięcioma latami bezsensownej tułaczki.

Wczoraj, gdy wrócił do miasta, uderzył tylko raz i to bardziej dla zasady niż z chęci bicia, niż z chęci zemsty. Bo nie pragnął zemsty. Był pogodzony z przeszłością. Rozumiał skutki upływu czasu. Nie przypuszczał, że dla innych ten czas mógł płynąć inaczej, że dla innych strach, którym żyli, był nieprzekraczalną barierą uniemożliwiającą pogodzenie się z przeszłością. Teraz płacił za swoją niedomyślność. Stało się stokroć gorzej, jeśli zapłaciła również Marta. A powinien był wrócić z sercem wypełnionym nienawiścią, pragnieniem zemsty, i rozpocząć pobyt od wymierzenia kilku potężnych ciosów. Tego właśnie tamci się spodziewali. Tego – jak wykazała praktyka – chcieli.

Ale – nic straconego! Tak mało czasu upłynęło od jego powrotu, tylko jeden dzień. Wciąż jeszcze rok pozostawał do przedawnienia. Rudego, Alisa czy Figata mógł zatłuc nawet w obecnej, fatalnej formie. Zresztą nie tak: Rudego musiał zatłuc.

– Rudy! – szepnął. I powtórzył w rytm kroków: – Rudy! Rudy! Rudy!

Musiał dopaść tego skurwysyna jeszcze dzisiaj. Musiał!

Gwizd! Przeciągły, w tym przeciągnięciu jakby żalony, a jednocześnie mocny i wysoki, ostry i alarmujący. Rozległ się za jego plecami mniej więcej z tego miejsca, gdzie pozostawił faceta z prętem.

I znowu gwizd. Przeciągły i żalony, głośny i ostry.

Ruszył biegiem. Robił przy tym sporo hałasu, wskazując drogę prześladowcom, ale to nie miało znaczenia. Musiał wyrwać się z tego przeklętego parku i to było najważniejsze. Musiał dotrzeć do muru, sforsować go i znaleźć się na ulicy, wśród ludzi. Musiał dotrzeć do Salana.

Biegł.

Mroczone przestały wirować, po prostu rozplynęły się w szarobiałą mgiełkę, która dosyć szybko zaczęła gęstnieć, w której dosyć szybko pojawiły się pulsujące iskry.

Musiał biec. Wiedział o tym. Ale ta słabość podcinająca kolana była silniejsza od jego woli. Przystanął więc dysząc ciężko, wsparł się na jakimś drzewie i sięgnął ręką do twarzy, bo mgiełka nie była mgiełką, cholera, tylko cienką białawą zasłonką złośliwie zawieszoną przed oczami. Próbował ją zdjąć, ale nie mógł albo nie potrafił, tak, nie potrafił, raczej nie potrafił. Przypadkowo dotknął twarzy i – mimo oszołomienia – wzdrygnął się czując pod palcami zimny, nieprzyjemnie lepki pot.

Nagle puścił drzewo i gwałtownie ruszył w przód, bo usłyszał coś i przestraszył się. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że poprzez szum w uszach usłyszał znane mu już, narastające świergotliwe cykanie.

Potem zderzył się z czymś, spróbował to ominąć, ale to coś wciąż przed nim było, i w lewo było, i w prawo było, cholernie twarde, boleśnie twarde, i chropowate, tak, chropowate jak ściana, jak... Mur!

Potem wdrapywał się mozolnie po rozchwianych ceglach, sam również rozchwiany, rozdygotany, przeraźliwie słaby.

Potem spadał gdzieś i spадanie to nie miało końca. Chciał wreszcie spaść, pragnął tego, a pulsujące iskry wirowały przed oczami, wirowały od niesamowitej szybkości tego lotu bez końca...

Ten świat pogrążony był w ciemnościach. Gdzieś tam, daleko, błyszczało jedno światło, ale tutaj, w miejscu, na które został skazany, w którym wylądował wreszcie po nie mającym końca spa-

daniu, było absolutnie i beznadziejnie ciemno. Wzrok gubił się w bezgranicznej otchłani mroku, to znów ślizgał się bezradnie po gładkiej i twardej powierzchni ciemności. Pustka. Pozbawiona najdrobniejszych niuansów absolutna nicość. A przecież człowiek musi mieć choćby zarys celu, żeby żyć, żeby w ogóle ruszyć z miejsca. Tym bardziej wabiło to dalekie światło. Zbyt dalekie jednak. Nieosiągalne.

Ale szedł. Chyba szedł. A może leżał. Albo siedział. Jak określić własne położenie w stosunku do absolutnej nicości?

Szedł. Chyba jednak szedł. Jeśli tak, to droga zbyt gładko przewijała się pod jego stopami. Zbyt gładko. Nie ma takich dróg na świecie. Zazwyczaj wszystkie w mniejszym lub większym stopniu przypominają Drogę Krzyżową.

Droga Krzyżowa. Droga Męki. Zbyt wcześnie, synu, wszedłeś na swoją drogę krzyżową. Może teraz, w ramach niepojętej rekompensaty należy ci się szlak absolutnie gładki?

Zobaczył. Zobaczył kontury domu. Zaraz potem miał wrażenie, że dostrzega poruszającą się szybko – jakby w popłochu – sylwetkę człowieka. Potem zobaczył siatkę ogrodzenia i wysmukły cień nie palącej się latarni. A więc... A więc wychodził z obszaru ciemności.

Tak. Widział coraz wyraźniej i coraz więcej. Zarys kolejnego domu, bramę z prętów, drzewo, krzak, nawet kratownicę chodnika. Pomału upewniał się, że jakiś świat wokół niego istnieje. Świat cieni i niewyraźnych kształtów, ale zawsze jakiś świat. A on? Czy istniał? Myślał, że ale nie myślenie decyduje we wszystkich światach o istnieniu człowieka. Co decyduje? Nazwisko? Czy miał jakieś nazwisko, jakieś miano uprawniające go do istnienia?

Twoje nazwisko, synu?

Niespodziewanie znalazł się w kręgu ostrego, oślepiającego światła, rzucanego przez silną lampę umieszczoną tuż nad nim. Jak na przesłuchaniu w starych amerykańskich czy francuskich filmach. Pojedynek między przesłuchiwanym i przesłuchującym nigdy nie toczy się według sprawiedliwych reguł: przesłuchiwany zawsze ma mniejsze szanse. Dlatego, jeśli wygra, należą mu się gromkie brawa. Czy tak?

Stał. Tym razem na pewno wiedział, że stoi. W ostrym świetle wyraźnie widział kratownicę chodnika, własne stopy, krawężnik, ciemny asfalt jezdni. Tym razem mógł dokładnie określić swoje położenie w stosunku do otaczającego świata. Stał.

Jacyś ludzie wchodzili w światło, przewijali się przez nie i po przeciwnej stronie kręgu znikali w mroku. Nie znał ich. Jednak oni chyba go znali, bo ich twarze w chwili mijania go traciły obojętny kamienny spokój, ożywiały się, drgały, układały w grymasy trudne do zidentyfikowania, a właściciele tych twarzy nagle przyspieszali i pogrążali się w mroku. Halucynacja?

Zdolność do zastanawiania się nad charakterem zjawisk dowodziła zdolności do myślenia, do myślenia w ogóle. Dlaczego więc nie znał siebie? Dlaczego nie wiedział, kim jest?

Kim jesteś, synu?

Potem, gdy już miał ruszyć dalej, przed siebie, byle gdzie, pojawiła się w kręgu światła twarz trochę znajoma, brakowało jej jednak czegoś, jakiegoś istotnego szczegółu, który uniemożliwiał identyfikację. Nie było w niej obojętności, nie, odwrotnie: była radość, ekscytacja, podniecenie. Jednak, gdy znalazła się dostatecznie blisko i zaczęła go mijać, wykrzywił ją grymas podobny do tamtych grymasów, trudny do zidentyfikowania, a on nagle zrozumiał, czego tej twarzy brakuje. Ostre światło miało szczególne właściwości, jak ultrafiolet bakterie, tak ono niszczyło kolory, a ta twarz normalnie miała szafirowe, tak, szafirowe oczy.

– Koniu! – krzyknęła inna twarz, też znajoma, też skrzywiona grymasem trudnym do określenia, a jemu wtedy jakaś klapka odskoczyła w mózgu i cała przeszłość stanęła otworem.

Marek zachwiał się, ostro świecąca lampa przygasła, twarze Alisa i Krystyny zmatowiały, odsunęły się nieco, a przestrzeń wokół nich zaczęła wypełniać się szarobiałą mgiełką.

– Niedobrze ci? Może trzeba na pogotowie? – pytał jakiś cichy cichutki głos. Silne ramię wspierało go, pchało, prowadziło, wlokło. Świat wypełniony szarobiałą mgiełką i pulsującymi iskierkami wirował w powolnym mechanicznym tańcu.

Nagle poczuł, że siedzi na czymś twardym, stabilnym – i ten cholerny świat znieruchomiał szybko. Mgiełka zaczęła rzednąć, iskry gasnąć. Bardzo blisko pojawiła się twarz Krystyny, a jej oczy znowu były, tak, szafirowe.

– Czy rozumiesz, co do ciebie mówię? – spytała. – Czy ty mnie słyszysz.

Skinął głową. I zaraz tego pożałował, bo w głębi czaszki po szarych zwojach przetoczył się jakiś cholernie ciężki, twardy i kanciasty kamień. Zastękał, przymknął oczy.

– Co ci? Co ci jest?

– Nic! – szepnął. Otworzył oczy i bardzo powoli poruszył głową; kamień w głębi czaszki na szczęście nie drgnął.

– Jak się czujesz? Czy wytrzymasz parę minut? Adam zaraz pobiegnie i sprowadzi pogotowie...

– Jakie pogotowie! Po co pogotowie! – zachnął się, cały czas dbając, by nie poruszyć głowę. Trochę zaskoczyło go czyste brzmienie własnego głosu. Sądził, że będzie szeptał albo chrypiał, że w ogóle będzie miał trudności z mówieniem; w końcu był cholernie zmęczony.

– Nie chcesz pogotowia? Wyglądasz strasznie...

– Nie! Nic mi nie jest – zapewnił.

Nie powinno ich obchodzić, nic nie powinno ich obchodzić! Wolał, żeby sobie poszli, żeby zniknęli w ciemności, z której wyszli.

– Popiłeś sobie?

– Tak.

– I biłeś się z kimś?

– Tak... Chyba tak... – rzekł niepewnie. Nagle odetchnął głęboko: to był dobry pomysł, bójka! – Tak, biłem się! – powiedział pospiesznie. – Ale nic mi nie jest. Naprawdę nie trzeba żadnego pogotowia.

I powtórnie odetchnął głęboko. Mgła rozwiła się prawie całkowicie, iskierki również zgasły. Siedział na ławce ustawionej na niewielkim trawniku, widział pobliski róg ulicy i samotną latarnię, widział ludzi raz po raz przewijających się przez jej światło. Halucynacja?

– Kto cię tak oporządził? – usłyszał Alisa.

– Nie pamiętam.

– Czy to ważne, Adam? – wtrąciła Krystyna. – Pobiegiesz się mścić?

– W tym mieście nie ma człowieka, który mógłby go tak oporządzić...

– Nie było dziewięć lat temu – sprostowała. – A teraz, kto wie, czy gdzieś na Przyrzeczu nie dorósł lepszy od niego zabijaka. Nie zastanawiaj się nad tym. Lepiej daj mu łyka, to go od razu postawi na nogi.

– Faktycznie. Pij, Koniu.

Wziął butelkę z ręki Alisa, pękata, dużą, i napił się potężnie, do utraty tchu, bo instynktownie pragnął wzmocnienia, choćby chwilowego. Potem oparł butelkę na kolanach i uchwycił ją drugą dłonią, zdecydowany nie oddać jej jeszcze Alisowi. Po niedługiej chwili ciepłe strumienie krwi rozniosły zbawczą energię po całym organizmie. Wyprostował się, odetchnął. Usłyszał cichy śmiech Krystyny.

– A nie mówiłam!

„Alis to nie Rudy” – pomyślał, bo już nabrał wystarczająco dużo sił, żeby zmiażdżyć Alisa. Rozejrzał się, zatrzymał wzrok na rogu ulicy.

– Dokąd ci ludzie tak walą? – zapytał wskazując ludzi wciąż przewijających się przez światło latarni.

– Nad rzeką na tańce – powiedział Alis. – Zapomniałeś? Dzisiaj najkrótsza noc w roku.

– No tak, zapomniałem.

A więc nie halucynacja, ci ludzie rzeczywiście przechodzą pod latarnią. Świat po łyku alkoholu zaczynał nabierać prawdziwych wymiarów. Gdyby tak jeszcze jeden łyk...

Wiedział, że pije alkohol, bo czuł jego błogosławione działanie, ale nie czuł smaku ani zapachu. Jak podczas silnej gorączki. Może miał gorączkę: ten cholerny cios prętem...! Spróbował zgadnąć,

czy cios naruszył mu kości czaszki – i nagle ucieszył się, że i tak nie zgadnie. Coś tam na pewno było nie w porządku. Wstrząs mózgu? Pęknięcie? W końcu dwukrotne omdlenie i ta słabość paraliżująca ciało to dosyć poważne objawy. Czego?

– Chodź z nami – zaproponował Alis. – Wyglądasz trochę makabrycznie, ale tam dzisiaj nikogo nie przestraszysz.

– Widzieliście Rudego? – zapytał. Starał się, żeby zabrzmiało to zwyczajnie, obojętnie.

– Tak – odparła Krystyna.

– Gdzie? Kiedy?

Strzelił tymi pytaniami odruchowo i gwałtownie. Zaskoczył ich i chyba trochę przestraszył. Wymienili spojrzenia.

– Niedaleko, w Śródmieściu – powiedziała Krystyna niepewnie. Spojrzała na Alisa sprawdzając, czy dobrze zrobiła.

– Kiedy? – spytał siląc się na obojętność.

– Parę minut temu – rzekł Alis.

– To świetnie! – Marek odetchnął. Parę minut temu. Więc Rudy kręcił się gdzieś niedaleko. Odszukanie go było więc kwestią przypadku. Szczęśliwego?

Czy dopisuje ci dzisiaj szczęście, synu? Raczej nie...

– Mam do niego interes – powiedział. – Bardzo ważny interes. Dużo zależy od tego, jak szybko się z nim zobaczę. Gruba forsa. Muszę dokładnie wiedzieć, gdzie go widzieliście.

– Przed „Astorem”.

– Gdzie?

– To hotel w Śródmieściu. Ten wieżowiec.

– Nie mówił, dokąd się wybiera?

– Nie. Proponowaliśmy mu, żeby poszedł z nami, ale nie chciał. A nas po prostu nie interesowały jego plany. Ale powiem ci, że nie wyglądał na takiego, który się specjalnie spieszy. Może jeszcze tam jest.

– Tak – bąknął. – To świetnie.

Napił się. Wciąż nie czuł smaku alkoholu.

Tak, to rzeczywiście świetnie, bo jeżeli Rudy spokojnie włóczy się po Śródmieściu, to najwyraźniej nic jeszcze nie wie o niepowodzeniu Burego i spółki. Normalka, Bury nie zameldował, bo nikt nie spieszy się meldowaniem o swoich porażkach. Być może Bury wciąż jeszcze polował na niego w parku. Albo liczył na to, że dopadnie go gdzieś na ulicach miasta. Wieczorem miał odebrać należność za wykonanie roboty. Wieczór właśnie trwał.

„Mam gorączkę” – pomyślał. Mógł mieć, oczywiście. Bo te mroczki przed oczami, nieustające oszołomienie, słabość ciała, nierówna praca serca – wszystko to było rezultatem ciosu w głowę.

Wstał. Trochę obawiał się tego momentu, jednak poszło całkiem niezłe, chociaż te parszywe mroczki wyskoczyły gdzieś z głębi czaszki. Na szczęście zaraz znikły.

– Wiesz co, może ty jednak chodź z nami. – Był smutek w twarzy Krystyny i z troską w jej głosie.

– Tak, Koniu! – poparł ją Alis. – Pluń na wszystkie interesy i chodź z nami.

– Nie mogę. Muszę znaleźć Rudego – powiedział. – Bawcie się dobrze.

– W interesach ty na Rudego uważaj – poradził Alis. – Nie bardzo cię lubi.

Marek zawahał się. Miał ochotę opowiedzieć im o napadzie w parku, o Bury i o roli Rudego. Ot, chciał się w ten sposób zaasekurować, chciał, żeby ktoś znał prawdę na wypadek, gdyby jemu coś się stało, zanim dopadnie Rudego. Bo wzruszyła go troska brzmiająca w głosie Krystyny i dosyć wyraźna deklaracja sympatii ze strony Alisa. Jednak troska czy sympatia... Cóż one będą znaczyć, gdy do dupy zajrzy prawdziwy strach! A Bury potrafił przestraszyć najodważniejszego.

Niech idą bawić się nad rzekę bez balastu cudzych kłopotów, bez denerwującego przypominania o tym, jak kurewskim miejscem jest ten świat.

– Nie martwcie się, będę uważał – powiedział, uniósł na pożegnanie dłonie i ruszył w stronę

Śródmieścia.

Po kilku krokach obejrzał się ostrożnie odwracając głowę. Oni też zeszli z trawnika i teraz stali w kręgu światła, pod latarnią. Pomachali mu. A on ruszył dalej. Fizycznie czuł się lepiej, ale jego nastrój bojowy uległ jakby stepieniu, więc z premedytacją spróbował wyobrazić sobie kaprawą mordę Rudego. Ale zdołał zobaczyć oczami wyobraźni tylko siniak, znacznie potężniejszy od oglądanego dzisiaj po południu. Pomyślał, że nic nie stoi na przeszkodzie, by jego wyobrażenia pokryły się z rzeczywistością. Już myśląc to wiedział, że się okłamuje. Bo czuł wzbierającą wściekłość, czuł zalewającą mózg falę czerwonego zamroczenia. Gdy dopadnie Rudego, rzecz nie skończy się na jednym ciosie. Ani na dwóch, ani na dziesięciu.

Zakatujesz go, synu. a jeżeli Marcie nic się nie stało? Czy w takim wypadku życie Rudego warte jest długich lat więzienia?

Dotarł do skrzyżowania z ulicą Starego Doktora i zatrzymał się. Był w samym sercu Śródmieścia. Po drugiej stronie jezdni widział neon dworca autobusowego, a nieco dalej, za placem Na Rozdrożu, neon hotelu „Astor”. Gdzieś tutaj szwendał się Rudy. Czy warto go szukać?

Warto? Tak, właśnie, czy warto? Bo jeśli Marcie nic się nie stało, to wszystkie sprawy musiał rozpatrywać pod kątem wartości.

Widział ludzi wędrujących ulicą. Nie było ich wielu, znacznie mniej niż się spodziewał. Przypomnił sobie ten tłum, który przewinął się przez światło latarni – i znowu zwątpił: halucynacja?

Dostrzegł radiowóz jadący po drugiej stronie jezdni, niespełna sto metrów za nim dostrzegł drugi, a na placu Na Rozdrożu trzeci. Obstawiali miasto z powodu tańców? Ale dlaczego tutaj, a nie nad rzeką?

Cofnął się odruchowo w poszukiwaniu ciemniejszego miejsca, ale ulica była dobrze oświetlona, ciemne pozostawały tylko wnętrza bram.

I wtedy go zobaczył. Rudy wyszedł z knajpy obok dworca, przeciął chodnik i zatrzymał się przy krawężniku przepuszczając nadjeżdżający radiowóz. Ręce miał wbite w kieszenie spodni i rozglądał się, kręcąc głową niefrasobliwie, nonszalancko. Być może nawet gwizdał coś pod nosem. To rozwścieczyło Marka. Ruszył ku jezdni, ale natychmiast osadziło go w miejscu gwałtowne szarpnięcie za ramiona.

– Dokąd leziesz, idioto! – usłyszał nabrzmiały wściekłością głos Figata. – Szybko! Spieprzaj z tego światła.

Uwolnił się od niego z dziecinną łatwością: w końcu Figat to nie Bury.

– Czego! – warknął i odwrócił się.

– O kurwa! – jęknął Figat na widok jego twarzy. Jednak błyskawicznie ochłonął. – Cofnij się, szybko! Tamci zaraz tu będą! – zawołał wskazując w lewo, w głąb ulicy Starego Doktora, gdzie na środku jezdni zawracał właśnie pierwszy z radiowozów dostrzeżonych przez Marka.

– No to co? Niech sobie będą.

– Człowieku! Gliny jak wściekli szukają cię po różnych dziurach, a ty jak gdyby nigdy nic paradujesz po Śródmieściu i pchasz się im na oczy! – wyrzucił Figat jednym tchem. Równocześnie ciągnął Marka w kierunku przecznicy. – Zosia szuka cię nad rzeką, a my z Anką zabłądziliśmy akurat tutaj. Anka zostawiła samochód przy dworcu i teraz po niego poleciała. Zaraz powinna tu być... No chodź! Chodź!

Marek nie opierał się zbyt. Właściwie nie opierał się wcale. Szukają! – to przecież magiczne słowo, a w Marku już diabelnie żywy był instynkt ściganego.

Zatrzymali się poza zasięgiem świateł bijących od ulicy Starego Doktora.

– No! Tutaj nas nie zobaczą! – Figat odetchnął.

– Co się stało?

– Nie wiesz?

W pytaniu zabrzmiało powątpiewanie, więcej: zwyczajna niewiara. Marek zdenerwował się.

– Niby co mam wiedzieć? – warknął zaczepnie.

Figat milczał chwilę.

– Kto ci tak oporządził buziunię?

Marek wzruszył ramionami. I nagle roześmiał się drwiąco.

– Rudy – powiedział.

– Rudy? – zdumiał się Figat. – Ręce do dupy ci przyrosły czy jak?

– Nie sam, nie osobiście. Nasłał na mnie trzech zbirów, specjalistów od mokrej roboty – powiedział Marek. Mówił i czuł niechęć i pewne znużenie, jakby opowiadał już tę historię kilkanaście razy. – Po wyjściu od ciebie poszliśmy do parku. No i właśnie tam naskoczyli na nas. Bury, Janek i jakiś trzeci. Przyduśiłem trochę jednego i on powiedział mi, że wynajął ich Rudy. Była bitwa. Któryś zaprawił mnie w głowę prętem...

– Koszulę też ci wytaplał w błocku? I porobił te kreski na ramionach? Zupełnie jak od paznokci... – Sam ton głosu Figata po prostu zarzucał Markowi kłamstwo.

– Nie musisz wierzyć, stary...

– Nieważne, czy ja uwierzę. Ważne, żeby uwierzyli inni.

– Inni? Gliny? Słuchaj, co się właściwie stało? Dlaczego gliny mają mi wierzyć albo nie? Co oni mają do mnie? – Marek zaniepokoił się. – Przecież tego typu z prętem zostawiłem żywego. Gwizdał później...

Wtem Figat zaciągnął Marka głębiej w cień, bo ulicą Starego Doktora powoli przejechał radiowóz. Tuż za nim ukazał się czarny passat i skręcił w przecznicę.

– No, jest Anka! – powiedział Figat.

Widocznie nie stali w całkowitym cieniu, bo Anka dostrzegła ich. Zgasiła światła, zatrzymała samochód przy krawężniku i wysiadła pośpiesznie. Podbiegła do Marka.

– Chodź! Połóżysz się na tylnym siedzeniu i wywieziemy cię z miasta – powiedziała szybko. – Miejmy nadzieję, że samochodów jeszcze nie zaczęli sprawdzać.

– Nigdzie nie jadę! – zaproponował zdecydowanie. – Najpierw muszę wiedzieć o co tutaj chodzi.

– Zgrywasz się? – w głosie Anki zabrzmiała nutka powątpiewania podobna do tej z głosu Figata.

– Twierdzi, że o niczym nie wie – wtrącił Figat.

– No bo nie wiem! – Marek zaczął wkurzać się nie na żarty.

Anka westchnęła.

– Dwie godziny temu znaleziono w parku tę małą Cyganekę, siostrę Salana, z którą afiszowałeś się dzisiaj w mieście – powiedziała cicho, nie patrząc na Marka. – Od tej chwili szuka cię cała nasza policja. Gebels mówi, że najstarsi gliniarze nie pamiętają takiego polowania.

– Znaleziono? – zapytał, choć nie musiał pytać. Coś, co zaczęło się walić już podczas ucieczki z parku, a co troskliwie podpierał nadzieją i złudzeniami, teraz runęło ostatecznie przygniatając go ogromnym ciężarem.

– Tak, znaleziono! – potwierdził Figat z satysfakcją. – Zgwałconą i zamordowaną. Zakłutą nożem.

Fizyczny ból w przeponie utrudniający oddychanie, zakłócający pracę serca. Psychiczna udręka wywołana świadomością, że pozostały tylko ruiny.

Czy duszy można zadać ból? Dusza? Człowieku! Czy dusza istnieje? Człowieku? Czy ty jesteś człowiekiem? Bydlę z ciebie. Bezduszne i bezrozumne bydlę! Zabiłeś niewinną dziewczynę i teraz bredzisz coś o duszy. Po co wróciłeś do tego zawszonego miasta? Dlaczego nie zabiłeś Rudego od razu? Dlaczego przebaczyłeś mu i reszcie tych podstępnych skurwysynów? Dlaczego nie umiałeś zdobyć się na uczciwą męską zemstę? Rozbiłbyś kilka parszywych zakutych łbów albo doniósłbyś na nich do gliniarstwa. Potem brzydziłbyś się sobą, ale to nieważne, bo Marta by żyła. Tak, Marta...

Płakał. Gęste łzy szybko wyłobily sobie drogę na brudnej i pokrytej zakrzepłą krwią twarzy.

A teraz... teraz co? Teraz parka z tej zbójckiej paczki staje przed tobą i bezczelnie posądza cię o zamordowanie Marty! Gorzej, synu: o to samo posądza cię policja tego zawszonego miasteczka!

Na dokładkę miał w głębi duszy tę cholerną pewność, powodującą tężenie mięśni w napadzie bezsilnej złości, że choć prawdziwy morderca jest mu znany, to jednak pozostanie bezkarny.

Potem zaczęły przewijać się przez oszołomiony mózg obrazy, mgliste obrazy: widział Martę, widział to, czego nigdy nie było i już nigdy nie będzie. Nigdy.

Płakał. Łzy nie potrafią wzruszyć obojętnego losu ani zmienić czy cofnąć biegu wydarzeń.

Dlaczego płakał dopiero teraz? Przecież wiedział wcześniej, znacznie wcześniej. No tak, wiedział. Ale nie miał ostatecznej pewności.

Oczy Anki przyzwyczały się do ciemności. Widziała więc twarz Marka zmienioną w makabryczną maskę, widziała łzy, widziała ten płacz bezgłośny, czuła rozpacz bijącą od jego zgarbionej postaci. Kiedy zatelefonował triumfujący Gebels... Kiedy Zosia zadzwoniła z prośbą o pomoc, Anka natychmiast ruszyła ratować Marka, choć nie wierzyła w skuteczność takiego ratunku, ale ruszyła, bo czuła się w stosunku do Marka winna, bo wiedziała, że ma do spłacenia wielki dług. Jednak ani przez chwilę nie wątpiła, że to Marek... Chociaż nie, wątpiła troszkę, na tej infantylnej zasadzie: nie chce wiedzieć, więc nic się nie stało. Ale teraz...

Figat też widział te łzy. Nie opił się dzisiaj, wódka po wyjściu Konia jakoś przestała mu smakować, więc sączył ją tylko, żeby nie popaść w kaca; był w pełni sprawny, gdy przed godziną przybiegła Anka. Na rewelacje usłyszane od Anki zareagował odruchowo: to nie Marek! Ale później zaczął myśleć. I zwątpił, bo uświadomił sobie jedną rzecz, o której dotychczas nie miał pojęcia: nie szanował Konia, a nawet trochę nim gardził. Za to, że obdarowany przez naturę różnorodnymi talentami, nie potrafił ich wykorzystać, nie potrafił zaprząć ich do służby rozumowi. A człowieka, którym się gardzi, bez wielkich skrupułów można posądzić o wszystko. Posądził go więc tym łatwiej, że tak uważała policja, obiektywna policja, mająca najwięcej danych. Pozostawała tylko jedna wątpliwość: brak motywu. Po co Koń miałby gwałcić i mordować tę Cyganekę? Przecież był z nią w nocy. Przecież dziewczyna lgnęła do niego. A jednak... jednak Koń był nieobliczalny. Czy rozumując logicznie można wytłumaczyć postępowanie człowieka reagującego instynktownie?

Patrzył na łzy spływające po twarzy Marka i już wiedział, że pomylił się posądzając go. Już nawet wiedział, dlaczego się pomylił. Nie gardził Koniem lecz – zwyczajnie – zazdrościł mu bezmyślnie marnowanych darów bożych, i właściwie ta zazdrość była głównym czynnikiem określającym jego stosunek do Konia. A zazdrość bywa parszywym doradcą.

Dotknął ramienia Anki. Spojrzała pytająco.

– Mówił, że kiedy szedł przez park z tą dziewczyną, napadli na nich jacyś bandyci nasłani przez Rudego – szepnął. – Od nich tak oberwał. Może to oni załatwili dziewczynę...

Marek przestał płakać. Uniósł dłoń i roztarł na policzkach ślady łez wyżłobione w zakrzepłej krwi.

Rozpacz? Synu, nie stać cię na to. Teraz nie możesz pozwolić sobie na żadne emocje. Musisz być chłodny, opanowany i silny. Tak, pomimo fizycznej słabości, musisz być silny. Tu chodzi o sprawiedliwość. Nie o zemstę, lecz o sprawiedliwość. Musisz jej wymiar wziąć w swoje ręce. Musisz działać szybko, bo jeśli zostawisz im trochę czasu, to ta zgrana paczka cholernych skurwysynów zrobi wszystko co w jej mocy, żeby Rudy uniknął kary. Właśnie Rudy. Bury i jego ludzie to zdziczałe lumpy, zabawiające się na swój sposób z przypadkowo dopadniętą dziewczyną. Zresztą Buremu nie dałbyś teraz rady, za słaby jesteś, ale znajdziesz jakiś sposób i prześlesz wiadomość Salanowi, a ten już się nim zajmie. Ty musisz dopaść Rudego. Szybko dopaść. Najlepiej zaraz.

Anka dotknęła jego ręki.

– Słuchaj, Marek, szuka cię cała policja naszego miasta. Zmobilizowali wszystkich i kręcą się wszędzie. Niepotrzebnie się narażasz. Mam samochód. Położysz się na tylnym siedzeniu i...

– I zawieszysz mnie prosto na komendę! – dokończył drwiąco. Wskazał radiowóz przejeżdżający ulicą Starego Doktora.. – Czy nie łatwiej ich zawołać? Po co masz tracić czas i benzynę i narażać się, że przed komendą w napadzie szalu rozwalę ci łeb?

– Co ty, Marek! – Anka cofnęła się w stronę Figata.

Przysunął się do nich.

– Dranie! – syknął. – Nienawidzę was!

– Nas? Za co? – zapytał Figat.

– Zabiliście Martę...

– My? W jaki sposób? Przecież mówiłeś, że to Rudy...

– Ty i Rudy to jedno! – warknął Marek. – I ty też! – dodał wskazując Ankę. – I Gebels. I Alis. Razem zabiliście Martę. Wspólnie!

– Ależ nie mamy z tym nic wspólnego! – zaprotestowała Anka. – Chcemy ci pomóc.

Marek przetarł dłonią twarz. Czuł przypływ sił: Rudy był naprawdę blisko.

– Chcę dostać Rudego – powiedział. – On tu jest, widziałem go. Cieszcie się, że chcę tylko Rudego.

– To bardzo wygodne, Koniu, zwałać odpowiedzialność na cudze barki – rzekł Figat. – Wymyśliłeś to sobie całkiem nieźle. Ale my naprawdę nie mamy nic wspólnego z Rudym. Pomyśl tylko, jak on musiał się bać, jeśli nasłał na ciebie wynajętych ludzi. Jeżeli ktoś z nas jest winien, to tylko ty. Bo ty wzbudziłeś w Rudym strach, który pchnął go do tego czynu. Ty!

Marek prawą ręką chwycił Figata za koszulę na piersiach i przyciągnął gwałtownie, a lewą wymierzył krótki i niezbyt mocny cios w żołądek. Począł, aż Figat odzyska oddech.

– Żyjesz – wyszeptał mu w twarz. Widział oczy mrużące się w przerażonym oczekiwaniu na następny cios, widział dygotliwy grymas krzywiący usta. – Wciąż jeszcze widzę różnicę między tobą i Rudym. Ale nie doprowadzaj mnie do ostateczności, bo przestanę widzieć. Wtedy ty przestaniesz żyć.

Puścił Figata, a ten osunął się na ziemię bezwładnie i miękko, jak worek trocin. Anka cofnęła się w stronę samochodu, jakby chciała uciekać, ale potem, gdy Marek ruszył w kierunku ulicy Starego Doktora, zawróciła i przypadła do Figata.

Marek szedł powoli, ostrożnie, trzymając się cienia. Chciał tylko spojrzeć w ulicę Starego Doktora i zorientować się, czy Rudy jeszcze tam jest. Nie miał zamiaru wychodzić w pełne światło, nie miał zamiaru ryzykować.

Musieli namierzyć go wcześniej, bo akcja była bezbłędnie przygotowana. Gdy zbliżył się do rogu ulicy, usłyszał za sobą szelest kroków. Natychmiast zorientował się, że to nie Anka czy Figat, oni nie mieli powodu poruszać się tak cicho. Błyskawicznie pochylił się, żeby uniknąć obezwładniającego chwytu, ale tamten z tyłu wcale nie miał zamiaru go obezwładniać, tylko mocno pchnął Marka w plecy. To pchnięcie – w połączeniu z wcześniejszym pochyleniem – spowodowało, że Marek jak wystrzelony z katapulty wyprysnął na ulicę Starego Doktora. Tu, nie wiadomo skąd, wziął się na jego drodze radiowóz; powtórne pchnięcie w plecy sprawiło, że Marek z impetem wylądował na jego masce. Sekundę później z cichym zgrzytem zamknęły się na jego rękach kajdanki.

– Ten? – zapytał ktoś cichym, lecz napiętym głosem.

Mocne szarpnięcie za ramiona postawiło Marka na nogi. Ostrzyżony na łysy młody wysoki chłopak o gładkich dziewczęcych policzkach zająknął mu w twarz.

– Ten! – powiedział z przekonaniem.

Kierowca w mundurze kaprała, też młody, trochę pucołowaty, z czapką naciągniętą na niebieskie oczy, wysunął się z samochodu i spojrzął na Marka.

– Na pewno ten! – potwierdził.

– Kto ci tak pysk oporządził, bandyto? – spytał łysy chłopak.

Marek obojętnie wytrzymał jego twarde, złe spojrzenie.

– Sam jesteś bandyta – powiedział.

Chłopak drgnął, przymrużył oczy, zacisnął usta i odchylił się, jakby brał zamach do zadania ciosu, jednak zdołał się pohamować. Nagle zachichotał.

– Zarobiłeś już na taką pajdę, że głowa mała, a jeszcze podskakujesz? – zapytał krzywiąc się złośliwie.

– Pocałuj mnie w dupę, dobrze?

Chłopak skurczył się, zbladł, zacisnął pięści.

– Spokojnie, Jurek! – powiedział kierowca ostrzegawczo.

Zza pleców Marka wysunął się drugi cywil, mężczyzna około trzydziestki, brodaty, trochę hipo-

waty, ubrany w dżinsy i szarą koszulkę ozdobioną czerwonym napisem „I choose freedom”.

– Twardziel jesteś, co? – zapytał, a gdy Marek obojętnie wzruszył ramionami, dodał pobłaźliwie: – O tak, twardziel, wielki twardziel. Ale nie martw się, zmięknie ci rura, nie takim jak ty miętkła.

Tymczasem chłopak ochłonął już na tyle, że mógł spokojnie mówić.

– Czy wiesz, bandziorze, co bym z tobą zrobił, gdybyśmy spotkali się gdzieś bez świadków? – zapytał wpatrując się w Marka z nienawiścią.

Marek uśmiechnął się drwiąco.

– Przyjdź do mnie do celi, bandziorze – poradził. – Wtedy przekonasz się, co ja z tobą zrobię.

– Twardziel, jak Boga kocham! – zawołał brodac z ironicznym podziwem.

Marek wzruszył ramionami. Nagle poczuł słabość emanującą gdzieś z płuc albo z brzucha i szybko rozchodzącą się na cały organizm. Nie była to jednak zwyczajna słabość, był to efekt strachu. „Mięknie mi rura!” – pomyślał ironicznie. A potem uświadomił sobie, że wpadł. Po prostu wpadł. Dopiero teraz w pełni to zrozumiał.

Uciekać? Rozejrzał się odruchowo. W odległości kilkunastu metrów z lewej strony zobaczył wysoką i piękną dziewczynę wspartą o dach zaparkowanego przy krawężniku mercedesa. W wyrazie jej twarzy, w tym wsparciu o samochód, było coś nienaturalnego, konwulsyjnego. „Znam ją” – pomyślał. Ale nie miał czasu zastanawiać się, skąd ją zna, bo za jej plecami dostrzegł nadjeżdżającą granatową furgonetkę z migającym niebieskim kogutem na dachu. „To po mnie” – pomyślał. Musiał się spieszyć, jeśli....

Spojrzał w prawo. I drgnął. Rudy! Stał niedaleko, po drugiej stronie przecznicy. Jego posiniaczoną twarz wykrzywił dziwny grymas, który równie dobrze mógł być uzewnętrznieniem przeżywanego triumfu jak i przerażenia.

– Wypadałoby go obszukać, panowie – powiedział brodac i sięgnął do prawej kieszeni spodni Marka.

Nie mógł oderwać wzroku od Rudego. Oto stał sobie ten skurwysyn kilka metrów od niego, stał spokojnie, żywy i bezpieczny, o nic nie podejrzewany, gdy on... z kajdankami na rękach!

Usłyszał warkot silnika furgonetki, a potem pisk jej hamulców. Oderwał wzrok od Rudego i odwrócił głowę. Na miejscu niedawnego źródła słabości, usadowionego gdzieś w płucach albo w żołądku, miał teraz gorące źródło siły.

Brodacz wyciągnął z kieszeni Marka plik banknotów i sprężynowy nóż Daniego.

– Narzędzie zbrodni, co? – zapytał, troskliwie chowając nóż i banknoty do foliowych torebek.

Furgonetka zatrzymała się obok radiowozu. Boczne drzwi otworzyły się z impetem i wyskoczył z nich Gebels. W mundurze jego wielkie ciało prezentowało się jeszcze okazalej.

– Co z nim? Dlaczego tak wygląda? – zaniepokoił się spojrzawszy na Marka.

Kierowca wyprężył się odruchowo.

– Takiego wzięliśmy, panie komisarzu! – zameldował.

Gebels zbliżył się powoli. Miał wypieki na policzkach, błyszczące oczy i mocno wilgotne usta: najwyraźniej emocjonował się bardzo. Nagle błysnął zębami w triumfalnym uśmiechu. Chciał się odezwać, ale Marek go uprzedził.

– Leżysz, Gebels! Jeżeli myślisz, że będę teraz milczał o tamtym, to się grubo mylisz! – powiedział szybko.

– Mam to gdzieś, Koniu! – odparł Gebels. Z ust nie schodził mu triumfalny uśmiech. – Rozumiesz? Mam to gdzieś. Mogę leżeć, nic mnie to nie obchodzi. Bo ty wkopałeś się na amen. Za to, co zrobiłeś, dostaniesz dożywocie!

– Więc wierzysz, że ja to zrobiłem? – Marek pozwolił sobie na uśmiech. – Coś tu nie gra. Nie jesteś aż tak głupi, żeby w to uwierzyć. A jeśli wierzysz, szczerze wierzysz, to niedługo przeżyjesz przykre rozczarowanie.

Kierowca, brodac i chłopak ostrzyżony na łyso wymienili spojrzenia; byli wyraźnie zdziwieni, że ich komisarz i poszukiwany bandyta mówią sobie po imieniu, więcej: operują dziwnymi pseudonimami.

– Ja tego nie zrobiłem, Gebels – ciągnął Marek – i ty musisz o tym wiedzieć, jeśli prowadzisz tę sprawę. Przecież Martę obrabiało przynajmniej trzech ludzi...

– Miałeś koleżków! – przerwał mu Gebels pogardliwie. Machnął ręką. – Taki jak ty zawsze znajdzie odpowiednich koleżków. Od początku, od wczesnej młodości, obracałeś się w świecie marginesu społecznego i nigdy z niego nie wyszedłeś. Nawet nie próbowałeś wyjść. To twoje środowisko.

– W takim razie i twoje – odparował Marek. – Obracaliśmy się w tym samym środowisku.

Gebels roześmiał się.

– Nasze drogi rozeszły się dawno temu – powiedział. – Ty trafiłeś do więzienia, ja do policji. Może właśnie w więzieniu poznałeś dzisiejszych współników, co?

Marek przyjrzał mu się spod zmrużonych powiek.

– Ci, którzy zabili Martę, wcześniej napadli na mnie – rzekł. – Moje ślady i ślady walki znajdziesz w wielu miejscach parku, ale na pewno nie tam, gdzie zamordowali Martę.

– Skąd wiesz, gdzie ją zamordowali?

Marek wzruszył ramionami. Chciał machnąć ręką, ale poczuł szarpnięcie kajdanków.

– Nie wiem, gdzie ją zamordowali, ale wiem, że mnie tam nie było – powiedział cicho, nagle znów zmęczony. – Bo gdybym był, to obok jej ciała znalazłbyś także moje.

– Co ty powiesz? Poczekałbyś łaskawie na nasz przyjazd?

Marek przyjrzał się zaczerwienionej z emocji twarzy Gebelsa, potem odwrócił głowę i spojrzał na Rudego. Odległość nie była wielka, ale rysy twarzy Rudego zacierały się w jego oczach i tworzyły sinawą rozmazaną plamę.

– To on nasłał na mnie ludzi, to on jest winien śmierci Marty, to on powinien być skuty, nie ja – powiedział. Widok Rudego w przedziwny sposób dodawał mu sił.

– Kto? – Gebels również odwrócił głowę. – Rudy? – spytał i spojrzał na Marka.

– Tak.

Gebels roześmiał się. Może trochę zbyt głośno.

– Tonący nawet brzytwy się chwyta, Koni! Wymyśl coś lepszego.

Tymczasem brodacz po dłuższej chwili wahania sięgnął do drugiej kieszeni Marka i wydobył z niej strzęp białej tkaniny.

– A to co? – zdziwił się.

Położył strzęp na masce samochodu i przyglądał dłonią. Strzęp przybrał kształt maleńkich damskich fig rozerwanych w kroczu.

Patrzyli na niego. Czuli ich spojrzenia ciężkie od oskarżeń. I wyroków. Oni zyskali pewność.

Gebels wykorzystał sytuację.

– Garderoba ofiary została brutalnie podarta – powiedział patrząc na Marka, – ale nie brakowało niczego prócz majteczek. I oto znalazły się one w twojej kieszeni, Koni. Podarte, jak reszta ubrania. Czy wciąż się upierasz, że przeżyję rozczarowanie?

– Ty bandyto! – syknął ostrzyżony na łyso chłopak.

W jego głosie było tyle nienawiści, że Marek instynktownie spróbował uchylić się od spodziewanego ciosu i uczynił krok do tyłu. Wtedy brodacz odruchowo podciął mu nogi i Marek runął na plecy. Poczul ból w skutych dłoniach, usłyszał metaliczny trzask, zrobił przewrót przez głowę i wstał. W tym momencie zorientował się, że ręce ma wolne. Co prawda na obu przegubach wciąż tkwiły stalowe bransoletki, ale ze spinającego je łańcuszka pozostały tylko dwa luźno dyndające ogonki.

Możliwe, że nie skorzystałby z tej niespodziewanej wolności, chociaż już zdążył zorientować się, z jakim wysiłkiem przyjdzie mu udowodniać swoje racje. Ale wiedział, że prawda jest po jego stronie i prędzej czy później musi dotrzeć nawet do wrogo nastawionego Gebelsa. Poza tym był mocno zaskoczony zmianą sytuacji, więc nie rzucił się do ucieczki, tylko zaczął masować przeguby. Ale sytuacją zaskoczeni byli wszyscy i reagowali niezbyt racjonalnie. Jak ostrzyżony na łyso chłopak. Zaatakował spokojnie stojącego Marka, a Marek zadziałał instynktownie, odruchowo, i

chłopak natychmiast miał przedsmak tego, co Marek zrobiłby z nim, gdyby spotkali się gdzieś sam na sam: oberwał dwa suche ciosy w głowę i zwałił się na chodnik.

Drugi skoczył brodac i też nadział się na błyskawiczną konturę.

– Twardziel...! – wybełkotał oszołomiony, osuwając się na kolana.

Gebels tkwił w miejscu jak przymurowany, zbyt dobrze wiedział, no co Konia stać.

Kierowca radiowozu szarpał się z oporną kaburą. Z furgonetki wysypywali się policjanci. A Marek już biegł przecznicą, szybko oddalając się od zdradzieckich świateł ulicy Starego Doktora.

– Stój, bo strzelam! – wrzasnął kierowca wyrывая pistolet z kabury.

Marek przeciął jezdnię i dopadł wysokiego na dwa metry płotu zbudowanego z ustawionych poziomo betonowych segmentów.

Kierowca jeszcze dwukrotnie powtórzył swój okrzyk i strzelił w powietrze. Potem stanął w rozroku, chwycił broń oburącz i złożył się do strzału. Nad muszką, powoli pokrywającą się ze szczerbinką, zobaczył kształt uciekającego, ciemny na tle jasnego płotu. Zaczął ściągać spust. I nagle uświadomił sobie, że gdy już ściągnie spust do końca, to spod jego palca wyskoczy śmierć tamtego człowieka. Zamknął oczy.

Markowi brakło sił, żeby pokonać płot wytrenowanym w młodości niezawodnym i szybkim skokiem przerzutowym. Musiał wspiać się po segmentach jak po szczeblach drabiny. Trwało to długo, bardzo długo: sekundę, może dwie.

– Strzelaj! – ryknął Gebels.

Kierowca silniej zacisnął powieki i strzelił. Huk był mniejszy, niż się spodziewał, za to uderzenie w nasadę dłoni mocniejsze. Otworzył oczy. Zobaczył na szczycie płotu szary kształt uciekającego, dobry centymetr powyżej zgranych ze sobą przyrządów celowniczych. Uniósł broń i ponownie ściągnął spust. Podskakujący po strzale pistolet zasłonił sobą cel. Gdy opadł do poprzedniego położenia, na płocie nie było nikogo.

Anka zacisnęła dłoń na ramieniu Figata. Z napięciem wpatrywała się w płot, za którym zniknęli kolejno czterej policjanci.

– Uciekł! – szepnęła po upływie kilkadziesiąt sekund.

– Tak – potwierdził Figat. – Gdyby dostał i gdzieś tam leżał, już któryś gliniarz byłby z powrotem. A swoją drogą okolica dla Konia jest tu cholernie niezdrowa – zauważył. – Dziewięć lat temu pożegnali go strzelaniną, a dzisiaj witają.

W odległości kilkunastu metrów Gebels wykrzykiwał rozkazy do radiostacji furgonetki. Na granatowej masce radiowozu wciąż błyszczała biała plama majteczek. Do samochodu powoli zbliżał się Rudy.

Anka mocniej zacisnęła dłoń na ramieniu Figata.

– Kanalia! – szepnęła z pasją.

Figat pokręcił głową.

– To taki sam człowiek jak my – powiedział. – Tylko bardziej przestraszony.

– Słyszałeś, co Marek mówił do Gebelsa? O tym napadzie w parku?

– Tak. Mnie też o tym mówił.

Anka nagle poczuła pod powiekami piekące łzy.

– Powiedz, Krzysiek, dlaczego to wszystko tak wyszło? – spytała rozżalona. – Przecież mieliśmy jak najlepsze chęci. Marek także. Dlaczego jeden... jeden człowiek, jak go nazywasz, zniszczył wszystko, dlaczego nie zawahał się przed popełnieniem zbrodni, dlaczego... – urwała, siąknęła nosem próbując powstrzymać łzy wymykające się spod powiek. – Co nim kierowało?

Figat wzruszył ramionami.

– Strach. I nienawiść. Ale głównie strach, bo strach najczęściej bywa motorem nienawiści. Jednak... Nie można przesądzać. My wciąż nie wiemy, jak wygląda prawda. Może to nie Rudy...

– Marek nie kłamał!

– A te majtki?

– O czym ty bredzisz! – zachnęła się. – Przecież wiesz tak samo dobrze jak ja, że Marek tego nie

zrobił.

Figat spojrział na nią z namysłem.

– Przypuśćmy, że Rudego wsadzą – powiedział cicho. – Znasz go lepiej niż ja. Powiedz, czy Rudy będzie milczał o tamtych skokach, gdy zrozumie, że właśnie grozi mu 25 lat? No, powiedz?

Anka wstrzymała oddech i spojrzała na Figata.

– Rudy to my, tak? – szepnęła. – Rudy to my. Jednak Koń miał rację, co? – Nagle tupnęła gniewnie nogą. – Mam tego dość! Mam absolutnie dość! – powiedziała z pasją. – Zbyt długo straszę mnie tamte skoki. Idę na komendę i przyznam się do wszystkiego. Wreszcie będę miała spokój!

– Teraz? Po nocy?

– Co z tego że po nocy? Tam zawsze ktoś dyżuruje. Tym bardziej dzisiaj, kiedy polują na Konia.

Figat powtórnie spojrział na nią z namysłem.

– Wiesz, to nie jest takie głupie – powiedział. – Zosia, jak się o wszystkim dowie, poleci na komendę bez chwili wahania. No i Koń, jak go złapią, też pewnie zacznie mówić. Dobrze byłoby ich uprzedzić.

Zosia zobaczyła radiowóz i furgonetkę, gdy tylko skręciła z Pięćdziesięciu Bohaterów w Starego Doktora. Zatrzymała samochód niedaleko przecznicy, kilka metrów za mercedesem Rudego. Otworzyła drzwi i zawołała:

– Wanda!

Wanda, wciąż dziwnie przygięta, wciąż wsparta o dach mercedesa, powoli i niechętnie odwróciła głowę. Nawet w słabym świetle ulicznych latarni widać było, że jest nienaturalnie blada, a grymas na jej twarzy przypominał spazm cierpienia. Przez kilka sekund patrzyła na Zosię tak, jakby jej nie widziała, później z trudem oderwała się od mercedesa i podeszła niechętnie.

– Co się tu dzieje? – spytała Zosia.

– Marek... Marek uciekł...

– Co? Jak uciekł? Komu? Im? – Zosia brodą wskazała radiowóz i policyjną furgonetkę.

– Tak, im. – Wanda mechanicznie, jak nakręcona lalka, kiwnęła głową.

– Złapali go?

– Złapali. Ale uciekł, Słuchaj... – Wanda zawahała się, rzuciła za siebie spłoszone spojrzenie. – Ja... ja muszę ci coś powiedzieć...

– Gdzie Marek? Dokąd uciekł? W jakim kierunku? – dopytywała się Zosia gorączkowo.

– Ja muszę ci coś powiedzieć! – powtórzyła Wanda. Było w jej głosie tyle determinacji, że Zosia spojrzała na nią uważniej. Nagle przechyliła się i otworzyła drzwi samochodu.

– Wsiadaj – powiedziała. – I mów.

Płot, podwórko, płot, ogród, podwórko Ile było tych płotów, ogrodów, podwórek? Dwadzieścia? Trzydzieści? Nie liczył. Każdy płot, każde przebyte podwórko, oddalało go od niebezpieczeństwa. Kilkakrotnie musiał opędać się od zajadłych rozszczekanych kundli. Raz ruszył ku niemu wielki wilczur groźnie szczerząc kły. Marek nie miał wyboru, musiał przedostać się przez ten ogród, więc pochylił się, odpowiedział gniewnym pomrukiem przypominającym warczenie i ruszył naprzeciw psa. Ten zaskomlił i uciekł kuląc ogon.

I znów płot, i znów podwórko, płot, ogród. Tu i ówdzie zapalały się w oknach światła znacząc ślad jego ucieczki. Więc wydostał się na ciemną i wąską uliczkę i przebiegł nią kilkaset metrów gubiąc ten ślad. Schronił się za kolejnym płotem dopiero wtedy, gdy jego plecy liźnęły długie światła skręcającego w uliczkę samochodu.

Już zdążył dzisiaj poznać rolę ściganego zwierzęcia, więc szybko wszedł w nią ponownie. Może nawet zmienił mu się zapach na jakiś szczególny, właściwy wszystkim prześladowanym i tropionym, bo kolejne podwórzowe kundle, które napotykał na swojej drodze, witały go przyjaznym machaniem ogona.

Od początku nie zmierzał ku żadnemu konkretnemu celowi. Uciekał przed siebie, jak najdalej. Stracił orientację w terenie już po przebyciu kilku pierwszych płotów, ale uciekał dalej, starając się

utrzymać dokładnie za plecami hałas, jaki czyniła pogoń. Na szczęście był szybszy od ścigających i bardziej zdecydowany, więc w końcu zgubił ich. Ale i sam się zgubił.

Nie wiedział, w którym punkcie miasta się znajduje. I gdy przeskoczył kolejny płot, obszedł rosnące za nim krzaki i znalazł się na wyżwirowanej alejce, pomyślał, że znów trafił do tego przekłętego parku w jednym z jego mniej dzikich zakątków. Było dosyć jasno, księżyc już wstąpił na niebo i w jego świetle Marek zobaczył nie zapalone latarnie stojące rzędem wzdłuż alejki, latarnie z kształtu przypominające gazowe i po tym charakterystycznym szczególe poznał, że zbliża się do Skarpy.

Przemknął przez ulicę Siedmiu Kół, którą dziewięć lat temu podążali na ostatni skok, ominął z prawej strony szczyt Skarpy i zatrzymał się na skraju zarośli. Przed sobą miał dosyć szeroką, półkolistą gołą przestrzeń otaczającą kępę drzew rosnącą na skraju urwiska. Pod urwiskiem płynęła rzeka, a za nią rozpościerały się bezkresne popegeerowskie pola. Tędy nie mógł uciekać. Wiedział o tym, ale chciał się po prostu schronić w kępie drzew na urwisku, chciał po prostu odpocząć. Nie czuł zmęczenia, ale domyślał się, że tkwi ono w nim jak złośliwy wrzód i jak złośliwy wrzód uaktywni się w najmniej sprzyjających okolicznościach. Zbawcza kępa, w której miał swoje ulubione miejsce, była blisko. Tylko ta odkryta, otaczająca ją przestrzeń napawała lękiem.

Kępa drzew, ulubione miejsce na skraju urwiska. Przychodził tutaj od dawna, jeszcze jako mały chłopak, szczególnie wtedy, gdy pijany ojciec urządził w domu piekło. Potrzebował ukojenia, a to właśnie dawał mu ten sielski i sentymentalny krajobraz. Siadywał na skraju urwiska, obejmował ramionami rosnącą tam niewielką brzoźkę i wpatrywał się w płynące dziesięć piętér niżej ciemne wody rzeki. Myślał wtedy, że jeszcze nikt nigdy stąd nie skoczył, a ten śmiałek, o którym opowiadają starsi chłopcy, który skakał regularnie, kiedy mu tylko na to przyszła ochota, nigdy nie istniał i że on będzie tym pierwszym, który skoczy i to na oczach wielu ludzi, a przede wszystkim ojca. Musi tylko trochę podrosnąć i nauczyć się lepiej pływać, bo rzeka u stóp urwiska była głębsza niż gdzie indziej.

To wspomnienie, trochę zamazane odległością w czasie, ale ostre bliskością w przestrzeni, pchnęło go do działania. Skulony wybiegł na otwarty teren i przebył go w kilkunastu szybkich cichych susach, czujny na każdy dźwięk zza pleców, niespokojny, że wypatrzą go wrogie oczy.

Gdy wreszcie wsunął się między drzewa, poczuł ulgę, a wraz z nią pierwszą – jeszcze słabą – falę zmęczenia. Dotarł do skraju urwiska i odszukał miejsce, gdzie kiedyś siadywał. Drzewko – rachityczna brzoźka – które kiedyś obejmował ramionami, przetrwało i oczywiście urosło trochę, ale wciąż było wątłe, wciąż niemal rozpaczliwie czepiało się niewielkiego skrawka ziemi.

Usiadł, zwiesił nogi nad urwiskiem, objął brzoźkę i przytulił twarz do chłodnej gładkiej kory. Wtedy nadeszła druga fala zmęczenia, już mocniejsza, a zaraz za nią trzecia tak silna, że zakołowało mu się w głowie i tylko kurczowo trzymana brzoźka uratowała go przed upadkiem. Potem, przy czwartej fali zmęczenia, wypłynęła przed oczy dobrze już znana biała mgiełka nasycona pulsującymi iskierkami, a w uszach odezwało się natrętne świergotliwe cykanie. Jednak nie było aż tak silne, jak podczas ucieczki z parku i gdy wykonał kilka głębokich wdechów, zaczęło powoli ustępować.

Zobaczył daleko w dole gładką i ciemną, połyskliwą powierzchnię rzeki. Drobne fale załamywały się u przeciwległego płaskiego brzegu, a księżyc srebrzył je swoim blaskiem. Głębia kusiła.

Właściwie dlaczego nigdy nie skoczył? Przecież przychodził tutaj dość często już jako duży chłopak, prawie mężczyzna, zawsze wtedy, gdy życie dopieкло mu szczególnie mocno. Wielokrotnie pływał tam w dole, gruntując i badając rodzaj dna.

Dlaczego nie skoczył? Zabrakło mu odwagi?

Sprawdził kiedyś dno rzeki bardzo dokładnie. Było wspaniałe, gładkie, pokryte piaskiem i drobnymi kamykami. Ale głębokość wody nie przekraczała dwóch metrów. Skok ze skarpy był więc niemal równoznaczny ze śmiercią. A jemu życie jeszcze nigdy nie dopieкло tak mocno, żeby zapragnął umrzeć. Przynajmniej nie wtedy, gdy przychodził tutaj i siadywał na skraju urwiska patrząc w kuszącą głębię.

Podniósł głowę, spojrzął na wielki biały księżyc, ten sam, który minionej nocy rozświetlał mrok pokoju i pozwalał mu widzieć drgającą w spazmie rozkoszy twarz Marty. Od dzisiaj twarz Marty pozostanie już na zawsze nieruchoma. Ostatni spazm, spazm śmierci, przebiegł przez nią kilka godzin temu...

Ta mgielka ustąpiła. Powoli, opornie, ale ustąpiła. Ucichło również cykanie. Właściwie nie ucichło, zgubiło się w szumie, który nagle wypełnił czaszkę, który zatarł ostrość myśli i sprawił, że wyławianie ich przychodziło z dużą trudnością. Zresztą może tak i lepiej. Bo o czym mógł myśleć? Co przywołać z pamięci?

Zresztą i tak myślał.

Jeszcze wczoraj miałeś Martę i otwierały się perspektywy, że zrobisz w tym mieście taką lub inną karierę. A dzisiaj? Dzisiaj Marta nie żyje, jej mordercy są wolni i nie zagrożeni, a na ciebie polują tam na dole jak na wściekłego psa. Polują absolutnie bez powodu. Tak, synu.

Nie miało najmniejszego sensu szukać odpowiedzi na pytanie, czy musiało się tak stać, jak się stało, ale zaczął szukać, bo chciał wiedzieć, gdzie i kiedy popełnił błędy, bo chciał wiedzieć, czy je w ogóle popełnił. Nie miał pojęcia, po co mu ta wiedza, ale uparcie przekopywał się przez wydarzenia minionych dwóch dni jak kret przez grząskie błoto. Nie dokopał się do niczego.

Nie miałeś możliwości wyboru, synu, najmniejszej możliwości. Ani przez chwilę nie uczestniczyłeś w podejmowaniu decyzji. Byłeś bez szans, chociaż jeszcze kilka godzin temu uważałeś, że trzymasz w dłoni wszystkie atuty. Ale nie zawiniłeś, tak, nie zawiniłeś nawet zbyt pewnością siebie. Po prostu od początku byłeś bez szans. A teraz? Czy teraz masz możliwość wyboru? Podjęcia decyzji? Czy teraz otwiera się przed tobą jakaś szansa?

Ścigali go tam na dole jak wściekłego psa, to fakt. Ale był niewinny i w żaden sposób – chyba tylko w wyjątkowo nieuczciwy i perfidny – nie mogli mu udowodnić udziału w gwałcie i morderstwie popełnionym na Marcie. Gebels był zdolny do nieuczciwości i perfidii, ale oprócz Gebelsa istnieli jeszcze inni gliniarze w tym mieście. Wystarczyło zeznać o jego udziale we włamaniach dziewięć lat temu, a zawieszą go do wyjaśnienia sprawy i kto inny przejmie śledztwo. To – w połączeniu z wiadomościami, jakimi dysponował – stanowiło szansę. Uczciwą szansę.

Nie musiał więc uciekać. Że go ścigali, było faktem bez znaczenia. Przedtem ścigali go, bo zaaranżował to Gebels. Teraz ścigali go, bo uciekł. Wiedział, że jeśli zgłosi się dobrowolnie, to opadną emocje, gliny wysłuchają go, sprawdzą fakty, zaczną myśleć i...

Tak, miał uczciwą szansę. Wreszcie. Pomyślał, że może doczeka się satysfakcji, tej odrobiny satysfakcji tak potrzebnej każdemu człowiekowi.

Ale czy mógł zgłosić się na policję? Już teraz?

Nie umiał żyć. Czy ktoś mu to powiedział? Tak, chyba tak. Stwarzał wokół siebie aurę niespełnienia, którą złośliwy los wykorzystywał bezlitośnie i dlatego najtragiczniejsze i najbardziej znaczące chwile w jego życiu były luźnym zbiorem przypadków. Miał chyba w sobie coś z męczennika, o ile męczeństwo polegało na prowokowaniu losu i silnej bezwarunkowej zgodzie na ponoszenie wszelkich konsekwencji. Tym razem jednak gotów był obdzielić konsekwencjami wszystkich zainteresowanych.

Czy mógł się zgłosić już teraz?

Nie potrafił myśleć o Marcie. Nie potrafił myśleć o Rudym. Wiedział jedno: był gotów poświęcić wszystko, wolność i życie, gdyby los okazał się łaskawy i postawił na jego drodze Rudego. Ale los rzadko bywał dla niego łaskawy.

Czuł się winny śmierci Marty. Gdyby nie wrócił wczoraj do miasta, gdyby przy pierwszym spotkaniu zabił Rudego, gdyby po rozmowie z ojcem wyjechał, gdyby... Gdyby złośliwy los nie postawił go na drodze Marty, dziewczyna żyłaby dzisiaj i zapewne żyłaby jeszcze przez długie lata. Gdyby...

Pomyślał, że najlepszym czynem jego życia byłoby zabicie Rudego. Nie tylko z powodu Marty. Nie tylko z powodu własnej nienawiści. Raczej dla wypełnienia przeznaczenia. Możliwe, że urodził się właśnie po to, żeby zabić Rudego. Tylko po to.

Czy mógł się zgłosić już teraz?

A więc to tak! – szepnęła Zosia, gdy Wanda skończyła mówić. W samochodzie mimo otwartych okien było duszno od dymu; obie paliły papierosa za papierosem, praktycznie bez chwili przerwy.

– A więc to tak! – powtórzyła. Mechanicznie zaciągała się papierosem i bezmyślnie wpatrywała się w kufer stojącego przed nią mercedesa. Furgonetka i radiowóz odjechały kilka minut temu, na ulicy było pusto i spokojnie.

Pokręciła głową. To, co przed chwilą usłyszała, było wręcz nieprawdopodobne, szokowało mimowolną i spontaniczną niemal zbrodniczością. Dlatego umysł nie chciał się z tym pogodzić.

– Nie myślałam, że ty także wystąpisz przeciw niemu – szepnęła wreszcie. – Wiedziałam, że cała jego dawna paczka to wrogowie, którym muszę pokazać, że żadne draństwo nie ujdzie im bezkarnie. Ale ciebie nie brałam pod uwagę. Przecież Marek to twój brat!

– Ale... ale Rudy zabrał całą moją forszę...!

Zosia pokiwała głową, wyrzuciła niedopałek przez okno i sięgnęła po następnego papierosa.

– Dla forsy! – szepnęła. – Dla forsy chciałaś zabić brata. Dla forsy zabiłaś niewinną młodzieńką dziewczynę. Dla forsy... To koszmar! Ja nie mogę w to uwierzyć!

Wanda milczała. Też wpatrywała się w kufer merca, chociaż miała ogromną ochotę spojrzeć na Zosię, a nawet przytulić się do niej w bezradnym poddańczym geście; odkąd pamiętała, Zosia była silna i mądra, zapewniała poczucie bezpieczeństwa, znajdowała wyjścia z najtrudniejszych sytuacji. Wiadomość o śmierci Cyganki, ucieczka Grzegorza, kajdanki na rękach człowieka, który był jej bratem, pistolet plujący ogniem... Zbyt wiele, zbyt wiele... W niczym już nie przypominała dziewczyny, która bez trudu zmusiła Grzegorza do wynajęcia płatnych morderców. Zbyt wiele...

– Co teraz? – szepnęła.

Zosia ocknęła się nagle. Spojrzała na Wandę, potem na papierosa tkwiącego w palcach. Wyrzuciła papierosa i zapaliła silnik.

– Gdzie ten cały Grzegorz? – spytała.

– Uciekł... Uciekł, jak się dowiedział o śmierci Cyganki.

– Dokąd?

– Nie wiem.

– To nieważne, to sprawa policji. – Zosia wcisnęła sprzęgło i wrzuciła bieg. – Jedziemy na policję – oznajmiła ruszając. – Powtórzysz wszystko, co mnie powiedziałaś. Wszystko, co wiesz o Grzegorzu, o Bury, o Rudym. Bez żadnych kłamstw i matactw. To jedyny ratunek dla ciebie, to jedyna jak na razie szansa dla Marka.

– A... – Wanda spłoszona spuściła głowę. – A co oni mi zrobią?

– Policja? – Zosia zawróciła i przyspieszając ruszyła w stronę komendy. – Nie wiem. Pewnie cię zamkną. Pewnie dostaniesz jakiś wyrok. Ale to jedyna szansa, żeby ten wyrok był względnie mały. Nie łudź się: oni prędzej czy później dojdą do wszystkiego sami, a wtedy... – urwała znacząco.

– Ja nie chcę! – jęknęła Wanda płaczliwie.

– Wiem. – Zosia skinęła głową. – Ja też bym nie chciała. Ale nie ma innego wyjścia. Powiedziałaś a, trzeba powiedzieć be. Mogłaś wczoraj myśleć, mogłaś przyjść z tym do mnie, miałaś mnie zresztą pod ręką. Jedyne, co ci mogę obiecać, to pomoc Józka. On zrobi wszystko, żeby nie stała ci się zbyt wielka krzywda.

– Ja nie chcę! – powtórzyła Wanda.

Zosia zahamowała gwałtownie.

– To wysiadaj! – powiedziała, przechyliła się przez kolana Wandy i otworzyła drzwi. – Wysiadaj, ale już!

– Dlaczego? Coś ty? – Wanda przestraszyła się.

– Marka ścigają w tej chwili jak wściekłego psa. Może go już złapali, może gdzieś zastrzelili. Trzeba ich powstrzymać i to jak najszybciej. Ale ty nie chcesz. Dobrze, zrobię to sama. Ale od tej chwili przestaję cię znać. Radź sobie jak umiesz. Idź do tego Grzegorza, a najlepiej do Rudego. No już, wysiadaj!

Wanda zamknęła drzwi.

– Jedziemy! – powiedziała z determinacją. – Jedziemy na komendę!

Bała się. Ale nie najbliższych minut, które przecież nie mogły należeć do przyjemnych, bo to od biedy potrafiła sobie wyobrazić. Bała się przyszłości, tej dalszej. Bała się murów, ciemnych murów więzienia. O świecie za murami nie wiedziała nic – i to właśnie przerażało ją najbardziej. Nieznane.

Panie inspektorze, wzywał mnie pan! – powiedział Gebels stając w drzwiach gabinetu.

Podinspektor Kwiatkowski był krępy, nabitym w sobie, mocno łysiejącym, czterdziestokilkuletnim mężczyzną. Złamany nos i trochę rozbite policzki sprawiały, że przypominał podstarzałego boksera wagi średniej, który wciąż nie może się rozstać z ringiem. Siedział za biurkiem. Obok niego tkwił sztywny, obojętny i wymuskany podkomisarz Kondrat, trzeci oficer wydziału, ten zarozumiał gnojek, z którym Gebels współzawodniczył o awans.

Podinspektor obrzucił Gebelsa długim uważnym spojrzeniem, a następnie powolnymi i spokojnymi ruchami zaczął składać na jeden stos rozsiane na blacie papiery.

– Siadaj – powiedział i wskazał krzesło ustawione naprzeciw biurka.

Biurko, kilka krzeseł, stara szafa na akta z żaluzjowymi zamknięciami, wytarty dywan, w rogu stolik obstawiony dwoma podniszczonymi fotelami – tak wyglądał gabinet naczelnika wydziału.

Gebels usiadł. W składanych przez podinspektora papierach już zdążył rozpoznać załączek akt rozpoczętej dzisiaj sprawy, której nadał kryptonim „Cyganka”, a którą w myślach nazywał sprawą Konia. Drugą i ostatnią sprawą Konia. To pogłębiło cień niepokoju, który obudził się w nim, gdy po wizycie w jednej z melin na Przyszczu, dokąd zapędził się w poszukiwaniu Konia, kierowca poinformował go, że ma natychmiast stawić się u szefa. To – i fakt, że siedział po drugiej stronie biurka, jak przesłuchiwany. Biurko dzieliło go od obu oficerów. Niestety wiedział, że nie tylko biurko.

Podinspektor skończył układać papiery, podniósł głowę i spojrzał na Gebelsa. Długą chwilę przyglądał mu się dokładnie, bardzo dokładnie, jakby go pierwszy raz widział. Później skinął głową.

– Tak – bąknął. Był zmęczony. Wskazywały na to sine worki pod oczami i bladość twarzy. Ale fizyczne zmęczenie mimo późnej nocnej godziny tak bardzo nie doskwierało: przede wszystkim był zmęczony psychicznie. – Tak – powtórzył. – Odbieram ci sprawę. Kondrat ją przejmie.

– Jak to? – Gebels uniósł się, jakby chciał wstać. – Przecież ja dopiero... – urwał. Nie było sensu się ośmieszać, nagle zrozumiał, że inspektor wie, bardzo dużo wie.

Podinspektor długą chwilę wpatrywał się w Gebelsa bez słowa. Potem ciężko uderzył dłonią w stertę papierów i spojrzał na Kondrata. Potem, jakby z niechęcią, znów na Gebelsa.

– Nie zamierzam zabrać ci sprawy bez żadnych wyjaśnień – powiedział. – Ale obawiam się, że to ty, nie ja, będziesz musiał wyjaśniać, dużo wyjaśniać.

Gebels opadł na krzesło. Nikły i spychany na dno duszy niepokój zmienił się w całkiem konkretny strach. Pomyślał, że w tej chwili wiele by dał za absolutnie czyste sumienie, następnie spróbował zgadnąć, ile inspektor wie i od kogo się dowiedział. Czuł na sobie wzrok Kondrata, tego nadętego dupka, i pojmował, że jeśli inspektor wie, to i Kondrat musi wiedzieć. To oczywiście, to właśnie dlatego przyglądał mu się tak uważnie i tak ironicznie.

– Rozpętałeś dzisiaj wielkie polowanie na Jasionowskiego, a ja sam zgodziłem się na to, bo już dawno nie było u nas tak ponurej i łajdackiej zbrodni – powiedział inspektor cicho, wpatrując się w Gebelsa z kamiennym spokojem. – Nawet zażądałem od komendanta wszystkich dostępnym nam sił i środków. Jednak coś mnie w tej sprawie niepokoiło, nie wiem co, może twój entuzjazm, może co innego. Gdy dowiedziałem się, że zatrzymaliście Jasionowskiego na ulicy Starego Doktora, poprosiłem o akta sprawy. Przeczytałem je i zrozumiałem, że mój niepokój był w pełni uzasadniony. Posłuchaj. Po pierwsze świadek, który zawiadomił nas o znalezieniu ciała, zeznał również, że widział tę dziewczynę biegnącą parkiem w stronę ulicy Ku Słońcu, a nieco dalej wysokiego, dobrze zbudowanego blondyna walczącego z dwoma typami, których nie potrafił opisać. To samo powiedzieli dwaj inni świadkowie. Brat zamordowanej zeznał, że siostra wyszła z domu w towarzystwie

Jasionowskiego, właśnie wysokiego, dobrze zbudowanego blondyna. Stwierdził, że Jasionowski nie musiał gwałcić zamordowanej: ostatnią noc spędzili razem. Wszystko to: bójka w parku, ucieczka dziewczyny, noc spędzona razem, było dziwne, jakoś nie przystawało do teorii, że dziewczynę zgwałcił i zamordował Jasionowski. Zacząłem się zastanawiać, dlaczego nie zwróciło to twojej uwagi, dlaczego jak ślepy szedłeś tylko tropem Jasionowskiego. Zaczynałem rozumieć, że musisz mieć do niego prywatną, osobistą urazę. Potwierdziły to meldunki wywiadowców, którzy zatrzymali Jasionowskiego. Po pierwsze, był on mocno pobity, co dowodziło, że bójka w parku nie była wymysłem świadków. Po drugie, mówiliście sobie po imieniu, a nawet używaliście pseudonimów. Po trzecie, dowiedziałem się, że ściągnąłeś dzisiaj Jasionowskiego na komendę angażując w to czterech wywiadowców i Wolskiego. Wolski potwierdził, że mówiliście sobie po imieniu. Już wtedy wiedziałem, że muszę ci odebrać sprawę, ale mój niepokój wcale nie malał, przeciwnie. Czuję, że dzieje się coś bardzo niedobrego. Znam cię przecież nie od dziś i wiem, że żadna zwyczajna osobista uraza nie wyzwoliłaby w tobie tyle ślepej zawziętości. Gdy tylko usłyszałeś nazwisko Cyganki, rzuciłeś się na sprawę jak furia. Dlatego przypuszczałem, że to musi być coś znacznie gorszego. No i nie myliłem się.

Podinspektor westchnął i przesunął dłonią po twarzy, jakby chciał zetrzeć z niej zmęczenie. Potem zamyślił się na chwilę, otrząsnął, sięgnął do sterty papierów, pogmerał w niej i wydobyl kilka arkuszy spiętych razem.

– No cóż – rzekł cicho, znacznie ciszej niż poprzednio – tego, co tutaj jest, wolałbym nigdy nie oglądać. I tak naprawdę to nigdy nawet nie pomyślałem, że coś takiego zobaczę.

Uniół spięte arkusze, potem ciężko opuścił je na biurko. Długą chwilę przyglądał się swoim dłoniom, wreszcie westchnął i spojrzał na Gebelsa.

– Są to zeznania czterech osób, zeznania stawiające cię w bardzo niekorzystnym położeniu, a także prawie całkowicie wyjaśniające sprawę Cyganki.

Podinspektor znów uniół papiery i przez chwilę sprawiał wrażenie, że chce je zmiąć lub porzucić. Później ponownie spojrzał na Gebelsa, kierowany zawodowym nawykiem: chciał wiedzieć, jakie wrażenie wywoła kolejną informacją. A więc traktował swojego oficera jak przesłuchiwanego! No tak, w końcu było to jakieś przesłuchanie.

– Kilkanaście minut po tym jak Jasionowski uciekł wam na ulicy Starego Doktora, na komendę zgłosiły się dwie osoby, Anna Dunin i Krzysztof Mokrzycki – powiedział i położył spięte arkusze na stercie papierów.

Gebels drgnął słysząc nazwiska (co nie uszło uwagi podinspektora). Nagle zrozumiał, że jeśli Anka zdecydowała się mówić, to podinspektor wie wszystko.

– Dunin i Mokrzycki opowiadali tak niezwykle rzeczy, że oficer dyżurny przysłał ich do mnie. Akurat zjawił się wezwany przeze mnie Kondrat, więc przesłuchanie świadków poprowadziliśmy wspólnie. Oboje stwierdzili zgodnie, że rozmawiali z Jasionowskim na chwilę przed zatrzymaniem go na ulicy Starego Doktora. Jasionowski mówił im, że osobnik o pseudonimie Rudy, którego identyfikują jako Jerzego Rudzkiego, ich kolegę, najął płatnych zbirów, którzy napadli na Jasionowskiego i Martę Kierbałaj w parku. Jasionowski zdołał się obronić, a dziewczyna została przez nich schwytana, zgwałcona i zamordowana. Na moje pytanie, skąd Jasionowski mógł wiedzieć, kto wynajął zbirów, Dunin i Mokrzycki odpowiedzieli, że ponoć Jasionowski przyduśił jednego ze zbirów i od niego się dowiedział. Zresztą o czymś podobnym Jasionowski mówił tobie podczas zatrzymania na ulicy Starego Doktora. Na koniec Dunin i Mokrzycki oświadczyli, że przed dziewięć laty brali udział we włamaniach, za które Jasionowski został skazany na pięć lat więzienia. Bez mojej zachęty wymienili także trzech pozostałych uczestników włamań, Jerzego Rudzkiego, czyli – jak już wiemy – Rudego, Adama Nawrota vel Nawrockiego i... ciebie.

Podinspektor spuścił wzrok, jakby już nie mógł znieść widoku poblądłej, nagle wychudzonej twarzy Gebelsa, w której gorączkowo błyszcząły zapadnięte w głąb czaszki oczy. Spuścił wzrok niżej i zobaczył jego dłonie to wędrujące ku spodniom w poszukiwaniu skrawka materiału do osuszenia potu, to znów splatające się kurczowo i silnie.

Podinspektor opuścił wzrok jeszcze niżej, spojrzął na papiery i przyglądził te leżące na wierzchu, trochę wymięte.

– To nie wszystko – rzekł. – Kilka minut po wyjściu Dunin i Mokrzyckiego na komendę zgłosiły się dwie następne osoby, Zofia i Wanda Jasionowskie, siostry poszukiwanego. Myślę, że zawsze tak jest: im wyższy gmach, z tym większym hukiem się wali. No i rzeczywiście, huk był niemożliwy. Zofia Jasionowska potwierdziła zeznania Dunin i Mokrzyckiego, dotyczące włamań sprzed dziewięciu lat, a Wanda... Wanda Jasionowska zeznała, że minionej nocy wspólnie z Grzegorzem Walendą zaangażowała człowieka o pseudonimie Bury, znanego Walendzie jako płatny morderca, żeby za pięć tysięcy dolarów zabił jej brata, Marka Jasionowskiego. Zrobiła to zmuszona szantażem, a szantażował ją człowiek o pseudonimie Rudy, a więc znany nam już Jerzy Rudzki. Walenda wręczył Buremu tysiąc dolarów zaliczki, które właśnie Jerzy Rudzki wyasygnował na ten cel. Zeznała też, że w ciągu dnia wraz z Walendą próbowała odwołać Burego, bo okoliczności, które zmusiły ją do próby zamordowania brata, zmieniły się radykalnie, ale Bury był nieuchwytny. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego ów Bury napadł jej brata przy świadku, dlaczego zgładził tego świadka, a brata pozostawił przy życiu, ale nie wymagajmy zbyt wiele, tego akurat nie musiała wiedzieć. Zatrzymałem ją, oczywiście, a także zmniejszyłem tempo i skalę poszukiwań Jasionowskiego. Zwolnione w ten sposób radiowozy wysłałem po Walendę, Rudzkiego i Burego. Jeśli chodzi o tego ostatniego, to wątpię, żeby udało się go tak od razu schwytać. Jeśli jest on rzeczywiście płatnym mordercą, to mieszkanie na Pierwszej Poprzecznej wskazane przez Jasionowską okaże się tylko meliną kontaktową.

Podinspektor jeszcze raz przyglądził papiery, uniósł głowę i spojrzął na Gebelsa. Trochę bezradnie. W końcu lubił tego chłopaka bardzo, bardziej niż myślał.

– To by było wszystko – rzekł. Widział, co się z Gebelsem dzieje i współczucie nieco dławilo mu gardło. – Teraz ty... Teraz posłuchamy ciebie. Co masz do powiedzenia?

Gebels wziął głęboki oddech, spojrzął na Kondrata i zawahał się. Mówić przy tym nadętym dupku? Nie, nigdy!

Chwilę później zrozumiał, że przegrał i nie mógł już dyktować warunków. Wszelkie obiekcje, krygowanie się i podobne głupoty mógł wsadzić sobie w buty. Przegrał – i tyle. Pozostawało postawić na szczerą. „Przeżyjesz przykre rozczarowanie” – nagle przypomniał sobie niedawne szyderstwo Konia. Rozczarowanie?! Kurwa mać, jakie to szczęście, że ten drań nie miał najmniejszego pojęcia, co przyszło mu teraz przeżyć!

Powtórnie wziął głęboki oddech.

Nie dosłyszał cichych skradających się kroków, bo zdrzemnął się. Obudził go dopiero głośny jak wystrzał trzask pękającej gałązki. Nie drgnął, bo na sekundę sparaliżował go strach: usłyszał szelesty z tyłu i z boków i zrozumiał, że jest otoczony, że znalazł się w pułapce; jedyną drogą ucieczki zamykało urwisko. Spojrzął na gładką powierzchnię rzeki i poczuł żal i nagłą chęć by skoczyć, by zakończyć to nieudane do ostatniego momentu życie.

Był ściganym zwierzęciem, stąd strach. A żal? No cóż, schwytali go, odebrali mu szansę dopadnięcia Rudego.

– Koniu! – usłyszał cichy, lekko drżący głos.

Salan!

Serce zabiło mocniej, pchnięte nagłą nadzieją. To Salan! Nie policja. A więc jest szansa, wielka szansa!

Podniósł się powoli, z trudem, bo trochę zeszywniał, bo był bardzo zmęczony. Odwrócił się. Salan stał w odległości może dwóch trzech metrów, lekko zgarbiony, spięty. Nieco dalej między drzewami, półkolistie od skraju do skraju urwiska, widać było przyczajone sylwetki innych. Ilu ich? Dziesięciu?

Skoncentrował wzrok na Salanie, bo już wiedział, że Cygan zjawił się jako wróg, groźny wróg, śmiertelny wróg. Przyjaciel nie przychodzi w tak licznej asyście, na dokładkę z otwartym nożem w garści.

– Jak mnie znalazłeś? – spytał.

Salan zachichotał nerwowo.

– Czy to ważne, Koniu? Czy naprawdę to jest teraz ważne?

– A co jest teraz ważne?

Widział drżenie wstrząsające ramionami Salana, to drżenie na chwilę przed skokiem, i wiedział, że Cygan jest wściekły, zawzięcie wściekły, na pograniczu historycznego szału, że przyszedł tutaj by zabić i nic nie powstrzyma go od użycia noża. Pytał więc, bo chciał zyskać na czasie, bo chciał się dowiedzieć, dlaczego Salan doprowadził się do takiego stanu, dlaczego przyszedł go zabić. Nie za Martę przecież!

Salan powolutku, ostrożnie macając stopą grunt, przysunął się pół kroku.

– Nie podchodź! – ostrzegł Marek wyciągając dłoń; światło księżyca zabłysło na stalowej chromowanej bransoletce opinającej przegub.

– Bo co? – warknął Salan.

– Bo cię załatwię i ani nóż, ani cała ta banda ci nie pomoże. Ty o tym wiesz.

Salan powolutku wycofał się na poprzednią pozycję, ale wciąż był zgarbiony, skulony, spięty – i to cofanie bardziej przypominało branie rozbiegu niż odwrót.

– A teraz powiedz, jak mnie tu znalazłeś.

Salan zachichotał nerwowo.

– Koniu, twoje kurewskie życie nic nie jest warte. Ty praktycznie już nie żyjesz. A zachowujesz się tak, jak byś rządził połową świata.

Marek zrobił mały, nieznaczny ruch, jakby szukał nogą lepszego miejsca do odbicia, a Salan zgarbił się, wysunął rękę z nożem i cofnął się szybko. Teraz Marek zachichotał.

– Praktycznie już nie żyję, a ty się mnie wciąż boisz! – zauważył drwiąco. – Może powiesz wreszcie, jak mnie tu znalazłeś?

Salan zadrżał i powoli, skradając się, powrócił na poprzednią pozycję. Było w jego ruchach tyle kociego przyczajenia, że Marek napiął mięśnie przygotowując się do odparcia ataku. Jednak Salan zaczął mówić.

– Możesz wiedzieć, czemu nie, możesz wiedzieć... Kiedyś myślałem, że staniesz mi na drodze do Zosi i że będę musiał cię zabić. Wtedy wyszedłem, że tutaj przyłazisz, a Zosia potwierdziła, że to twoje ulubione miejsce. No i chciałem... chciałem cię właśnie tutaj... – urwał, bo zabrakło mu tchu. Chwilę odpoczywał oddychając głęboko, potem dokończył: – Jak dowiedziałem się, że zwiłałeś policji, od razu pomyślałem, że tutaj cię znajdę. No i... – urwał, znów zabrakło mu tchu.

– I przyszedłeś zrobić to, czego kiedyś nie zdążyłeś – dokończył Marek. – Dlaczego, Salan? Za co? Przecież wiesz, że to nie ja Martę...

– Za co?! – Salan wybuchnął. Skulił się i sprężył, ale mówił dalej i Marek wiedział, że nie skoczy, dopóki będzie mówił; krytyczny moment nadejdzie w chwili wypowiedzenia ostatniego słowa. – Ty jeszcze pytasz za co! Pał diabli Kini, chociaż zabili ją przez ciebie. Ale moje plany? Moje plany, ty cholerny draniu! Miałeś dzisiaj grać z Mokrzycki, ja dzisiaj miałem rozpocząć walkę o władzę w tym parszywym mieście! I co? Gównu! Moje plany znów wzięły w łeb przez jakiegoś idiota!

Salan przygiął nogi, ale wspomnienie porażki musiało go osłabić, zdekoncentrować, bo nie skoczył. Zadrżał i westchnął, i zwiesił głowę. Potem nagle jakby się ocknął, spojrzął na boki, opuścił nieco rękę z nożem, utkwiał wzrok w Marku i powolutku zaczął wysuwać prawą nogę. Jednocześnie mówił cicho, prawie syczał, a w jego głosie drżała hamowana furia.

– Mam dość tego gadania! Mam dość tego wszystkiego! Kiedy dowiedziałem się o Kini, kiedy dowiedziałem się, że cię szuka policja, kiedy już wiedziałem, że nicy z moich planów, miałem tylko jedno pragnienie i o jedno tylko modliłem się do Boga: dopaść cię przed glinami. Bóg mnie wysłuchał. Mam cię! Teraz zapłacisz za moje plany. Teraz zapłacisz za Kini! Zapłacisz!

Skoczył. Zszedł w lewo zwodem, a nożem uderzył płasko z prawej. Ale gdy kończył mówić, słowo „zapłacisz” zaakcentował silniej od innych, dlatego Marek był przygotowany na jego atak i przyjął go tak, jak niedawno chłopaka ostrzyżonego na tyso: dwoma silnymi ciosami w głowę. Sa-

lan runął jak kłoda, a ziemia odpowiedziała cichym stęknieniem.

Spomiędzy drzew wysunęło się kilku mężczyzn. Marek nie miał czasu na przyglądanie się, ale i tak zauważył, że każdy targa jakiegoś pomocnika: pręt, łom, nóż. Wiedział, że jest bez szans. Ani przez chwilę nie łudził się nadzieją. Jednak gorączkowo szukał wyjścia z sytuacji. „Zakatowany przez bandę Cyganów!” – pomyślał. „Głupia śmierć. Jak życie, zresztą”.

Cofnął się pół kroku, poczuł ból w udzie, sięgnął ręką i namacał twardą rękojęść noża. „Trafił jednak!” – pomyślał o Salanie. Szarpnął. Nóż wyszedł z nogi, a ból gorącym szpicem sięgnął pachwiny i osłabł.

Wtedy jeden z mężczyzn przystanął i w charakterystyczny sposób wznosił ramię. Marek poznał starego Cygana. „A więc on jest od tego” – pomyślał, gdy ostrze silnie wyrzuconego noża błysnęło w świetle księżyca. Spróbował się uchylić, a chwilę później poczuł uderzenie w okolicy prawego obojczyka. Nagły ból obezwładnił ramię, zmusił Marka do cofnięcia się. I wtedy stopa wysunięta do tyłu nie znalazła oparcia. Zachwiał się, machnął lewym ramieniem próbując odzyskać równowagę, ale był zbyt mocno przechylony do tyłu. Jeszcze szarpnął się w przód chcąc złapać brzoźkę. Jednak nie sięgnął.

Runął ze skarpy.

